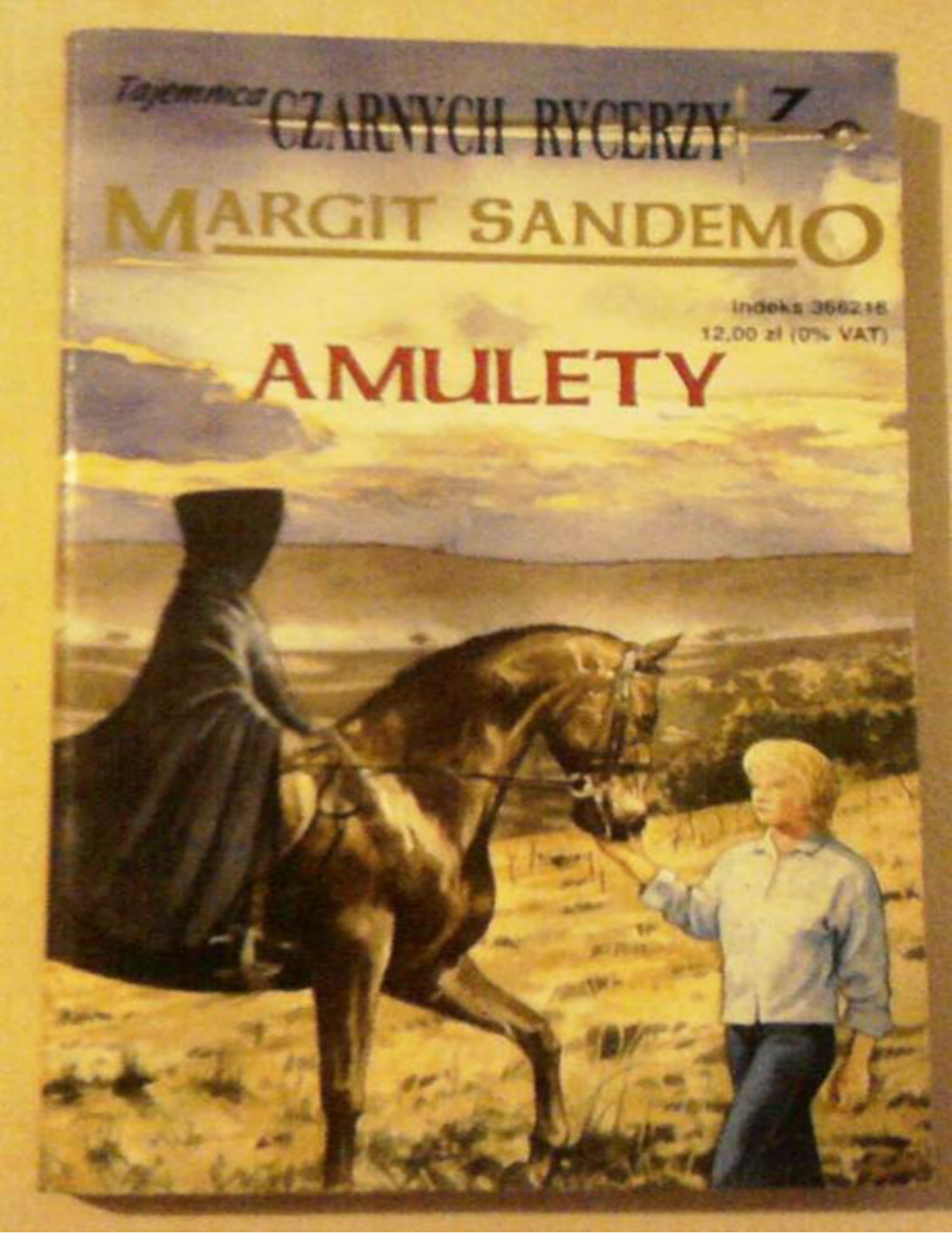
Tajemnica CZARNYCH RYCERZY 7
MARGIT SANDEMO
Indeks 366216
12,00 zł (0% VAT)
AMULETY

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Kilkaset lat temu pięciu rycerzy zawarło brzemienny w skutki pakt. Od tamtej pory na ich rodach spoczęło przekleństwo. Pierworodni w każdym pokoleniu umierali w młodym wieku, nie dożywali dwudziestych piątych urodzin… Unni, Morten i inni poszukują pięciu amuletów, które mogą przybliżyć rozwiązanie zagadki. W tym celu Morten jedzie do Skanii, gdzie spotyka Cecilie, młodą, piękną kobietę, w której z miejsca się zakochuje. Przeżywa szok, gdy wychodzi na jaw, że ona jest także potomkinią rycerzy, w dodatku pierworodną w swoim pokoleniu…

- Margit Sandemo
  - ○
  - ○ Streszczenie
  - ○ CZĘŚĆ PIERWSZA. WZGÓRZE WISIELCÓW
    - ■ 1
    - ■ 2
    - ■ 3
    - ■ 4
    - ■ 5
    - ■ Jednocześnie
    - ■ 6
    - ■ 7
    - ■ Jednocześnie
    - ■ 8
    - ■ 9
    - ■ Jednocześnie
    - ■ 10
    - ■ 11
  - ○ CZĘŚĆ DRUGA. CZAS NA MIŁOŚĆ
    - ■
    - ■ 12
    - ■ Jednocześnie
    - ■ 13
    - ■ 14
    - ■ 15
    - ■ Jednocześnie
    - ■ 16
  - ○ CZĘŚĆ TRZECIA. OSTATNI GRYF
    - ■ 17
    - ■ 18
    - ■ 19

- 20
- 21
- 22
- 23
- 24
- 25
- Jednocześnie
- 26
- Jednocześnie
- 27

- Margit Sandemo

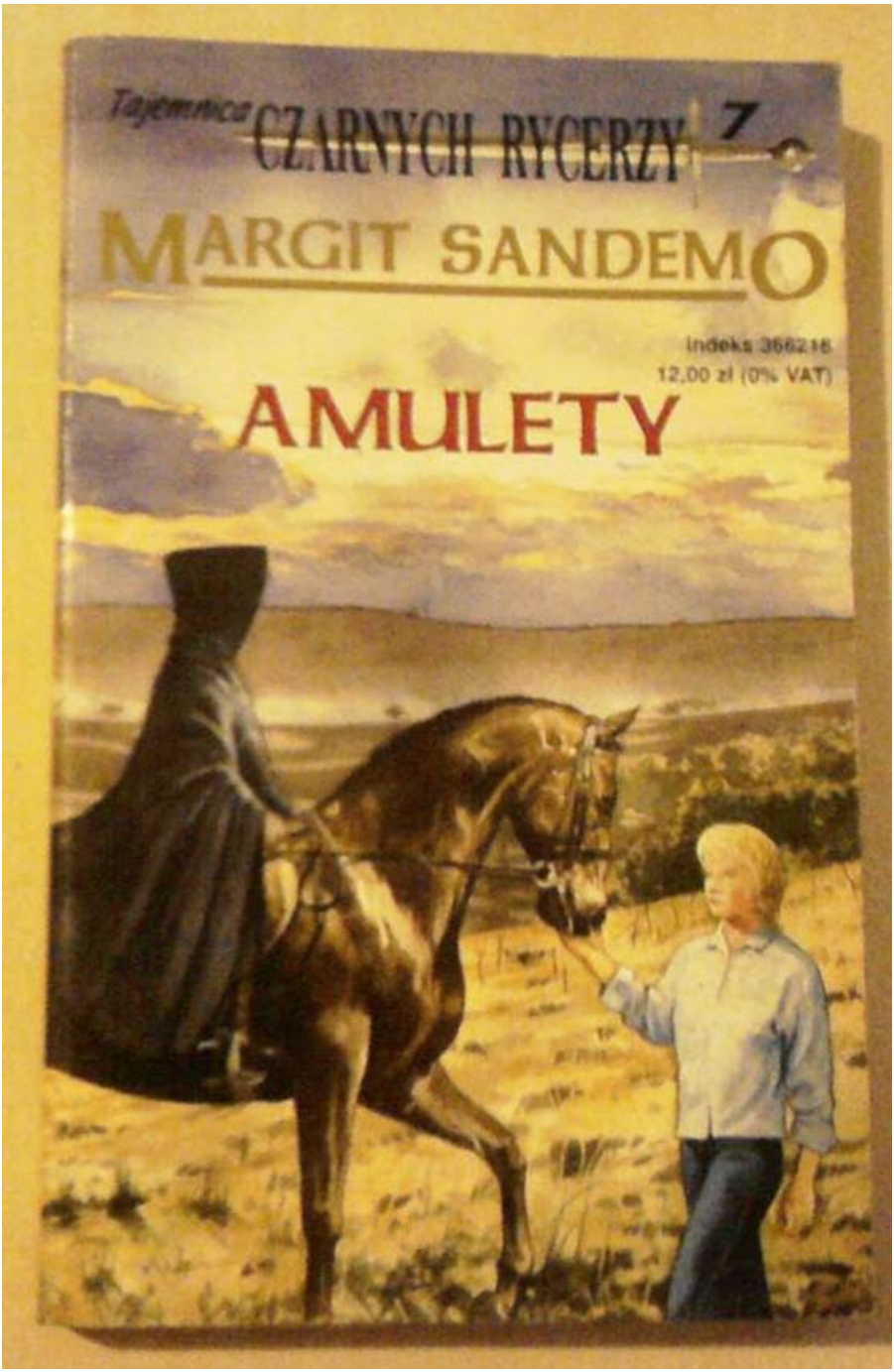
Tajemnica
CZARNYCH RYCERZY
7
MARGIT SANDEMO
Indeks 366218
12,00 zł (0% VAT)
AMULETY

Margit Sandemo

Amulety

Tajemnica Czarnych Rycerzy 07
Tytuł oryginału: „Amulettema“

Streszczenie

Unni Karlsrud, 21 lat, *Morten Andersen,* 24, oraz *Antonio* i *Jordi Vargas,* 27 i 29, odkryli, że w ich rodzinach pierworodne dzieci umierają dokładnie w wieku dwudziestu pięciu lat. Starają się zatem dokładniej zbadać sprawę i zostają, niczym do kotła strasznej czarownicy, wciągnięci w wir okropnych wydarzeń, w których główną rolę odgrywają czarni rycerze i pełni nienawiści kaci z czasów świętej inkwizycji oraz żądni krwi dranie z czasów współczesnych.

Jordi miał umrzeć już cztery lata temu, ale hiszpańscy rycerze udzielili mu pięcioletniej prolongaty, by mógł podjąć próbę rozwiązania ich zagadki, a przez to uwolnić od przekleństwa współczesnych potomków rycerskich rodów. Musiał jednak przejść do ich świata, znajdującego się poza normalną egzystencją. Unni, która kocha Jordiego, nie może się do niego zbliżyć, rozdziela ich bowiem jakiś dziwny, mroźny mur. Czas ucieka, zarówno Jordi, jak i Morten mają go bardzo mało, Unni natomiast zostały jeszcze cztery lata. Tymczasem Vesla, ukochana Antonia, spodziewa się dziecka, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa też będzie obciążone przekleństwem.

Wrogami rycerzy są fanatyczni mnisi, którzy za życia służyli inkwizycji, oraz kilka współcześnie żyjących osób, zaciekle poszukujących jakiegoś skarbu, który zdaje się mieć związek z tajemnicą rycerzy.

W tej chwili wiadomo, co następuje:

W roku 1481 rycerze chcieli wyzwolić pięć hiszpańskich prowincji, położonych wzdłuż północnych wybrzeży półwyspu. Wybrali dwoje nastolatków ze szlacheckich rodów, by ich koronować na króla i królową stworzonego w ten sposób państwa. Młodzi zostali jednak pojmani przez katów inkwizycji i zgładzeni. Także rycerze znaleźli się w końcu w niewoli i wszyscy zmarli wskutek tortur. Do sprawy wmieszało się dwoje czarowników, jeden z nich, zły Wamba, rzucił przekleństwo na potomków rodów rycerskich. Czarownica Urraca zdołała przekleństwo złagodzić, ale unieszkodliwić go nie potrafiła.

Pięciu zgładzonych przez inkwizycję rycerzy to:

Don Galindo de Asturias, ród wymarły.

Don Garcia de Cantabria, ród wymarły.

Don Sebastian de Vasconia, przodek Unni.

Don Ramiro de Navarra, przodek Mortena, Jordiego i Antonia.

Don Federico de Galicia. Żyje jego krewny, *Pedro,* lat 60, który współpracuje z młodymi. Czyni to również babka Mortena, *Gudrun,* lat 66, oraz adopcyjni rodzice Unni.

Sama zagadka rycerzy nie jest nikomu z nich znana, dotychczas udało się zebrać i złożyć jedynie kilka fragmentów rebusa. Na przykład różne znaki, tajemnicze słowa AMOR ILIMITADO SOLAMENTE, amulet w kształcie małego gryfa, wizje, jakie miewa Unni, baśń o trzech orłach, wskazujących drogę do zaczarowanej, zapomnianej przez ludzi doliny, o trollu strzegącym pewnego skarbu, o dwóch braciach, którzy mają tam dotrzeć, ale tylko jeden z nich wróci do domu, o kościelnych dzwonach i o najnędzniejszym z nędznych, którego mają spytać. No i jeszcze kilka luźnych zdań: „Należy zaczynać na równinach Gaetana, by podążać śladem i dojść do celu". „Tam, gdzie orły będą małe".

Unni, którą towarzysze nazywają pogromczynią mnichów, zdołała unieszkodliwić tylu z tych przesyconych złem upiorów, że zostało ich tylko sześciu. Na początku było trzynastu, Urraca zlikwidowała jednego, Jordi też jednego.

Dzięki pewnemu dziennikowi z siedemnastego wieku, udało się odnaleźć bardzo ważną część układanki: zakonny habit Jorge de Navarra, na którym ten młody mnich umieścił wzór. Znalazcy zdążyli sfotografować habit, zanim pod wpływem powietrza i światła przemienił się w kupkę prochu.

Na następnej stronie prezentujemy potomków don Ramira. Znak wskazuje tych, którzy zmarli w wieku 25 lat wskutek przekleństwa.

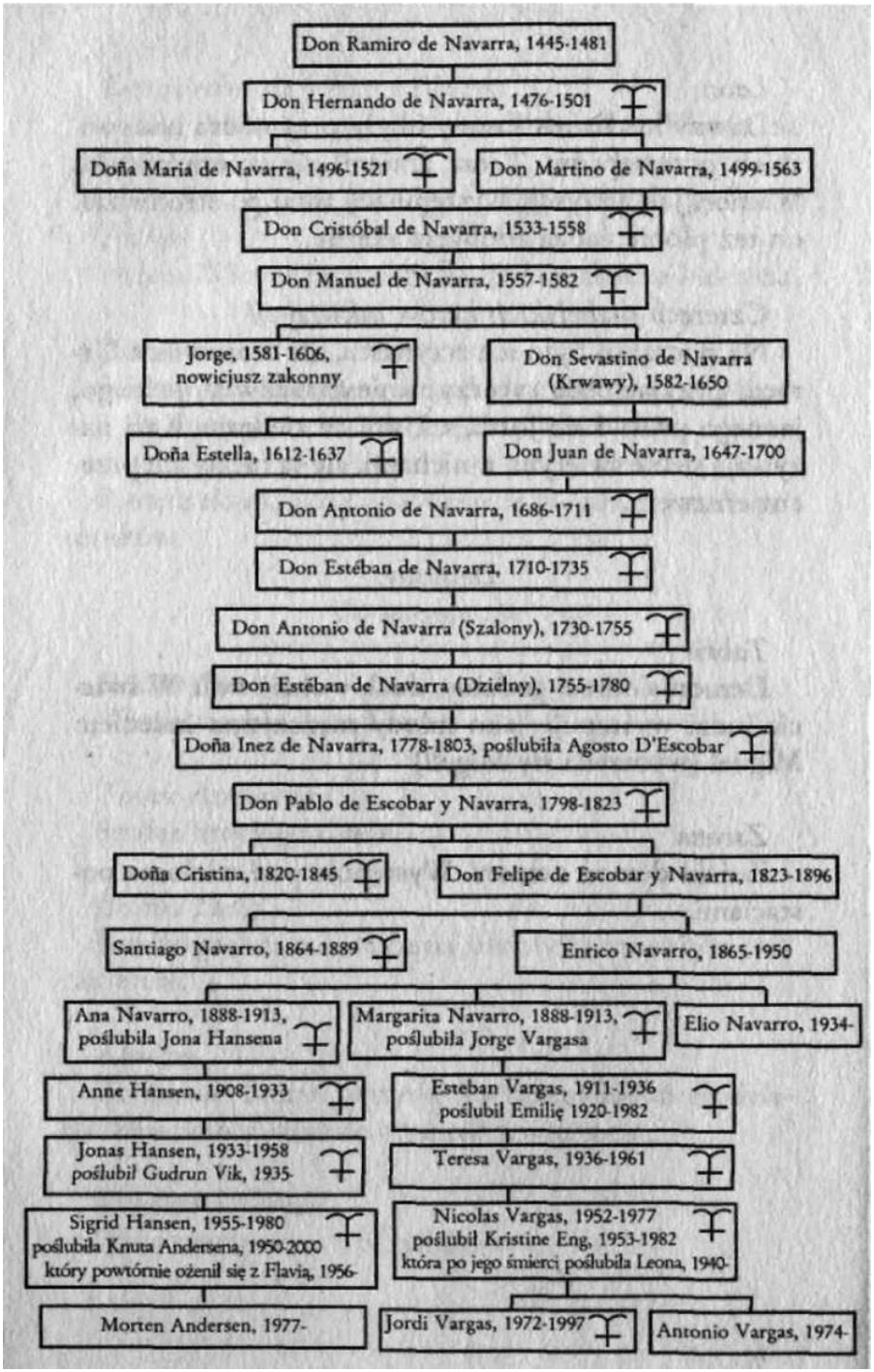
Don Ramiro de Navarra, 1445-1481
Don Hernando de Navarra, 1476-1501
Doña Maria de Navarra, 1496-1521
Don Martino de Navarra, 1499-1563
Don Cristóbal de Navarra, 1533-1558
Don Manuel de Navarra, 1557-1582
Jorge, 1581-1606, nowicjusz zakonny
Don Sevastino de Navarra (Krwawy), 1582-1650
Doña Estella, 1612-1637
Don Juan de Navarra, 1647-1700
Don Antonio de Navarra, 1686-1711
Don Estéban de Navarra, 1710-1735
Don Antonio de Navarra (Szalony), 1730-1755
Don Estéban de Navarra (Dzielny), 1755-1780
Doña Inez de Navarra, 1778-1803, poślubiła Agosto D'Escobar
Don Pablo de Escobar y Navarra, 1798-1823
Doña Cristina, 1820-1845
Don Felipe de Escobar y Navarra, 1823-1896
Santiago Navarro, 1864-1889
Enrico Navarro, 1865-1950
Ana Navarro, 1888-1913, poślubiła Jona Hansena
Margarita Navarro, 1888-1913, poślubiła Jorge Vargasa
Elio Navarro, 1934-
Anne Hansen, 1908-1933
Esteban Vargas, 1911-1936 poślubił Emilię 1920-1982
Jonas Hansen, 1933-1958 poślubił Gudrun Vik, 1935-
Teresa Vargas, 1936-1961
Sigrid Hansen, 1955-1980 poślubiła Knuta Andersena, 1950-2000 który powtórnie ożenił się z Flavią, 1956-
Nicolas Vargas, 1952-1977 poślubił Kristine Eng, 1953-1982 która po jego śmierci poślubiła Leona, 1940-
Morten Andersen, 1977-
Jordi Vargas, 1972-1997
Antonio Vargas, 1974-

Dawno zapomniana świętość tkwiła nieruchomo w oczekiwaniu. Las zdołał skryć ją już przed wieloma stuleciami, zioła i trawy porosły zielonym kobiercem.

Żadna prowadząca do niej droga już nie istniała. Nigdzie nie

widać też było śladów, świadczących o tym, że kiedyś wokół świętej budowli znajdowały się ludzkie siedziby. Wszystko zostało zrównane z ziemią, ukryte. Któż chciałby się tu przedzierać przez nieprzebyte pustkowia?

Mimo wszystko jednak miejsce to kryło w sobie rozwiązanie tajemnicy, mimo wszystko mogło zapewnić spokój ducha i zamożność wielu ludziom, innym zaś przynieść ocalenie.

Cóż z tego jednak, skoro w zapomnienie odeszła nawet sama tajemnica?

CZĘŚĆ PIERWSZA. WZGÓRZE WISIELCÓW

1

Kolejna fala ulewnego deszczu spadła na wędrowców, kiedy opuszczali prastary, zarośnięty cmentarz u stóp Pirenejów.

Byli podekscytowani i zarazem przygnębieni. Podekscytowani tym, że znaleźli ów mnisi habit, przygnębieni zaś, bo nie mogli się pozbyć wspomnienia zaniedbanych grobów, zwłaszcza miejsca, gdzie spoczął młody Jorge.

Ruszyli prosto do Bilbao, przedtem zawiadomili tylko miejscowego nauczyciela o cmentarzu. Ten oczywiście wiedział o jego istnieniu, był im jednak wdzięczny za impuls, jakiego mu udzielili, żeby w końcu coś z tym zrobić.

– W takim razie dlaczego nam pan nie wspomniał o cmentarzu? – spytał Pedro przyjaźnie.

Mężczyzna zrobił przepraszającą minę, ale wzruszył ramionami.

– Po prostu o nim nie pomyślałem. To przecież… nic nie jest.

– I tu się, mój chłopcze, bardzo mylisz – rzekła Unni po norwesku.

Przed rozstaniem chcieli wywołać zdjęcia. Pedro bowiem miał – wracać do Madrytu, reszta jechała do Norwegii. W Bilbao zamówili więc po kilka normalnych kopii każdego ujęcia oraz po jednej kopii w dużym formacie.

Mogli sobie na to pozwolić, do startu samolotów było jeszcze sporo czasu.

– A jeśli na tych zdjęciach nic nie wyszło? – zastanawiała się pesymistycznie usposobiona Unni, kiedy w urządzonej na chodniku kawiarence wystawiali twarze do słońca. – Wtedy nie będziemy mieli nic, habit zetlał w zetknięciu z powietrzem…

– Fotografowaliśmy tyle i pod tak różnymi kątami, że coś musiało zostać – pocieszał ją Pedro, studiując przy tym uważnie fascynującą fasadę muzeum Guggenheima.

Rodzice Unni, którzy załatwiali sprawę w zakładzie fotograficznym, ukazali się z podłużnymi kopertami w rękach. Wszystko stało się jasne.

Z wielkim ożywieniem zabrali się do oglądania fotografii.

– Świetnie – mruknął Pedro nad jedną ze swoich. – Ale następna jest marna, Unni zasłoniła światło.

– To było wtedy, kiedy zrywałam znak – broniła się dziewczyna.

– Ja zrobiłem bardzo wyraźne zdjęcia – oznajmił Atle. – Ale Unni jest też na jednym z moich.

– Ależ ze mnie rzep! – jęknęła Unni.

– Moje jest bezbłędne – rzekła Gudrun. – W przeciwieństwie do was zaczekałam, aż Unni zdejmie znak.

Porównywali i wymieniali się zdjęciami, żeby wszyscy mogli

obejrzeć wszystkie.

W końcu Jordi stwierdził zadowolony:

– Myślę, że złoży się z tego wizerunek znaku. Z wyjątkiem jednego fragmentu na brzeżku, który zamienił się w pył.

– To jest tekst, prawda? – spytała Gudrun.

– I tekst, i znaki – stwierdził Pedro. – Teraz chodzi więc o to, by całość rozszyfrować. To znaczy to, co nie uległo zniszczeniu, pewnie tu i ówdzie powstaną wątpliwości.

Inger rzekła w zamyśleniu:

– Dziwne, że sam Jorge nie rozwiązał zagadki, musiał przecież być bardzo blisko.

– Otóż nie – zaprotestował Pedro łagodnie. – Rozumiem kilka słów z tego, co tu zostało napisane i domyślam się, że on mógł ewentualnie rozwiązać tylko jedną część zagadki. Bo bardzo ważny fragment znajduje się tutaj, co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości. Unni wtrąciła:

– No właśnie, ja się też wielokrotnie zastanawiałam, dlaczego najwcześniejsi potomkowie rycerzy nie rozwiązali zagadki. Dla nich musiało to być o wiele prostsze niż dla nas.

– Tak, i ja rozważałem tę kwestię – powiedział Pedro. – Co więcej, zdaje mi się, że znam odpowiedź. Otóż pierwsze pokolenia o niczym nie miały pojęcia. Cała sprawa była przecież taka tajemnicza. I przez długi czas nikt nie zauważył, że jest jakaś reguła w tym, iż pierworodni umierają tak wcześnie.

Jordi odnosił się do jego wyjaśnień sceptycznie.

– Coś przecież musieli wiedzieć. Ale teraz to chyba już czas ruszać na lotnisko.

– Masz rację – przyznał Pedro, wstając. – Mój samolot jest wprawdzie później, ale pojadę z wami. Potem będziemy utrzymywać kontakt telefoniczny oraz za pomocą listów poleconych. Nie żadne SMS – y ani internet, musimy być ostrożni. No i obawiam się, że na kolejne spotkanie długo czekać nie będziemy – rzekł z pełnym ciepła uśmiechem.

Wrócili do codzienności, znajdowali się znowu w domu, w swojej willi niedaleko Drammen.

Tyle tylko że takiej prawdziwej, zwyczajnej codzienności żadne z nich nie doświadczy, dopóki nie dotrą do samego jądra tajemnicy, wszyscy dobrze o tym wiedzieli.

Linia telefoniczna między Madrytem i Drammen rozgrzewała się niekiedy do czerwoności, tak intensywnie ją wykorzystywano. Kolejne elementy były mozolnie dodawane do układanki, którą odkryli na plecach mnisiego habitu. Na szczęście do fotografii zdołali go ułożyć tak, by szerokie rękawy nie zasłoniły wzoru. Brakowało jedynie paru słów na wystrzępionym brzegu. Zdumieni wpatrywali się w tekst,

który można już było odczytać:

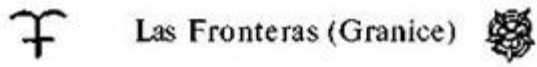

Śladem rycerzy podążać nie można.

Podążaj śladem tych drugich ze wschodu na zachód na zachód – z zachodu na wschód.

PueblovermoDanesdesfiladeroDotescuevascuevas

Pięć

jest potrzebnych.

Każdy ród swój wkład. Nasz największy.

Połączyć razem z baśnią i wiedzą każdego rodu.

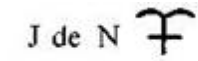

I nad tym właśnie samotny Jorge siedział, haftował wzór na tkaninie, przerażony, poganiany przez czas, nie wiedząc, czy ów wzór kiedykolwiek zostanie odnaleziony.

Unni czuła, że ze współczucia wszystko ją boli. Bardzo by chciała powiedzieć mu, że habit jest odnaleziony, a to, co wyhaftował, pozostało, po czterystu latach, wyraźne.

No powiedzmy, że wyraźne.

Słowo, które zachowało się częściowo w formie „conocim…" oni wytłumaczyli sobie jako „conocimento" – wiedza, znajomość.

Wciąż pozostawały jednak problemy z tym długim szeregiem słów. Jorge nie miał dość miejsca, by robić odstępy między wyrazami, zakładał, że odkrywcy będą umieli poradzić sobie sami:

„ Pueblo yermo panes desfiladero potes cuevas cuevas".

„Wieś pustkowie chleb przejście doniczki groty groty".

– Tę różę ja już kiedyś widziałam – oznajmiła Vesla.

– Tak jest – potwierdził Jordi. – Widnieje na broni rycerzy. Razem ze sroką wiesz…

– Oczywiście! Ale co ona oznacza, co robi tutaj?

– Nie wiem, Veslo. Próbowałem łączyć ją z miejscami i z rodami, bowiem każdy ród szlachecki, w którego nazwisku występuje w jakiejś odmianie słowo róża, jak na przykład von Rosen, ma taki właśnie znak w swoim herbie. Ale w nazwisku żadnego z rycerzy niczego takiego nie ma, więc nie wiem, co ta róża mogłaby tutaj oznaczać.

– Jorge musiał jednak sądzić, że to ważne – dodał półgłosem. – Wyhaftowanie tych wszystkich kresek i kropek nie było łatwe.

Chwilę jeszcze o tym dyskutowali, ale do żadnych wniosków nie doszli.

Ponadto inna sprawa budziła ich zatroskanie, a mianowicie gryfy.

Miało być pięć, a oni dotychczas znaleźli tylko jeden. Gdzie są cztery pozostałe? Przepadły wieleset lat temu?

Przygnębiające.

I o co to chodzi, że każdy ród ma mieć własny wkład, który połączy się z resztą?

Jordi dał wyraz temu, co wszyscy odczuwali:

– Jesteśmy teraz jeszcze dalej od celu, niż byliśmy przed odnalezieniem tego przeklętego habitu.

2

Antonio wyrwał ich z przygnębienia.

– My, Morten, Jordi i ja jesteśmy ostatnimi z rodu don Ramira. Uważamy, że odkryliśmy wszystko, co było można z wiedzy rodu. Żaden z nas nie ma co do tego wątpliwości.

– No i teraz chodzi o pozostałe rody – mówił dalej z zapałem. – Unni jest ostatnią z rodu don Sebastiana. Inger i Atle, powiedzcie nam czy Unni nie miała absolutnie żadnej rzeczy, kiedy przybyła do was jako noworodek?

Zagadnięci popatrzyli na siebie pytająco. Antonio westchnął.

– W takim razie obawiam się, że będziecie musieli zacząć szukać rodziny jej zmarłej matki.

– Och nie, żadnych więcej drzew genealogicznych – jęknęła Vesla.

– Tego możemy uniknąć. Ale Morten, teraz otrzymasz najważniejsze zadanie twojego życia!

Chłopak zerwał się na równe nogi.

– Najwyższy czas, bo już zaczynałem się czuć jak piąte koło u wozu. Albo na przykład ślepa kiszka. Zbędny.

– No to możesz wybierać – uśmiechnął się Antonio. – Chodzi o to, by się dowiedzieć, kim byli ostatni w obu tych wymarłych rodach, wolisz ród don Galinda czy don Garcii?

– A co o nich wiemy?

Antonio nie odpowiedział. Zamiast tego zadzwonił do Pedra i powtórzył pytanie Mortena:

– Co wiemy o ostatnich przedstawicielach rodów don Galinda i don Garcii?

Pedro, który wciąż współpracował z grupą odnośnie tekstu z habitu, zdążył już zbadać dzieje wymarłych rodów, ponieważ on i Antonio jakiś czas temu o tym rozmawiali. Ród don Galinda nie przetrwał długo, wyginął już po trzech pokoleniach. Don Garcii natomiast trwał aż do początków dwudziestego wieku. Pedro stracił trop, bowiem kolejni potomkowie mieli już takie dziwaczne nazwiska, że trudno było dojść pokrewieństwa.

– Oni, powiadasz? – zdziwił się Antonio. – Było ich wielu?

– Niespecjalnie – odparł Pedro. – Zaledwie jedna wątła linia, która roztopiła się w coraz bardziej pospolitych nazwiskach.

– Ha! – rzekł Morten, kiedy rozmowa telefoniczna dobiegła końca. – Jeśli ja, Andersen, wnuk pani Hansen, zdołałbym odtworzyć dzieje mojego rodu aż do przodków, którzy nosili nazwisko de Navarra, to znaczy, że wszystko jest możliwe!

– Świetnie! W takim razie Jordi zajmie się rodem don Galinda i spróbuje odnaleźć jego ostatniego potomka.

– Pedro zaś mógłby odnaleźć ostatniego z rodu don Federica! – zawołał Morten rozochocony.

Zaraz umilkł i patrzył zmieszany na swoich towarzyszy.

– Z czego się śmiejecie?

– Bo Pedro jest jego ostatnim potomkiem, ty mój nieprzeciętnie inteligentny wnuku – roześmiała się Gudrun.

– No tak, oczywiście – zachichotał Morten sam z siebie. – Ale, rany boskie, ja przecież nie znam hiszpańskiego – zmartwił się.

– To nie będzie potrzebne. Pedro prześledził dzieje rodu aż do Szwedów, Perssona i Nilssona. Ze Skanii. Życzę powodzenia – zakończył Antonio krótko.

Morten pacnął się dłonią w czoło i jęknął.

– Pospolite nazwiska w Skanii, ciekawe jakie to?

– Zgaduj!

– No trudno, na szczęście Skania nie jest taka wielka – ciągnął Morten optymistycznie.

Unni wtrąciła złośliwie:

– Jeśli uważasz, że skański łatwiej zrozumieć niż hiszpański, to…

– Ech, mieszkało się przecież na zachodnim wybrzeżu Norwegii, bywało w Sogn, tamtejsze dialekty też nie są łatwe. Kaszka z mlekiem! Niech no tylko Pedro da mi informacje, to natychmiast ruszam w drogę. Mogę zabrać ze sobą Monikę?

Na to pytanie oniemieli. Monikę? Nie znali Moniki. Pospolitej, ale dość miłej dziewczyny, obdarzonej tym samym co Morten upodobaniem do głośnej, gwałtownej muzyki, bez kaprysów i, jeśli dobrze rozumieli, również bez fantazji. Czy powinno się ją włączać w tę całą sprawę? Czy można narażać jej życie? Lub narażać na niebezpieczeństwo własne, gdyby dziewczyna nie potrafiła dochować tajemnicy i wygadała się przed ludźmi z zewnątrz, czy na przykład wpadła w panikę i poszła z tym na policję albo do prasy?

Po krótkim milczeniu Jordi powiedział:

– Nie. Jest nas dość. Gudrun z tobą pojedzie.

– To nie będzie konieczne – zawołał Morten jakoś dziwnie szybko.

– Owszem, będzie – odparła Gudrun. – Co prawda nie jestem jak ta stara ciotka, która ma zamiar upominać kogokolwiek, żeby opróżniał kosz na śmieci, ale znam pewnego młodego człowieka, który naciąga świeżą poszewkę na poduszkę nie zdejmując starej i który parzy kawę nie wyrzuciwszy zużytego filtra tak długo, aż się całe urządzenie zapycha, a w domu po prostu śmierdzi. I tak dalej, i tak dalej. A jak to bywa rankiem, kiedy trzeba wstać na określoną godzinę? Twój budzik się już dawno rozpadł od tego rzucania o podłogę.

Zawstydzony Morten ustąpił. Antonio odpowiadał Unni na jej pytanie: „Dlaczego Skania?”, że była w dwudziestym wieku pewna

liczba szwedzkich idealistów i poszukiwaczy przygód, którzy zgłaszali się w charakterze ochotników na różne wojny. Uczestniczyli między innymi w wojnie zimowej w Finlandii, czy wcześniej w wojnie domowej w Hiszpanii. W duchu Hemingwaya, można powiedzieć. Wśród tych ostatnich był pewien Skańczyk, który zakochał się w osieroconej hiszpańskiej dziewczynie (przypadkiem ostatniej potomkini rodu don Garcii), w wyniku czego porzucił front i zabrał ukochaną do domu, do Skanii. Wiemy jedynie, że mieli córkę, która zdążyła wyjść za mąż, zanim zmarła w wieku dwudziestu pięciu lat, podobnie jak jej hiszpańska matka. I na tym ślad się urywa.

– Hiszpańska wojna domowa… kiedy to było? – dopytywał się Morten.

– W latach 1936 – 1939. Brali w niej udział ochotnicy z tak zwanych Brygad Międzynarodowych. To była duża formacja, około czterdzieści tysięcy ludzi, wśród nich trzystu pięćdziesięciu Szwedów – odpowiedział Jordi.

Dyskusja toczyła się teraz jakby poza świadomością Unni. Słyszała głosy przyjaciół jak przez mgłę, przepełniały ją smutne myśli. Jordi miał się zająć poszukiwaniem nielicznych potomków don Galinda, nikt jednak nie wspomniał nawet słowem, że ona mogłaby mu towarzyszyć.

Zostać bez Jordiego? Byli razem od chwili, gdy się spotkali. Jakby sobie poradziła sama? Bez jego spokojnego, dającego poczucie bezpieczeństwa uśmiechu? Już samo patrzenie na niego sprawiało jej radość.

Rozejrzała się po rozległej, oszklonej werandzie, na której siedzieli, zaglądała z zewnątrz do salonu. Ten dom, który właściwie miał być tylko na wszelki wypadek, miejscem ostatniego schronienia, gdzie mogli się wszyscy spotkać… ten dom zyskał z czasem na znaczeniu. Polubili to miejsce, Unni wiedziała, że Antonio i Vesla zamierzają zamieszkać w nim na stałe, może nawet spróbują go kupić.

A co będzie z nią? I z Jordim? Jaką przyszłość oni mają? Żadnej. Szczerze powiedziawszy to oni nie mają nawet teraźniejszości. Jordi wyznał jej, że marzy o powrocie do Hiszpanii i choć o tym nie mówił, Unni wiedziała, że te marzenia dotyczą również jej.

Ale to przecież czysta utopia! Nie mogą się nawet do siebie zbliżyć, żadne nie wie, czy doczeka trzydziestego roku życia, niezależnie od tego, jak zdołają wypełnić zadanie, jakie im narzucili rycerze.

A teraz Jordi ma wyjechać, zostawić ją, skrócić jeszcze bardziej ten i tak krótki czas, jaki był im dany.

Czuła, że lodowata dłoń dotknęła jej policzka.

– Nie płacz, Unni. Naprawdę myślałaś, że ja bym wyjechał bez ciebie?

Spojrzała w jego przepełnione ciepłem oczy. Nie zdawała sobie sprawy, że płacze.

– Ty zawsze wiesz, co ja myślę – wyszeptała w odpowiedzi.

Mocno, bardzo mocno ścisnęła jego rękę. Nie zwracała uwagi na coraz bardziej dojmujące zimno.

– Nie wiemy tylko, czy zdążysz ze mną pojechać – mówił Jordi, podczas gdy reszta wciąż była zajęta roztrząsaniem planu skańskiego. – Będziesz musiała pomóc swoim rodzicom wyjaśnić, kim była twoja biologiczna matka, skąd pochodziła i tak dalej. To jest teraz twoje najważniejsze zadanie.

– Rozumiem. I to może trochę potrwać.

– Tak. Każdy otrzymał swoje zadanie. Antonio i Vesla mają zredagować materiały, które pozostały po don Ramiro, mamy już teraz chyba wszystko, co można było zdobyć. Pedro zbada jeszcze raz swoje drzewo genealogiczne, które przecież zna dobrze począwszy od don Federica. Morten i Gudrun będą poszukiwać potomków doni Garcii, my oboje don Galinda.

– Zostało nam już tak niewiele wspólnego czasu dla siebie.

– Wiem, najdroższa.

– Kiedy jedziesz do Hiszpanii?

– Najszybciej jak to możliwe. Niewykluczone, że już pojutrze.

Myśli Unni podążyły inną drogą.

– Czegoś wam jeszcze brakuje w materiałach dotyczących rodu don Ramira.

– Czego?

– Dziennika, który pisał mąż Gudrun, Jonas Hansen.

– Tak, to prawda. Ale musimy o nim zapomnieć. Ten dziennik już po prostu nie istnieje. Zresztą nie wiem, czy jest rzeczywiście aż taki ważny, naprawdę o tym rodzie wiemy dużo.

Odwrócili się oboje do reszty zebranych, tamci mówili teraz podniesionymi głosami, jakby coś się stało. Matka Unni, zaczerwieniona, donosiła:

– Ależ jestem tego absolutnie pewna!

– Czego? – spytała Unni. Matka zwróciła się do niej.

– Siedziałam tu i myślałam o przeszłości. I nagle uświadomiłam sobie, że była z tobą nieduża paczka… Kiedyśmy cię odbierali, ubranka i takie tam drobiazgi.

– Jakoś nie mogę sobie przypomnieć – westchnął Atle.

– Była, zapewniam cię – upierała się Inger. – Przedtem o tym nie pomyślałam, ale teraz, kiedy Antonio spytał, nagle przyszło mi to do głowy.

– W takim razie nic z jej zawartości nie zostało. Nigdzie niczego nie widziałem. Ubrania musiały zostać zużyte, albo wyrzucone.

Sympatyczna twarz Inger skrzywiła się z wysiłku.

– Ale było coś jeszcze…

Wzrok Attego się rozjaśnił. Nie ulegało wątpliwości dla nikogo, że nareszcie coś sobie przypomina.

– Chodzi ci o tę lalkę? Brudną i wypchaną jakimiś chilijskimi bakcylami?

– Tak – potwierdziła Inger. – To była zwyczajna szmaciana lalka. Jej matka się widocznie nią bawiła w dzieciństwie i upierała się, by przekazać ją córce.

– Jedyna pamiątka Unni po matce – rzekła Gudrun. – Powinniście byli ją przechować.

Inger i Atle milczeli. Zastanawiali się.

– Może i my tak zrobiliśmy? – powiedziała Inger.

– Ja w każdym razie nic o tym nie wiem – odparł jej mąż.

– No ale jeśli tak, to gdzie?

– Może na strychu? – podpowiedziała Unni. Inger Karlsrud machnęła ręką.

– Boże drogi, tam przecież nikt od stu lat nie sprzątał. Po prostu dostawia się nowe rupiecie i już.

Jordi zdecydowanie podniósł się z miejsca. Wziął Unni za rękę, drugie ramię wyciągnął do jej rodziców.

– Chodźcie, pojedziemy do waszego domu i poszukamy.

– Mogę z wami? – spytała Vesla.

– Oczywiście, że możesz. Strych jest wielki i wypchany różnymi rzeczami po brzegi. Przeszukanie tego zajmie nam mnóstwo czasu – narzekała Inger.

Wszyscy wstali i zaczęli się szykować do drogi, na poszukiwanie ekscytującego, choć na szczęście, niegroźnego „skarbu”.

3

W Madrycie Pedro siedział przy swoim biurku i patrzył przed siebie. Właśnie odebrał nieoczekiwany telefon.

Od Flavii.

Poczuł nieprzyjemne ukłucie w sercu, kiedy usłyszał jej ciepły głos. Wspomnienia wielu lat popłynęły strumieniem. Bardzo dobrze wiedział, że Flavia spodziewała się trwałego związku, pragnęła małżeństwa z nim, kiedy tak nagle w cudowny sposób został uleczony ze swoich chorób.

Ale wtedy on spotkał Gudrun.

Rozstanie z Flavią sprawiło mu niewypowiedziany ból. Musiał jej jakoś wytłumaczyć, że wszystko się skończyło. Wciąż miał przed oczyma jej pobladłą twarz i minę, jakby chciała ukryć trudne do zniesienia uczucia.

Teraz jej głos miał jasne, przyjazne brzmienie.

„Pedro, stary przyjacielu, jak się masz? Dużo o was wszystkich myślę, brak mi tamtej wspaniałej współpracy z wami".

„My też za tobą tęsknimy" – odpowiedział, z ulgą przyjmując jej koleżeński ton i neutralny temat. – „Rozmawiamy o tobie niemal codziennie, o tym, że powinnaś być z nami. W detektywistycznych dociekaniach jesteś nieoceniona".

„Bardzo bym chciała, Pedro. Przyjechałabym natychmiast, ale nie mogę, niestety. Mama wciąż potrzebuje mojej pomocy, to już jej ostatnie chwile, bardzo cierpi, i to już od dawna".

„Tak mi przykro. Pozdrów ją ode mnie, spotkaliśmy się przecież kiedyś tutaj, w Madrycie, pamiętasz? Kochana Flavio, skoro już rozmawiamy… Czy wiesz coś na temat miasta Gaeta?"

„Gaeta? – powtórzyła Flavia w zamyśleniu. – To stare miasto, niegdyś należało do królestwa Sycylii, w swoim czasie podporządkowanemu Hiszpanii. Kiedyś przejeżdżałam tamtędy, ale wiem naprawdę niewiele. Dlaczego pytasz?"

„Nazwa miasta pojawiła się w zagadce związanej z rycerzami".

„Co ty mówisz? To brzmi dosyć dziwnie. A przy okazji, jak wam idzie? Posunęliście się trochę naprzód?"

„Nawet dosyć daleko".

„Och, to interesujące. Musisz mi opowiedzieć, przecież jestem właściwie członkiem sprzysiężenia!"

„Oczywiście, że jesteś. Teraz muszę lecieć na spotkanie, ale napiszę do ciebie list. Jak powiedziałem, jesteś cennym współpracownikiem".

W znacznie lepszym nastroju poszedł na swoje spotkanie.

Po powrocie do domu zabrał się do pracy w tym samym miejscu,

w którym mu przerwano: do odczytywania dziennika Estelli. Bardzo się nad tym męczył.

Wciąż nie potrafił wyjaśnić dziwnego zdania jednego ze swoich przodków: „Zacznij na równinach Gaeta, by odnaleźć ślad i podążać naprzód". *Las vegasjunto Gaeta.*

Gaeta? Włoskie miasto, cóż ono miałoby wspólnego z rycerzami? Należało niegdyś do Hiszpanii?

Nie, to postawione na głowie.

Pedro wstał, by przynieść sobie szkło powiększające.

Akurat nad tą stroną Estella musiała wypłakiwać swoją samotność, strach i rozpacz, bowiem tekst był prawie zupełnie rozmazany.

Zapach starego dziennika też przyjemny nie był, ale do tego Pedro zdążył się już przyzwyczaić.

Las vegas junto Gaeta. Równiny pod miastem Gaeta. Co to, na Boga może mieć wspólnego z pozostałym tekstem?

„Zacznij od…"

Pochylił się nad stołem, duże szkło powiększające trzymał między swoim okiem a kartą książki. Próbował ustawić właściwą odległość.

– Niemożliwe – powiedział sam do siebie. – Niemożliwe. Jak oni to, u licha, odczytali? Przecież to j w *junto,* nie ma dolnego ogonka. To tylko plama na papierze.

Większość zapisanych na tej stronie słów, zachowała się w postaci luźno z sobą powiązanych kropek, które można było odczytywać niemal, jak kto chce.

– I nie ma też żadnego Gaeta – mówił głośno. – Poczekaj no!

Kto miałby poczekać, pozostawało niewyjaśnione, ponieważ Pedro był w pokoju sam.

Przysunął lampę tak blisko tekstu, że sam musiał mocno wykręcać głowę, by się też do niego zbliżyć.

Z pomocą światła i lupy odczytał nowy tekst, jakby wciśnięty w gruby papier.

Po wielu próbach udało mu się zrozumieć, o co chodzi.

– „… *en Veigas canto…"* Nie… *cantar.* Nie, tego po prostu nie widać. Ale następne słowo: *gaitas.* Tak! Tak właśnie zostało napisane!

Zastanawiał się przez chwilę nad związkiem tych słów z pozostałym tekstem, po czym wybrał numer telefonu Antonia. Podniecony i przejęty.

Jego przyjaciele szli właśnie do samochodu, żeby pojechać do domu rodziców Unni.

– Antonio! – zawołał Pedro, a w jego głosie brzmiał triumf. – Tam nie zostało napisane, że trzeba zaczynać na równinach Gaeta! Tam jest napisane coś całkiem innego.

– Odczytałeś to? Opowiadaj!

Reszta grupy kręgiem otaczała Antonia.

Pedro odczytywał głośno, co sam zapisał na kartce:

– „Zaczynaj koło Veigas, tam, gdzie śpiewa gaitae”.

– Gaitae?

– Tak, galicyjska kobza! Moi przodkowie, Bartolomeo i Federico nazywali się przecież Galicia.

– Oj! – jęknął Antonio. – Ale co to jest Veigas? Gdzie to leży?

– Bardzo mi przykro, ale w Galicji znajduje się mnóstwo miejsc o nazwie Veiga, A Veiga lub Veigas, dokładnie tak samo jak w Hiszpanii jest mnóstwo różnych miejsc o nazwie Vegas, La Vega i Las Vegas. To ostatnie zresztą można znaleźć także w USA. Po galicyjsku jednak to ja nie umiem, więc…

– Nie szkodzi, Pedro, to i tak wielkie osiągnięcie, bo możemy sobie darować Włochy! Znalazłeś może więcej takich niespodzianek, więcej błędnych tłumaczeń?

– Nie, to wszystko było na najbardziej zniszczonej stronicy dziennika. Poza tym Jordi i Unni wykonali świetną robotę. Uff, a ja kazałem Flavii szukać tej Gaety. No nic, napiszę do niej dziś wieczorem. Taki byłem tym przejęty, że nawet nie zapytałem o Elio.

– Flavię? Mówisz o naszej Flavii?

– Tak, dzwoniła do mnie niedawno. Mam was wszystkich serdecznie pozdrowić. Powiedziałem jej, zresztą zgodnie z prawdą, że bardzo nam jej brakuje.

– No pewno, że brakuje – potwierdził Antonio z powagą.

Nie na tyle jednak, bym chciał mieć i ją i Gudrun w jednej grupie, pomyślał Pedro, kiedy już odłożył słuchawkę. Moim zdaniem najlepiej jest tak, jak jest. Niech Flavia pozostanie swojego rodzaju przyczółkiem, osobą, którą w razie potrzeby możemy prosić o radę. Jest autorytetem w wielu dziedzinach, natomiast za nic bym nie chciał balansować między dwiema tak wrażliwymi i silnymi osobowościami jak Flavia i Gudrun.

Wyprostował się. Był wdzięczny losowi, że on i Flavia przeżyli tę miłosną noc w niemieckiej gospodzie. Gdyby nie, to wciąż by się zastanawiał, jakby to było kochać się z nią, z kobietą, w której miał najbliższą przyjaciółkę przez wiele lat, kiedy był taki słaby, że nie mógłby podnieść kartonu mleka. Teraz wiedział jak to było, wiedział również, że jego uczucia do Flavii miały głównie przyjacielski charakter, na nic więcej raczej nie znalazłoby się w nich miejsca. Dla Gudrun natomiast żywił szczerą, prawdziwą miłość.

Po chwili zaczął myśleć o czym innym, o swoim zadaniu wyjaśnienia czego tak naprawdę częścią był gryf, amulet rodu de Galicia.

Beznadziejna sprawa!

4

– Unni, Morten! – wołał Antonio poprzez pełen wszelkiego dobra strych rodziny Karlsrud. – Czy nie macie wrażenia, że już kiedyś wykonywaliśmy tę pracę?

– Owszem – przyznała Unni. – Zdaje się, że przeszukiwanie strychów jest ważną częścią zadania, jakie los nam wyznaczył. Jakby to na strychach kryły się więzi łączące różne generacje.

– O, byliśmy również w magazynie meblowym, by odnaleźć moją mroczną przeszłość – wtrącił się Morten.

– Tak, nasza trójka jest w tym dobra – śmiała się Unni, przeszukując szufladę jakiejś komody.

– To tamtego dnia pewien nieznajomy uratował nas przed wpadnięciem razem z samochodem do basenu portowego.

– Tak, no i wtedy wcale jeszcze nie wiedzieliśmy, że Jordi żyje – dodał Morten. – A bardzo ci dziękujemy, że tak właśnie jest, Jordi!

Unni całym sercem przyłączyła się do tych podziękowań. Czym stałoby się jej życie, gdyby Jordi nie powrócił do nich ze świata zmarłych? Pustką. Pustką i tęsknotą.

– Rany boskie, jak to wszystko tu wygląda? – jęknęła jej matka. – Naprawdę bardzo mi przykro.

– Strych powinien tak wyglądać – stwierdziła Gudrun. – Musi być jakieś miejsce na rzeczy, które przestały spełniać swoją funkcję. Wszyscy mamy jakieś komórki.

– Z wyjątkiem mojej ciotki – zaprotestował Morten. – U niej każdy grat jest porządnie ustawiony na przeznaczonym dla niego miejscu i skatalogowany.

– Uff! – obruszyła się Gudrun.

Nie była specjalnie zachwycona siostrą swojego zięcia. Knut, ojciec Mortena, też miał w sobie coś z tej pedanterii. Bogu dzięki, że Morten się w nich nie wrodził. Z czułością przyglądała się teraz swojemu roztrzepanemu wnukowi.

Unni raz po raz wydawała z siebie sentymentalne okrzyki, odkrywając przedmioty z czasów swojego dzieciństwa. Jak wielu żonatych mężczyzn, Atle bardzo nie lubił niczego wyrzucać i gdy na przykład Inger znajdowała jego skórzaną kamizelkę zniszczoną i poplamioną tak, że nadawała się wyłącznie na śmietnik, mąż wyjmował jej tę kamizelkę z rąk oznajmiając, że właśnie zamierza w niej chodzić na ryby. Nauczona doświadczeniem Inger wynosiła rzecz na strych.

Ale choć przewracali wszystko do góry nogami, jakoś nie znajdowali niczego, co mogłoby się łączyć z chilijskim okresem życia Unni.

Vesla raz po raz zdmuchiwała z czoła spocone włosy, Unni trochę się o nią niepokoiła, ale przecież Antonio jest lekarzem i z pewnością czuwa.

Rozczarowani stali w wirujących obłokach kurzu.

– Nie ma już innych zakamarków? – spytał Jordi.

– Jeszcze tylko komórka na narzędzia, połączona z garażem – wyjaśnił Atle. – Ale tam w zeszłym roku robiłem generalne porządki. Nie, tam nie ma nic.

– To może zajrzyjmy jeszcze do ostatniej części piwnicy – zaproponowała Inger. – Tam gdzie stoją wszystkie nasze pamiątki z podróży, dla których nie znaleźliśmy innego zastosowania. Wiecie przecież wszyscy, ile to człowiek przywozi z wakacji. Te jakieś wiatraczki z porcelany, portugalskie łódeczki z drewna, miniaturowe słoniki, reklamówki z hoteli… zawsze tego pełno w walizkach. W piwnicy jest taka szafa, której od lat nie otwierałam!

Pospiesznie zeszli po schodach.

I tam, z najgłębszej półki niskiej szafy Inger wyciągnęła walizeczkę. Małą, różową, taką jakie czasami miewają podróżujące dziewczynki.

– Rany boskie! – jęknął Atle. – Skąd ona się tu wzięła? Walizka była stara i zniszczona, zamki i okucia pordzewiały.

– Przyjechała razem z Unni – szepnęła Inger wzruszona. – Wydawało mi się, że to była paczka, ale teraz pamiętam, to była ta walizka. Mam nadzieję, że nie jest pusta. Nie, chyba na to za ciężka. Chodźcie, wracamy na górę!

W jasnym salonie mogli dziecięcą walizeczkę poddać dokładniejszym oględzinom. Atle próbował otworzyć zamki, ale zardzewiałe, nie chciały ustąpić. W końcu jednak on i Jordi dali im wspólnymi siłami radę.

Większość zebranych poczuła ucisk w gardle patrząc na starannie ułożone w środku maleńkie sukienki z kwiecistego materiału. I na parę bucików absolutnie nie norweskiego pochodzenia. Były to właściwie proste sandałki, w jakich widuje się dzieci w południowoamerykańskich filmach.

Poza tym w walizce była lalka.

Unni ujęła ją niemal z czcią. Musiała głęboko wciągać powietrze, by powstrzymać dławiący ją płacz.

Lalka była szmaciana, najwyraźniej domowej roboty, całkowicie pozbawiona wszelkiego wdzięku. Ale Unni przycisnęła ją mocno do serca.

Prawdopodobnie od czasu do czasu zastanawiała się, jaka była jej prawdziwa matka, jak wyglądała. Ojciec pozostawał absolutnie nieznany i anonimowy, jego więc nie można było odnaleźć. Ale matka?

Młoda dziewczyna, z pochodzenia Hiszpanka, która zmarła w wieku dwudziestu pięciu lat, kiedy Unni była noworodkiem. Ponieważ adopcja wymagała czasu, Unni przybyła do Norwegii jako dziecko kilkumiesięczne. Okres od śmierci matki do wyjazdu spędziła w chilijskim domu dziecka.

Ale te rzeczy w walizeczce były jedynym darem matki dla swojej córeczki. Dwie sukienki i buciki przeznaczone dla kogoś, kto się właśnie nauczył chodzić. No i ta lalka…

Gardło Unni zaciskało się coraz bardziej, matka nieoczekiwanie stała się osobą, człowiekiem z krwi i kości, a nie tylko słowem, mającym coś wspólnego z jakimś dalekim krajem.

Ponownie przyjrzała się lalce. Zabawka sprawiała wrażenie używanej. I bardzo starej. Uszyta z materiału, bardzo prymitywna, trochę jakby za szeroka i dziwnie płaska, ubrana w krótką sukienkę. Pozbawiona włosów i twarzy, ręce i nogi zwisały żałośnie.

– Zdaje mi się, że ona w dzieciństwie się nią bawiła – rzekła Unni zachrypłym głosem.

Inger przypomniała sobie:

– W domu dziecka mówili, że ona bardzo nalegała, by ta lalka była z tobą.

Tak jak Jorge nalegał, by potomkowie brata zabrali habit, pomyślała Unni.

– W walizce były tylko te rzeczy – powiedział Atle. – Żadnego listu, żadnej wartościowej pamiątki.

Antonio dokładnie zbadał samą walizkę. Była pozbawiona jakichkolwiek tajemnych schowków, żadnego drugiego dna. Inger wyjęła sukienki i rozłożyła je.

– Mógłbym na chwilę dostać lalkę, Unni? – poprosił Jordi łagodnie.

Oddała mu zabawkę prawie niechętnie. Szmaciana główka kiwała się i dyndała tam i z powrotem. Unni napotkała wzrok Jordiego. Najwyraźniej myślał to samo co ona. O Jorgem, który upierał się odnośnie mnisiego habitu. A co, jeśli matka Unni…

Jordi ostrożnie ścisnął lalkę. Delikatnie badał płaski korpus.

– W środku coś jest – powiedział bez wyrazu.

– Tylko jakiś wypełniacz – odparł Antonio, by stłumić zbyt wielkie oczekiwania.

– No, nie wiem – Jordi był sceptyczny. – Unni, pozwolisz, byśmy ją rozpruli?

Skinęła głową z zapałem, wiedziała, że Jordi zrobi to naprawdę ostrożnie, po szwie.

Inger przyniosła nożyczki. W pokoju panowała absolutna cisza, kiedy Jordi z największą uwagą robił najpierw małą dziurkę na bocznym szwie. Wiele palców aż się rwało, żeby pomóc.

Jordi wyjmował jakieś brudne szmatki, chyba resztki pociętej na kawałki pończochy. A także stary, wysuszony mech. I nagle jego palce zacisnęły się na czymś innym.

– Co to? – spytała Vesla, która nie mogła dłużej wstrzymywać oddechu. – Może papier, chyba jakiś pakiet.

Oba przypuszczenia okazały się słuszne. Jordi najpierw wyjął arkusz papieru złożony w ośmioro… nie, nawet chyba w szesnaścioro albo i więcej, bo powstał z niego tylko twardy prostokąt. Następnie oczom zebranych ukazał się pakiecik zawinięty w miękką tkaninę. Dla pewności raz jeszcze wsunął dłoń do wnętrza lalki, ale nic więcej już nie znalazł.

– Zacznij od zawiniątka – poprosił Antonio.

Jordi wolno rozwijał tkaninę, Unni przestępowała z nogi na nogę, Morten oddychał głośno.

Ostatni kawałek tkaniny został usunięty, na dłoni Jordiego leżał gryf rodu de Vasconia.

– A teraz papier – rozkazał Antonio, kiedy już umilkły wszelkie komentarze i okrzyki radości z powodu znaleziska.

Unni cieszyła się tylko z tego, że nie będzie musiała jechać do Chile i „wspinać się" na niemożliwe drzewa genealogiczne.

I jeszcze inna sprawa: jej zadanie zostało wypełnione, jeśli więc Jordi chciałby ją ze sobą zabrać do Hiszpanii, jest wolna i może mu towarzyszyć!

– No a gdyby nam się nie udało odnaleźć wszystkich gryfów? – zastanawiał się Morten przebiegle. – To czy w takim razie nie moglibyśmy wykonać kopii brakujących na podstawie tych, które już są?

– Obawiasz się, że nie potrafimy ich odnaleźć? – uśmiechnął się Jordi cierpko. – Nie zapominaj, że Urraca, dobra czarodziejka, macza palce w tej skomplikowanej sprawie! Nasz pierwszy amulet sprawił, że wróciłem do zdrowia. Vesla też czuje się znacznie lepiej i bezpieczniej niż przedtem. Wszystkie gryfy razem mają z pewnością swoją ważną rolę do spełnienia i specjalną siłę. Są więc niezbędne wszystkie. Nie żadne kopie!

Morten skinął głową na znak, że rozumie.

Jordiemu udało się rozłożyć papier. Zebrani bali się, czy składanie nie zamazało ewentualnego tekstu, ale nie, był czytelny. Po hiszpańsku. Jordi przetłumaczył:

„Santiago de Chile, 3 października 1959 roku. Kochana, mała Angelo!"

Dalej Jordi nie zdążył się posunąć, przerwały mu okrzyki i komentarze.

– To ja mam na imię Angela? – dziwiła się Unni.

– Nie, zaczekajcie, dajcie powiedzieć – przekrzykiwali się jedno

przez drugie.

– Data się nie zgadza – zauważyła Gudrun.

– Unni, to ty jesteś taka stara? – wołał Morten rozbawiony. – No, chociaż, jakby się przyjrzeć…

Inger Karlsrud wyjaśniła:

– To mama Unni miała na imię Angela.

– No tak, to bardziej prawdopodobne – zgodziła się Vesla.

– Ale w takim razie… Czytaj dalej, Jordi – poprosiła Unni.

– Tak jest. Mamy tu najwyraźniej do czynienia z listem od babki Unni, skierowanym do córki, matki Unni, czy to jasne?

– Oczywiście, czytaj! „Kochana, mała Angelo!

Jesteś już dużą dziewczynką, masz cztery lata. Ja muszę cię teraz opuścić, już o tym rozmawiałyśmy. My, w naszej rodzinie, żyjemy nie dłużej niż dwadzieścia pięć lat, dowiedziałam się o tym jeszcze w domu, w moim starym kraju, ale nie chciałam w to wierzyć. Teraz jednak wiem, że płomień mego życia zgaśnie wkrótce, czuję to.

Pilnuj dobrze tej lalki, o tym też rozmawiałyśmy. Amulet, który jest w niej ukryty, przechodził jako dziedzictwo z pokolenia na pokolenie, i podobno przynosi szczęście. Pamiętaj, że kiedy dorośniesz powinnaś otworzyć lalkę i przeczytać to, co teraz do ciebie piszę. Jest to przeznaczone jedynie dla twoich oczu, dla nikogo więcej. Mój dziadek był młodszym bratem tego, który w jego pokoleniu musiał umrzeć młodo, i opowiedział mi prastarą legendę. O drodze, która wiedzie przez góry na zachód. Wielu z jego przodków próbowało tę drogę odnaleźć, żadnemu jednak się to nie udało, bowiem jedni z nich zostali wyrwani z życia po skończeniu dwudziestu pięciu lat, inni zaś pobłądzili w drodze.

Ta droga nie znajduje się tutaj, w Chile, moja kochana, lecz w naszym starym kraju, w Euskadi…”

– Oto znowu pojawia się nazwa Euskadi! – zawołała Vesla. – Co to znaczy?

– To Kraj Basków w języku baskijskim albo, jak oni to mówią: euskara.

– A więc don Sevastino Krwawy miał w swoim nazwisku Rioja, Nawarrę, jak i Euskadi? Imponujące! Ale chyba nie panował w tym kraju?

– Nie, to tylko taki dziedziczny honor.

– To dobrze. – Vesla była zadowolona. – Co więcej napisała babcia Unni?

– Posłuchajmy: „Chciałabym, abyś zapamiętała i przekazała swojemu najstarszemu dziecku parę luźnych słów, których sensu nikt nie rozumie.»Zostało na nich rzucone przekleństwo i musieli się rozłączyć, przekroczyć granice śmierci, ale że słowa miały ich znowu połączyć. Mogli jedynie lecieć razem jak ptaki, ale bardziej bezpieczni

nigdy być nie mogli. Mroczna groza wisiała nad nimi wszędzie«„.

Cisza zaległa w wygodnym, komfortowo urządzonym salonie rodziny Karlsrud. Zastanawiano się nad listem, choć przecież większość – wiedziała, co to przesłanie oznacza.

Unni powiedziała po chwili:

– To właśnie pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego ci młodzi nigdy nie stali blisko siebie. Nigdy na siebie nawzajem nie patrzyli.

– Tak – potwierdził Jordi. – Ale znamy ich także jako małe gile, przeganiane przez duże, czarne wrony. Mroczna groza, to oczywiście mnisi.

– Zgadza się. Ale co ze „słowami, które mogą ich znowu połączyć”?

Antonio miał na to odpowiedź:

– Myślę, że to się odnosi do naszego: AMOR ILIMITADO SOLAMENTE.

– Tak uważasz? – spytała Unni zamyślona. – No, może masz rację. Jordi, co to Jorge napisał, że każdy ród miał swój wkład? I każdy gryf swoje zadanie. Jaki wkład miał ród Vasconia? Znalazłeś coś na ten temat?

Jordi myślał przez chwilę. Jego pełne ciepła spojrzenie spoczywało na Unni. Jej zdaniem był taki dojrzały, posiadał taki autorytet, choć należał do tych osób w grupie, które wypowiadają się rzadko. Teraz jednak powiedział:

– Moim zdaniem to jest właśnie to, o dwojgu zamordowanych młodych ludziach. I czy nie zwróciliście uwagi, jak nasze odkrycia krok po kroku odtwarzają historię?

– Nie, mnie się zdaje, że raczej ją burzą – mruknęła Unni. – Im bardziej się do niej zbliżamy, tym bardziej robi się skomplikowana.

– Tak się może wydawać, ale niech no tylko odnajdziemy wszystkie gryfy, to…

– To wyłoni się coś nowego, jeszcze bardziej złożonego. Ta sprawa nigdy nie będzie mieć końca – westchnęła Vesla przygnębiona. – Nigdy się z tym nie uporamy!

Pozostali milczeli, bo w gruncie rzeczy przyznawali jej rację. Rozwiązywali jakieś supły, ale tak naprawdę wciąż dreptali w miejscu.

Z tą deprymującą świadomością wyruszyli z powrotem do swojego domu, czyli do willi.

5

Pedro, który pracował w swoim wspaniałym domu w Madrycie, wpadł na znakomity pomysł.

Był i chciał pozostać ostatnim w swoim dotkniętym nieszczęściem rodzie. Nigdy jednak nie słyszał, żeby ktoś z jego krewnych mówił o jakimś amulecie w formie gryfa.

Wcześnie utracił rodziców, otrzymał jednak wielki spadek, sam też miał lukratywną posadę. Dom pod Madrytem wart był majątek, tylko ten jeden dom, i kiedy się dobrze zastanowił, zdał sobie sprawę, że nigdy właściwie nie obejrzał wszystkiego, co posiada.

Stał w swojej sypialni pogrążony w myślach.

Jakiś gryf? Nie, był właściwie pewien, że amulet musiał zaginąć wiele wieków temu.

Ale Unni odnalazła gryf rodu Vasconia. I to po jego długiej, pełnej niebezpieczeństw wędrówce z Hiszpanii do Chile i stamtąd do Norwegii. W rodzinie z czasem coraz bardziej pospolitej i zbiedniałej, dziewczynkę bowiem znaleziono w slumsach.

Czyżby więc jego znakomity i bogaty ród nie mógł zadbać o swój klejnot?

Pedro czuł się w tej sprawie osamotniony. Inni członkowie grupy pracują razem, a on jest od nich daleko.

Może powinien wezwać Flavię? Przecież zawsze byli znakomitymi współpracownikami.

Ale w gruncie rzeczy nie o Flavii chciał myśleć.

Postanowił, że upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu. Od dawna już zamierzał obdarować Gudrun czymś wartościowym z bogatej rodowej kolekcji klejnotów. Ponieważ jednak niemal przez całe swoje życie był człowiekiem samotnym, nie bardzo się zajmował tymi skarbami. Słyszał kiedyś, że leżą sobie zamknięte w bankowym skarbcu. Będzie musiał zapytać swego plenipotenta. Najpierw jednak zatelefonował do Gudrun.

– Moja droga, jesteś mi teraz potrzebna. Tęsknię za tobą, bardzo mnie rozpieściłaś swoją bliskością w ostatnich czasach. Czy nie mogłabyś wsiąść do pierwszego samolotu i przylecieć tutaj? Potrzebuję mądrej kobiecej rady, a poza tym strasznie mi ciebie brakuje!

Czy ktoś, kto ma na imię Gudrun i jest zakochany po uszy, oparłby się takiej prośbie?

Uspokoiła swoje sumienie tym, że Morten wyjeżdża do Skanii. Z pewnością nie pragnie zabrać tam ze sobą babki, mogła więc bezzwłocznie obiecać Pedrowi, że przyjedzie.

W willi wybuchło oczywiście wielkie zamieszanie, nie brakowało

okrzyków zdumienia i rozczarowania, kiedy wyjawiła swoje plany. Morten twierdził nawet, że został odrzucony, choć to przecież on ma przywilej odrzucania.

Nastrój wcale się nie poprawił, gdy Antonio zaproponował, że skoro Unni jest już wolna, to może towarzyszyć Mortenowi do Skanii.

Morten się wściekł, a Unni rzuciła w stronę Antonia rozpaczliwe spojrzenie i pospiesznie wybiegła z pokoju.

– No pięknie się zachowałeś, mój braciszku, nie ma co – syknął Jordi przez zaciśnięte zęby i pospieszył za nią.

– Co się dzieje? Nic nie rozumiem – jęknął Antonio. Vesla była bardziej domyślna:

– Unni miała nadzieję pojechać z Jordim. On też sobie tego życzył.

– Rany boskie, wielkie rzeczy! – oburzył się Antonio. – Oni się ani na chwilę nie rozstają. Raz mogliby chyba spróbować!

– Przecież zostało im już tak mało czasu – rzekła Vesla cichutko. – Dni Jordiego są policzone.

Antonio westchnął.

– No tak, przepraszam!

– A czy ktoś może by spytał, ile czasu mnie zostało, albo czego ja bym chciał? – żalił się Morten wciąż zły. – Ale nie, nie! Nie przejmujcie się mną.

– Ależ owszem, Mortenie – powiedział Antonio, choć myślami był gdzie indziej. – Czego byś pragnął?

– Ja chce. sam wypełnić swoje zadanie. Absolutnie nie potrzebuje, żadnej dziewczyny do pomocy.

– Jak sobie życzysz.

Morten trochę się uspokoił. Widocznie uznał, że samotny wyjazd nie jest mimo wszystko taki zabawny.

– Zdaje mi się, że zaczynamy działać sobie nawzajem na nerwy – stwierdziła Gudrun cierpko. – Dobrze nam zrobi, jak grupa się podzieli i na pewien czas się rozstaniemy.

Antonio był smutny i zły na siebie, bo to on spowodował zamieszanie. A przecież chciał dobrze.

Unni siedziała na swoim łóżku, kolana podciągnęła pod brodę i kiwała się w tył i w przód.

– Dłużej tego nie zniosę – pojękiwała, kryjąc twarz w dłoniach. – Dłużej tego nie zniosę!

– Ani ja – usłyszała melodyjny, teraz trochę urażony głos Jordiego i przestraszona podniosła wzrok. Nie słyszała, jak wchodzi.

Usiadł obok niej, oczywiście w odpowiedniej odległości.

– Najdroższa, to, co przeżywamy, to prawdziwa tortura. Żeby tęsknić tak jak ja za tobą i nie móc ci okazać swojej miłości, nie móc cię nawet objąć…

– Tak, ze mną jest podobnie – przyznała Unni. – Ale już samo to, że mogę słyszeć zapewnienia, jak mnie kochasz, to… nie, to nie wystarczy. Niekiedy mam ochotę zlekceważyć ten idiotyczny chłód i po prostu do ciebie przyjść, obejmować cię, przytulać, dopóki cała się nie przemienię w tysiące lodowych kryształów. Jordi nie zaraz odpowiedział.

– Mamy pół godziny, wiesz o tym – rzekł po chwili niepewnie.

– Pamiętam, ale strasznie jestem skąpa, jeśli chodzi o te pół godziny. Ponad wszystko chcę je oszczędzić, bo kiedy już je zużyjemy, to będzie po wszystkim. Nie zostanie nam po prostu nic.

– To prawda. Poza tym dom jest pełen ludzi. Ale jak myślisz, jak długo będziemy w stanie czekać?

– Chyba zbyt długo nie – wybuchnęła i wstała z miejsca. – Nie mogę siedzieć tak blisko ciebie, całe moje ciało reaguje, po prostu płonie. Jeśli nie będziesz uważał, to w końcu zgwałci cię jakiś lodowy sopel. Uff, nie, wybrałam głupie określenie. Wybacz mi!

Jordi uśmiechnął się. On wstał także i podszedł do niej.

– Przecież wiesz, że ja sam chłodu nie zauważam, należy więc dyskutować, kto tu kogo zgwałci.

– Nikt. Nie można mówić o gwałcie, kiedy obie strony tego pragną.

– I to jeszcze jak bardzo. – Jego oczy pociemniały z żalu. – Gdybym chociaż mógł cię dotknąć, poczuć twoje wargi na swoich.

Mimo woli zaczęli się do siebie zbliżać. Z największą ostrożnością Jordi wyciągnął do niej ręce w błagalnym geście, a gdy Unni bezradnie przysunęła się do niego, położył jej dłonie na ramionach.

Już dawno nie mieli odwagi podejść do siebie tak blisko, bali się lekceważyć los lub igrać z nim.

– Jordi – wyszeptała Unni zdumiona. – Szron skrzy się na moich ramionach!

– I na całym ciele.

– Wygląda na to, że chłód jest większy niż zazwyczaj.

– Bo nasze uczucia są gorętsze. Nasza tęsknota jest coraz większa i akurat teraz trudna do zniesienia.

– Tak – potwierdziła szeptem. – Wszystko staje się coraz bardziej intensywne, przybiera na sile. – Jordi – poprosiła gorączkowo. – Pocałuj mnie! Zrób to, dopóki jeszcze możemy!

W jego ciemnych oczach widziała rozpaloną tęsknotę.

– Nie – odpowiedział Jordi ochryple, z rozpaczą w głosie. – Twoja twarz jest już biała z zimna. Włosy masz sztywne, jakby mróz chciał je pokruszyć na kawałki. Nie mogę uczynić tego, czego pragnę ponad wszystko na świecie.

Unni nie była już w stanie rozmawiać. Otulało ją lodowate powietrze, Jordi miał trudności, żeby się od niej odsunąć, bowiem cała

jego tęsknota skierowana była ku Unni. Tak strasznie pragnął wezwać rycerzy i poprosić ich, by mogli te obiecane pół godziny wykorzystać teraz. Tylko że chwila była niestosowna. Nie mieli odpowiednich warunków, docierały do nich głosy przyjaciół, w tym domu wszystko wszędzie słychać, a Jordi chciał, żeby te ich darowane chwile były najpiękniejsze, najbardziej wyszukane jak to możliwe. Bo Unni powiedziała prawdę: Potem nie będą już mieli na co czekać.

Gwałtownie, całą siłą woli wyrwał się z tego zaczarowania, jakim jest miłosne uniesienie. Musiał działać odpowiedzialnie, Unni bowiem była całkowicie bezradna. A już przedtem widział, jak bliskie śmierci może być zamrożenie spowodowane jego bliskością. Ona naprawdę mogłaby umrzeć!

Niestety, musiał jej jeszcze raz dotknąć. To konieczne, bo Unni nie mogła się już sama poruszać. Uniósł ją i położył na łóżku, otulił kołdrą, przyniósł jeszcze jeden koc. Poszedł do kuchni po kubek gorącej wody, nie chciał, żeby inni widzieli, że znowu zamroził swoją ukochaną.

Unni wlała w siebie gorącą wodę i jej twarz z wolna zaczęła odzyskiwać kolory. Dziewczyna jednak dygotała na całym ciele tak bardzo, że łóżko zdawało się trząść, Jordi ponad wszystko pragnął jej pomóc, ogrzać ją ciepłem własnego ciała, ale nie mógł.

– Dziecko moje, jak ja cię kocham – powtarzał niepocieszony.

– Twoje słowa mnie rozgrzewają – uśmiechała się Unni, chociaż jej glos skrzypiał i Jordi z trudem ją słyszał.

Domyślał się, że zapewnia go o swojej miłości. Przepełniony smutkiem, że nie wolno mu się nawet do niej zbliżyć, musiał odejść, żeby ona mogła wrócić do życia.

Jednocześnie

Rycerze dali znać, że chcą rozmawiać z Jordim. W osobnym pomieszczeniu.

Imponujące osobne pomieszczenie, można powiedzieć. Niebo jako sufit, jasnozielone lasy w oddali jako ściany.

Piękna kwitnąca łąka.

Po zwyczajowych pokłonach i wszystkich grzecznościowych frazach głos zabrał don Federico i oznajmił swoim głuchym głosem starego człowieka:

„Z przyjemnością obserwujemy wasze sukcesy".

– Dziękuję. Wydaje mi się jednak, że czas płynie szybciej, niż my dokonujemy naszych odkryć. Czy nie moglibyście nam pomóc w odnalezieniu brakujących gryfów?

„To leży poza granicami naszych wpływów".

Jordi westchnął w duchu i spytał, czego od niego chcą tym razem.

„Wy wszyscy za mało uwagi zwracacie na niebezpieczeństwo" – odparł don Ramiro.

– Wydawało mi się, że większość niebezpieczeństw zdołaliśmy wyeliminować – powiedział Jordi trochę zdziwiony. – Liczba mnichów została zredukowana z trzynastu do sześciu i od jakiegoś czasu trzymają się oni od nas z daleka. Czy może Leon i jego kompania znowu przystąpili do akcji?

„Nie o nich teraz mówimy. Powinniście wiedzieć, że macie innego wroga".

– Tego, który ukradł z samochodu nasze papiery?

„Otóż to! Musicie zdawać sobie sprawę, że to ludzie groźniejsi niż się wam zdaje, bo mają wielką wiedzę".

– Jakiej my nie mamy?

„I to też. Chociaż z drugiej strony, wy wiecie więcej. I oni zdają sobie z tego sprawę. Rozglądajcie się tedy uważnie!"

– Trudno jest się rozglądać, kiedy człowiek nie wie za kim. Czy nie moglibyście dać nam jakichś wskazówek?

W tej chwili jednak rycerze rozpłynęli się we mgle i Jordi został sam pośród kwitnących mleczów i bodziszków o bardzo wyszukanych kolorach.

Nienawidził tego zachowania rycerzy. To nieelegancko tak po prostu znikać, kiedy się nie chce czy nie może odpowiedzieć.

Tchórze!

6

Sprawy ułożyły się tak, że Morten mógł pojechać do Skanii sam. Dostał samochód babci Gudrun, nie taki wprawdzie ekscytujący jak samochód Antonia, ale zawsze, i mógł wyruszyć w swoją niebezpieczną podróż.

Unni zaś pozwolono towarzyszyć Jordiemu, z czego oni oboje byli niesłychanie radzi. Nie udało się ich rozdzielić.

Planowali, że pierwszą część podróży odbędą razem z Gudrun, ona jechała do Madrytu, oni zaś do Asturii w poszukiwaniu starych dokumentów. Pedro dał im *na* początek ważne informacje: ród don Galinda wymarł już w trzecim pokoleniu i Pedro odnalazł imiona wszystkich potomków don Galinda. Nie było ich znowu tak wielu. Sam don Galindo miał czworo dzieci i one wszystkie, jako pierwsze pokolenie jego następców, zostały obciążone przekleństwem.

Dwoje jednak przeżyło straszną granicę dwudziestu pięciu lat i mogło żyć dalej. Pozostałych dwoje zmarło bezpotomnie po ukończeniu dwudziestego piątego roku. Z tych, którzy przeżyli, brat miał jedno dziecko, siostra zaś dwoje. Potomek brata zmarł jako człowiek dwudziestopięcioletni i wtedy złym dziedzictwem zostało obciążone starsze dziecko siostry. Był to syn, on również umarł bezpotomnie. W tej sytuacji dziedzictwo powinno przejść na dzieci jego siostry, ona jednak nie znosiła mężczyzn, nie wyszła za mąż i nigdy nie urodziła dzieci. Tak więc ród wygasł razem Z nią.

– A więc siostra była ostatnią z rodziny – stwierdziła Unni. – Jak ta kobieta miała na imię, gdzie mieszkała, czy mamy jakieś informacje na jej temat?

– Trzy pytania, trzy odpowiedzi: 1. Laura. 2. Oviedo. 3. Tego nie wiem. Właśnie tego powinniśmy szukać w Oviedo.

Ale Jordi i Unni nie mogli towarzyszyć Gudrun. Zatrzymały ich jakieś biurokratyczne kłopoty, musieli zaczekać kilka dni, aż się wszystko wyjaśni.

Działało im to na nerwy, bo jeśli czegoś nie mieli w nadmiarze, to właśnie czasu.

Gudrun musiała polecieć sama. Przyjechała do Madrytu i poczuła się tak, jakby znalazła się w domu. W tym mieście, potwornie gorącym latem i mroźnym w zimie, siedziała oto w samochodzie Pedra i była szczęśliwa. Serce zaczęło jej bić trochę niespokojnie dopiero wówczas, gdy zobaczyła willę Pedra, wspaniałą niczym pałac. To już chyba za wiele, myślała, to raczej styl Flavii, a nie mój, prostej kobiety z norweskiego zachodniego wybrzeża.

Pedro jednak z radością i spokojem oprowadzał ją po domu i ogrodzie, pokazywał całą posiadłość. Nie minęło wiele czasu, a i tu

poczuła się jak u siebie.

Po południu pojechali do banku i wydobyli ze skarbca wiele solidnych szkatuł zawierających rodowe kosztowności. Przywieźli wszystko do domu i rozłożyli na wielkim stole w salonie.

– O mój Boże. – jęknęła Gudrun, kiedy Pedro wyjmował tiary i diademy oraz mnóstwo mieniących się klejnotów. – Trudno się spodziewać w czymś takim małego, prostego amuletu.

– No, masz rację! Mnie samemu to zaimponowało – powiedział Pedro, kierując ostre światło lampy na wydobyte wspaniałości. – Nie miałem pojęcia, że posiadam tego aż tyle. Ale jeśli człowiek wie, czego szuka, to zwykle to znajduje.

Wysypali skarby na stół. Pokryły niemal cały blat, choć do małych nie należał.

Gdy opróżnili wszystkie szkatuły, Gudrun zapytała:

– I to już wszystko?

Roześmiali się oboje.

Pedro był uszczęśliwiony, że nareszcie znalazł kogoś, z kim może dzielić każdą radość. I śmiać się swobodnie bez pamiętania o konwenansach. Gudrun była z natury otwarta, nie miała w sobie nic ze sztuczności, przyjmowała wszystko z prostotą, choć w istocie była osobą głęboko wrażliwą i myślącą. Pedro uważał, że przeżywają oboje wspaniałą przygodę i wzdychał raz po raz ze szczęścia.

Ale małego amuletu pośród rodowych skarbów nie było.

Kiedy to sobie uświadomili, przeżyli rozczarowanie.

– Innych kryjówek już nie ma?

– O ile mi wiadomo, to nie.

Pedro podarował Gudrun piękny naszyjnik ze szmaragdami i diamentami.

Zrozumiała, jak poważne są jego zamiary, gdy powiedział:

– Należał do mojej matki. To ona pochodziła z jednego z najstarszych rodów Galicji.

Na nic się zdały protesty, Pedro nalegał, by przyjęła dar. Wzruszona do łez, podziękowała mu pocałunkiem. Pedro zgarnął pozostałe klejnoty ze stołu.

– Czy coś jeszcze by ci się podobało?

A należało to rozumieć tak: To wszystko może być pewnego dnia twoje, jeśli zechcesz. Gudrun jednak była bardzo poważna.

– Daj spokój – bąknęła skrępowana. – Spójrz tam! – zawołała nagle. – Czy te ozdoby po prawej stronie nie wyglądają na bardzo stare?

– Przypuszczalnie należą do najstarszych skarbów naszego rodu. A już na absolutnie najstarszą wygląda ta przypominająca koronę tiara. Teraz tiary chyba zupełnie wyszły z użycia. Może papież i jacyś królowie posiadają jeszcze coś takiego. Zastanawiam się zresztą, czy to

nie jest korona, prosta i stosunkowo skromna… ale chyba nie, Galicja nigdy nie była królestwem.

Gudrun złapała go za rękę.

– Pedro, czy ty też widzisz to co ja?

Popatrzył tam, gdzie ona. Na te. jakąś tiarę czy koronę, wykonaną w bardzo staroświeckim stylu, z czerwonymi kamieniami w nie do końca zamkniętym wieńcu z metalu, którego nie potrafili zidentyfikować, a który najbardziej ze wszystkiego przypominał oksydowane srebro. Klejnot należało oczyścić, to wtedy pewnie ukazałyby się wyszukane barwy.

Teraz jednak ich wzrok przyciągały inkrustacje na obu końcach w tylnej części korony. Wzory były różne, po prawej stronie jakiś fantastyczny ornament, ale po lewej…

– Czy to… gryf? – wykrztusił Pedro. – Tak, taki sam jak tamte dwa.

– Rzeczywiście jest bardzo do nich podobny – przytaknęła Gudrun. – Wtłoczony w tiarę dla ukrycia… i żeby można go było przechować dla przyszłych pokoleń. Ale, Pedro, tamtym gryfom towarzyszyły jakieś przekazy pisane, różnego charakteru, ale zawierały informacje. Tutaj niczego takiego nie ma.

– To prawda. Będę oczywiście szukał, ale chyba informacja zaginęła. Trzeba będzie przełamać tiarę. Szkoda, ale mam nadzieję, że zdolny jubiler potrafi ją naprawić.

– No i popatrz, jest tak, jak powiedziałeś: Jeśli człowiek wie, czego szuka, zazwyczaj to znajduje. Myślę, że nie zwrócilibyśmy uwagi na gryfa, gdybyśmy o nim nie wiedzieli.

– Absolutnie nie.

Pedro nadal trzymał tiarę w ręce. Stukał w gryfa, żeby sprawdzić, czy nie da się go wyjąć, ale, rzecz jasna nie udało mu się to.

Gudrun, która była kobietą praktyczną, z przykrością patrzyła na zanieczyszczony klejnot. Ocknęło się w niej sumienie gospodyni. Stanowczym krokiem poszła do kuchni, gdzie poprosiła o środek do czyszczenia srebra i potrzebne do takiej pracy przybory.

Ustawiła miskę na stole i zanurzyła starą tiarę w płynie.

– To chyba jednak jest swego rodzaju korona – mamrotała pod nosem. – Podobna do tych, jakie mieli królowie z czasów sag lub w Sparcie. Tylko że tamte chyba rzadko bywały zrobione ze srebra, prawda?

– Tak, częściej z żelaza, brązu albo miedzi. A kiedy miało być naprawdę bogato, koronę robiono ze złota. Domyślam się, że to jest dziedzictwo z bardzo dawnych czasów. Musimy pamiętać, że Galicję podbijały bardzo różne ludy. Rzymianie, Wizygoci, Arabowie, Maurowie, Asturyjczycy, Frankowie, a najpóźniej Habsburgowie… No, ci ostatni nie mieli zbyt wiele do gadania.

– To fantastyczne, że różne narody zdołały zachować swoją odrębność – powiedziała Gudrun, zaczynając polerować wymyty klejnot miękką ściereczką.

– Tu chodzi o terytoria słabo zaludnione – wyjaśnił Pedro. – Galicja była biedną krainą, teraz ma się znacznie lepiej. Pochodzi stamtąd bardzo wielu artystów. Niestety problemem jest emigracja do Ameryki Południowej…

– Pedro! – Gudrun przerwała jego wykład i uniosła tiarę do światła. – Zobacz, co się kryło pod tym całym brudem! Przepraszam, brud to nieodpowiednie słowo. Chciałam powiedzieć: pod patyną!

Pedro również podniósł się z miejsca. Stali teraz tuż obok siebie, on ją przytulił, na co Gudrun odpowiedziała uśmiechem. Powoli obracała koronę w rękach. – Ten cieniutki wężyk na całej długości, pod gryfem i dalej.

– Tak, ja też widzę, wypoleruj to jeszcze trochę, bądź tak dobra! Wszystkie zagłębienia i rowki!

Klejnot był naprawdę bardzo zaśniedziały, ale w miarę jak Gudrun tarła, wyłaniał się tekst.

– Masz może szkło powiększające?

– Oczywiście, leży tam. Dopiero co go używałem przy odczytywaniu dziennika Estelli.

– Pismo jest pewnie czytelne dla lepszych oczu – przekomarzała się z nim Gudrun. – Ale mając lupę nie trzeba się tak wysilać.

Wspólnymi siłami odczytywali hiszpański tekst, który w tłumaczeniu brzmiał mniej więcej tak:

„Rzymianie ochrzcili okolicę, ale nic nie wiedzieli o Veigas. Orły przybędą ostatnie”.

– Oj – odetchnęła Gudrun. – No to mamy przesłanie rodu Galicia!

– Tak – uśmiechnął się Pedro.

– Ale w takim razie ta korona musi mieć więcej niż sześćset lat.

– Oczywiście! Ale jeśli się dobrze przyjrzeć spojeniom wokół gryfa, to widać, że musiały powstać później. Na przykład pod koniec piętnastego wieku, kiedy żyli nasi rycerze. No i nietrudno było równocześnie wygrawerować tekst.

– W porządku, ale jest coś, o czym od początku myślę. Czy mianowicie nasi rycerze nie pojawili się trochę za późno? Czyż epoka rycerska nie skończyła się dużo wcześniej?

– Owszem, ale to się różnie układało. W niektórych okolicach zachowywano nazwę jako honorowy tytuł lub wyróżnik. Wielu książąt chciało mieć na swoich dworach rycerzy. Zdaje mi się, że przede wszystkim w Europie Północnej zaniknęła istota rycerstwa, a w to miejsce pojawili się rozbójnicy. Nie wątpię ani przez chwilę, że nasi rycerze, cała piątka, należeli do szlachetnego rodzaju tego stanu.

– W pełni się z tobą zgadzam. No i teraz przynajmniej orły zostały

jakoś bardziej zlokalizowane. Nie musimy szukać ich od początku.

– „Orły trzy wskazują drogę…” Jeśli przybędą na końcu, nie będzie to chyba długa droga, którą pokazują? Nie, Gudrun, wykonaliśmy kawał dobrej roboty!

– No, popatrz, jacy jesteśmy zdolni! – śmiała się podniecona.

Zadzwonili do Norwegii, by przekazać przyjaciołom radosną nowinę na temat gryfa.

– Trzy z pięciu – powiedział Antonio. – To naprawdę niezły początek!

Mieli gryfy rodu Navarra, Vasconia i Galicia, mieli też towarzyszące im teksty.

Nikt nie powiedział głośno tego, o czym wszyscy myśleli, że najtrudniej będzie odnaleźć dwa pozostałe: gryfy dwóch wymarłych rodów.

7

Jak wielu Norwegów przed nim, Morten był oszołomiony szybkością na szwedzkim odcinku E6, między północnym Bohuslan a Skanią. Gnał przed siebie w nastroju euforycznym, zostawiał za sobą jednego po drugim powolnych niedzielnych kierowców i wyciskał z samochodu Gudrun wszystkie możliwości.

Ech, żeby tak mieć tutaj samochód Antonia, myślał. Wtedy pokazałbym im, co to znaczy szybkość!

W pobliżu Varberg został zatrzymany do policyjnej kontroli.

Bardzo zawstydzony Morten musiał przyznać, że być może jechał cokolwiek za prędko, owszem.

– Norweg! – prychnął tylko policjant.

Morten musiał wykonać upokarzający telefon do willi, gdzie akurat znajdował się Atle Karlsrud, i poprosić go, by porozmawiał z policjantem.

Co powiedział adopcyjny ojciec Unni, Morten nigdy się nie dowiedział, ale nie musiał oddawać prawa jazdy ani samochodu i mógł jechać dalej. Dostał tylko ostrzeżenie i mandat, który trzeba było zapłacić w przerażająco krótkim czasie.

– Kto powinien zapłacić? – zastanawiał się Morten i przełykał ślinę na myśl o tym, że będzie musiał wszystkim wyjaśniać, co się stało.

Znacznie już utemperowany jako kierowca jechał dalej na południe z niewartą wzmianki prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Kiedy dotarł do wąskich dróg, przecinających Skanię w poprzek, odzyskał zaufanie do siebie. Tutaj nikt nie mógł rozwijać wielkich prędkości, przestał więc o tym myśleć, a powrócił do swojego zadania.

Po co mi jakiś asystent, zastanawiał się wzburzony. Sam dam sobie radę jak nic. Jeszcze zobaczą, ci wszyscy, którzy we mnie wątpią, na co mnie stać. Czyż może nie poradziłem sobie z Emmą? A czy może być coś trudniejszego? Skański dialekt? Phi!

Wszędzie tutaj było nieprawdopodobnie pięknie. Kępy drzew tak bujnych, że wyglądały niczym ogromne, zielone owce. Ogrody dosłownie kipiące kolorami.

Pomyślał o Monice. Zaimponowałoby jej, gdyby wiedziała, jakie to zaszczytne zadanie dano mu do wypełnienia. Tego jednak ona wiedzieć nie może. Szkoda!

Pierwsze oszałamiające uczucie ekstazy w stosunku do Moniki nieco przygasło. Uważał jednak, że to naturalne. We wszystkich małżeństwach tak jest, zakochanie przechodzi w miłość, a ta z kolei w szczere oddanie i ciepłą przyjaźń. Tak samo chyba jest w związku

nieformalnym?

Jak to dobrze, że spotkał Monikę. Uratowała go od tamtego zmysłowego zauroczenia Emmą.

Morten zmarszczył czoło i zmniejszył prędkość. Czyż nie miał jechać drogą państwową numer 13? To dlaczego tu jest 108? W którym miejscu pojechał źle?

Wszedł do lokalnego sklepu i zapytał.

Kasjerka była osobą życzliwą i objaśniała szeroko, co powinien zrobić.

Morten nie zrozumiał ani słowa.

Musiała powtórzyć wszystko jeszcze raz. Potem jeszcze po angielsku. Czerwony po korzonki włosów podziękował i wymknął się ze sklepu.

Ten szary samochód parkujący kawałek dalej. Już go przedtem widział, czy mu się wydaje?

Tak, kiedy brał benzynę koło Sandsjobacka, stał jakiś szwedzki samochód z literami CGM na tablicy rejestracyjnej.

Niezwykłe!

W końcu znalazł się na drodze numer 13.

Uczucie zarozumialstwa nie zostawało w nim nigdy na zbyt długo. Morten niezwyciężony! Który bez zastanowienia rzuca się w kolejną życiową przygodę. Hm.

Jechał teraz do Simrishamn przez niezwykle piękne w czerwcowej bujnej przyrodzie Osterlen, pełne zielonych krzewów, krwiście czerwonych maków na polach, łąkach i w parowach, gdzie myszołowy krążyły groźnie, wypatrując małych ptaszków i królików, a w ogródkach wokół niskich domów pyszniły się bzy i piwonie, dopiero co rozkwitłe pnące róże oraz kaprifolium.

Idylla, prawdziwa idylla!

Tutaj chciałbym mieszkać, pomyślał Morten. Ale on często tak myślał.

Bez większych kłopotów dotarł do Simrishamn i natychmiast przystąpił do pracy badawczej. Teraz zobaczą, jak ich chłopiec potrafi szybko działać. Towarzysze będą zaskoczeni.

Mans Nilsson z Simrishamn.

Do tego Morten doszedł po przekopaniu się przez wiele książek w bibliotece i wypytywaniu przedstawicieli wielu władz, zarówno cywilnych, jak i mundurowych.

Z tej garstki mieszkańców Skanii, którzy brali udział w hiszpańskiej wojnie domowej w latach trzydziestych, tylko jeden przywiózł do domu hiszpańską narzeczoną.

I to był właśnie Mans Nilsson.

Mortenowi udało się zebrać jeszcze parę dodatkowych informacji. Mans nie uczestniczył w wojnie zbyt długo. Już w 1937 roku wrócił

do domu. Nie wiadomo, czy był ranny, czy też uznał, że wojna nie jest taka zabawna, ani nie daje takiej sławy, jak myślał.

Pedro wspomniał, że para miała dziecko, córkę, która zdążyła wyjść za mąż, zanim umarła w wieku wyznaczonym przez ciążące na rodzinie przekleństwo.

Informacja na temat tej córki musi się znajdować w kościelnych księgach.

I Morten ją znalazł. Mans Nilsson przeprowadził się do Tomeliila z żoną i córką. Żona nie żyła już długo, to chyba ona przyniosła z sobą z Hiszpanii złe dziedzictwo.

Znalazł jeszcze jedną informację. Otóż córka tej Hiszpanki zdążyła urodzić syna w swoim małżeństwie, zanim jej z kolei życie dobiegło końca.

Syna, który zmarł bezpotomnie w wieku dwudziestu pięciu lat.

W ten sposób wygasł ród don Garcii. W roku 1985 zmarł Olof Persson. Działo się to w parafii Brósarp, stamtąd pochodził jego ojciec.

W 1985?

Toż to przecież niedawno!

Mortena ogarnął nowy zapał. W takim razie nie będzie trudno dowiedzieć się czegoś więcej o tym Olofie Perssonie. Z pewnością nazywano go Olle, tutaj, w Szwecji, gdzie prawie nikt nie zachowuje imienia w takiej formie, jaką nadano mu na chrzcie. Zawsze się to zmienia w jakiegoś Olle, Kalle, Lasse, Benka, Acke i tak dalej.

Morten od trzech dni mieszkał w hotelu w Simrishamn i uważał, że zdołał już osiągnąć wiele. Po pierwszym szoku radził sobie ze skańskim dialektem całkiem dobrze. Już nie musiał ciągle wydawać z siebie tych mało inteligentnych: He? Słucham? Jak?

Zrobiło się późno, ale co tam, w letni wieczór długo jest jasno. Zdążył jeszcze pojechać do Brósarp, żeby się rozejrzeć. Zobaczyć, gdzie mieszkał Olle Persson. Miał adres, chciał tylko obejrzeć to miejsce, tak na początek, nie całkiem jawnie, w zapadającym zmierzchu. Może przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł, gdzie szukać gryfa, jeśli ten w ogóle znajduje się w Szwecji. Mógł przecież równie dobrze zostać w Hiszpanii i tam zaginąć.

Morten miał swoją teorię. Wygląda przecież na to, jakby gryfy musiały być odnalezione. Gryf Navarrów pojawił się dosłownie z ziemi, w której leżał ukryty przez Santiago w małej szkatułce z całym skarbem. Gryf rodu Vasconia objechał niemal całą kulę ziemską, żeby spocząć we wnętrzu szmacianej lalki w pewnej piwnicy niedaleko Drammen. Amulet rodu Galicia leżał pośród kosztowności w sejfie bankowym w Madrycie. Żaden z nich nie został zniszczony, pozostawało więc tylko odnaleźć dwa brakujące.

Morten szczerze wierzył, że jemu będzie dane odnalezienie gryfu, który należał do rodziny Cantabria.

Na własną rękę! Pomyśleć, jaki to będzie triumf, jeśli dokona tego bez niczyjej pomocy!

Pod sklepieniem potężnych drzew droga leżała cicha, bez samochodów.

Morten nie pamiętał, niestety, o tym, że w Skanii noce są dłuższe i ciemniejsze niż w Norwegii. Tak daleko na południe czerwcowa noc nie cała jest jasna jak dzień. Mrok zaczyna się skradać wcześniej, stosunkowo głębokie ciemności trwają co najmniej dwie lub trzy godziny.

Małe gospodarstwo, które Olle odziedziczył po rodzicach nazywało się Viberslóv. Ojciec Ollego też już nie żył, nie został nikt z rodziny.

Posiadłość musiała trafić w inne ręce. O rany, jak tu w takich warunkach szukać gryfa?

Odwaga opuszczała Mortena, kiedy jechał wzdłuż dużego placu handlowego w Kivik, za którym w wieczornym blasku mieniło się Morze Bałtyckie. Nikt z rodziny nie został, w takim razie pewnie i gryf definitywnie przepadł.

Wiedział jednak, że trzy gryfy zostały odnalezione. Dlaczego więc nie miałby i on…?

Jak dotknięty chorobą maniakalno – depresyjną Morten miotał się od radosnej nadziei do bezdennego pesymizmu.

Dwór, czy niewielkie gospodarstwo miało leżeć w lesie na północ od Brósarp. Nie powinno być trudno je odszukać, drogę znal z opisu.

Zmierzch już dawno otulił Osterlen swoim czarodziejskim płaszczem, kiedy Morten minął pogrążone we śnie Brósarp i wyjechał na główną drogę ku Kristianstad.

Poniżej, na równinie, tańczyły strzępy białej mgły. Robiło to upiorne wrażenie, choć przecież Morten siedział w bezpiecznym samochodzie. Odetchnął z ulgą, kiedy las i łąki zostawił za sobą.

Nagłe jednak stwierdził, że od głównej drogi odchodzi całe mnóstwo dróg bocznych.

Czy teraz powinien skręcić w prawo czy w lewo? Był kompletnie zdezorientowany. Może najpierw na *lewo,* a potem w prawo? Albo odwrotnie?

Do diabła, powinien był to dokładniej zapisać! Straci potwornie dużo czasu, jeśli podejmie złą decyzję.

Morten zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Zastanawiał się.

Tyle było w opisie skrętów to w lewo, to w prawo, że wszystko się pomieszało w jego nieszczęsnej głowie. Tymczasem zrobił się już naprawdę późny wieczór, mózg pracował źle. Czy ktoś mu mówił, w którą z kolei boczną drogę powinien skręcić? Pewnie mówili, informatorów było przecież tak wielu, tylko że on za bardzo się

niecierpliwił, żeby już ruszać i bezkrytycznie zawierzył swojej pamięci.

Tymczasem ona go zawiodła, musiał to przyznać ze wstydem. I to on, który tylekroć zarzucał babci, że ma sklerozę! Tymczasem sam wcale nie jest lepszy!

Z tyłu ukazały się światła samochodu. Pierwszego, jaki spotkał od bardzo długiego czasu, jeśli nie liczyć pojedynczych pojazdów, raz po raz przemykających w oddali na drodze do Simrishamn. Teraz znajdował się na ważniejszym szlaku, więc to pewnie jakiś nocny balownik wraca do domu z knajpy.

Samochód go minął, zwolnił na moment, ale zaraz znowu dodał gazu. Morten zauważył, że karoseria jest szara, ale o numerze rejestracyjnym nie pomyślał.

Nie, no nie wolno ulegać jakimś paranoicznym myślom!

Spojrzał na zegarek. O rany, to już wpół do drugiej! Czas letni, więc wpół do pierwszej, ale i tak późno. Nic dziwnego, że zrobiło się ciemno.

Właśnie przejeżdżał obok sporego przydrożnego parkingu, na którym stało kilka samochodów z przyczepami campingowymi. Miejsce sprawiało bezpieczne wrażenie, otaczał je bowiem tylko wysoki las. Stary las mieszany.

Morten się zdecydował, rozważył czy ma iść w prawo czy w lewo i był absolutnie pewien. Wyostrzył umysł i wiedział, że wybiera właściwy kierunek. Wierzył w to.

Wysiadł z samochodu i zamknął drzwi na klucz, po czym ruszył przed siebie leśną drogą. Jechać tamtędy nie zamierzał, droga miała zbyt głębokie koleiny, samochód babci o niskim zawieszeniu mógłby tam utknąć na stałe.

Jak nieprzyjemnie ciemno jest pod koronami drzew! Czerwcowa noc powinna raczej przypominać wiosenny zmierzch, a nie to co tu!

Oczywiście widział wyraźnie i drogę, i drzewa, i nawet kamienny murek, więc z pewnością znajdował się we właściwym miejscu, ale las pogrążony był w takiej przytłaczającej ciszy, że czuł się bardzo nieswojo. Parking znajdował się daleko poza nim, to żadna pociecha dla samotnej duszy bohatera, zresztą przecież on się nie boi nocnych ciemności…

No, niestety, trochę to się jednak boi! A kto właził z głową pod kołdrę, kiedy wuja i ciotki nie było w domu, a na schodach rozlegały się dziwne trzaski? Kto gdakał ze strachu niczym shisteryzowana kura, kiedy mu gałąź spadla na drogę pewnego zimowego wieczora, gdy szedł do domu na skróty przez cmentarz? Kto wysyłał Unni przodem, gdy…

Nie, tu się nic nie zgadza! Zaszedł już daleko w głąb lasu, a nigdzie żadnej zagrody nie widać. Droga ciągnie się tylko i ciągnie,

nie wiadomo dokąd. Co prawda bardzo przyjemnie pachnie ziemia, kwiaty i zioła, ale to przecież nie jest niedzielna wycieczka. Morten przyjechał tu po to, by odnaleźć gospodarstwo, Viberslóv. Ale zdecydowanie na nic takiego dotychczas nie natrafił.

To nie ta droga. Należało po prostu zawrócić i jak najszybciej pokonać z powrotem te. ogromną odległość dzielącą go od samochodu.

Kiedy ciemny drozd nieoczekiwanie zaczął wyśpiewywać ponad lasem swoją melancholijną melodię, Morten podskoczył wysoko, a potem przystanął i słuchał.

Jakież to piękne! Jakie przejmujące, wzruszające, jakie smutne!

– Ślicznie – wyszeptał Morten wzruszony. – Napełnij życiem ten ponury, wymarły las, w którym wszystkie drzewa zdają się mi przyglądać niechętnie jak intruzowi. Tylko śpiewaj nieco weselsze melodie, bo serce mi krwawi, kiedy cię słucham. Wyśpiewujesz żale z powodu nieskończenie wielkiej samotności, a to akurat niedokładnie to czego potrzebuję najbardziej.

Gdzieś w oddali odezwał się drugi drozd.

– Świetnie, że jest was dwóch – powiedział Morten i znowu ruszył przed siebie. – Już się o ciebie martwiłem, myślałem, że jesteś porzuconym, pozbawionym rodziców ptakiem, zapomnianym i opuszczonym przez wszystkich.

Podobnie jak ja, pomyślał w przypływie sentymentalizmu, ale to przecież nieprawda. To ta pustka wokół wywoływała takie skojarzenia.

Po chwili odezwał się trzeci ptak. Jego głos brzmiał z taką samą siłą, ale śpiew był zupełnie inny. Trele jakby uderzały, silne i wesołe, po czym następowało cichsze, melodyjne kląskanie.

Morten znowu się zatrzymał. Był zafascynowany, wstrząśnięty.

– Czy to słowik? To musi być słowik! Słyszałem słowika! Babciu, Moniko i wy wszyscy, słyszałem…

Opanował ekstazę.

– Ale drozd ciemny, czy może drozd śpiewak, nie jestem pewien, śpiewa ładniej.

Brnął dalej przed siebie i im dłużej rozmyślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jednak drozdy są lepszymi śpiewakami. Bo to słowiki tak zwane rosyjskie, południowe lub wschodnie, śpiewają nieziemsko pięknie. Skandynawskie natomiast mniej.

Ale pomylić się nie można. Nareszcie więc i nasz mały Morten słyszał kląskanie słowika. Prawdziwego!

Pokonał już sporą część drogi powrotnej, gdy nagle przystanął.

Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka. W prawo skos od niego, w kierunku samochodu.

Morten poczuł przenikającą go całego falę strachu. Słowiki nie włóczą się w ten sposób nocami po lesie.

Rzucił się do ucieczki pomiędzy drzewami, jak najdalej od tego trzasku.

To tylko łoś, powiedzieliby z pewnością ludzie. Ale Morten łosi też się bał. Akurat teraz mają pewnie cielęta i są raczej wrogo usposobione do nocnych wędrowców.

Przemykał się między pniami drzew, potykał raz po raz, biegł z pochyloną głową i opuszczonymi rękami.

Teren nierówny, w ciemnościach nic nie widać i… ratunku! Tuż za sobą słyszał kroki. Słyszał, że ktoś się potyka, tak samo jak on, ale nie miał czasu na szyderczy śmiech. Tu najwyraźniej nie było się z czego śmiać!

Z jego gardła wydobywały się dziwne, żałosne dźwięki, przerywane w takt kroków po nierównej ziemi.

Daleko przed sobą widział jaśniejszą poświatę. Znajdował się tam bardziej otwarty teren, właściwie to chyba było wzgórze.

Ale tak daleko nigdy nie dotarł, nigdy nie zdołał się wydostać z zaczarowanego lasu.

Morten o mało nie złamał nogi w jakiejś dziurze i musiał zwolnić tempo. Ludzkie kroki przybliżały się coraz bardziej…

I nagle poczuł uderzenie.

Cios w tył głowy był niczym eksplozja, długo dźwięczało mu w uszach jego echo. Runął jak długi na ziemię i nie był w stanie podnieść się o własnych siłach. Napastnicy, chyba było ich wielu, rzucili się na niego, turlał się przez chwilę, niewiele widział, wzrok mu się rozmazywał, a przecież już i przedtem było dość ciemno. Czego ci ludzie od niego chcą, nie jest przecież żadnym biznesmanem, on to zwyczajny chłopak, Morten Andersen, ma kartę kredytową pożyczoną od babci, dwieście pięćdziesiąt koron norweskich i kilka „selm”, to znaczy szwedzkich banknotów po dwadzieścia koron. Żadnych norweskich „sigrid” ani „edvardów”, naprawdę niczego na co złodzieje mogliby się połaszczyć.

Tylko że na przykład narkomani bywają zdesperowani, mogą człowiekowi zrobić krzywdę z powodu dużo mniejszej sumy.

Te jego dziwne określenia pieniędzy oznaczały banknoty z wizerunkami Selmy Lagerlof, Sigrid Undset i Edvarda Muncha.

Dudniło mu w głowie, wciąż miał skry przed oczyma i nie potrafił skoncentrować wzroku, jedyne co mógł zrobić, to nie dawać znaku życia.

Napastnicy przeszukiwali jego kieszenie, przeklęta złodziejska banda!

Nagle usłyszał kolejne odgłosy. Ktoś najwyraźniej wołał:

– Stop! Co wy robicie?

Jacyś inni ludzie. Jeszcze większy tumult. Nieoczekiwanie Morten znalazł się poza głównymi wydarzeniami, przestał być interesujący. Tamci bili się między sobą, ale czy nie mogliby się trochę posunąć? Ratunku, oni mnie całkiem zgniotą, wcisną w ziemię!

Dostrzegł dwie rzeczy, jedną po drugiej, obie natychmiast zniknęły. Czapki kominiarki, więc napastnicy byli zamaskowani. Zaraz potem przed jego oczyma zadyndał nieduży gryf.

Po czym Morten, nasz dzielny, niezłomny Morten, po prostu zgasł.

Jednocześnie

Don Ramiro z zatroskaniem rozważał sytuacje, swojego potomka. „No teraz to z nim naprawdę marnie”.

„Nie, to się z pewnością jakoś ułoży – uspokajał go don Galindo. – Tylko nie powinni byli wysyłać go samego. On jest nieodpowiedzialny”.

„Jest okropnie roztrzepany – westchnął don Ramiro. – Zęby nawet drogi porządnie nie zapamiętać!”

Don Sebastian kiwał głową. „Tak, jest lekkomyślny. Nie traktuje poważnie starań swoich przyjaciół”.

„Dajmy mu porządną nauczkę” – zaproponował don Garcia.

„Już mu dawaliśmy, nie pamiętasz?” – przypomniał don Federico.

„Tak. Ale trzeba, żeby to lepiej zrozumiał! Niech spojrzy inaczej na walkę swoich przyjaciół, on szczególnie szydzi sobie z Unni, mówi, że ona wymyśla jakieś historie o duchach. Pozwólmy, żeby zobaczył rzeczywistość”.

Co rycerze rozumieli przez rzeczywistość, pozostanie ich tajemnicą.

8

Nie mógł być długo nieprzytomny, bo kiedy znowu odzyskał świadomość, w dalszym ciągu leżał w tej plątaninie rąk i nóg, pośród twardych łokci i kolan, w ustach miał pełno mchu, zgubił gdzieś but z jednej nogi, ale nie był już taki wciśnięty w ziemię. Kaszląc i plując zaczął się czołgać w kierunku jaśniejszego światła, nadal na pół oślepiony po uderzeniu w głowę. A może podbili mu oko? Nie wiedział.

Słyszał, że tamci wciąż walczą gdzieś za nim, słyszał kroki, które uciekały oraz inne, goniące za tamtymi. Morten nie miał siły się tym zainteresować, pragnął tylko dotrzeć do tamtego światła i odpocząć.

Chociaż o świetle to raczej trudno mówić, noc trwała w najlepsze, ale tu, poza lasem, na otwartej przestrzeni samo niebo dawało dość jasności, by mógł dostrzegać zagłębienia i nierówności terenu, na których się potykał. Czołgał się na rękach i kolanach, próbując się wydostać z niskiego parowu. Wyglądał chyba jak zmęczony żółw z opuszczoną głową.

O niczym właściwie nie myślał. W głowie mu szumiało, odczuwał ból, strach, dawał o sobie znać instynkt ucieczki.

W końcu wypełzł na górę i jak długi padł na ziemię, ciężko dysząc.

Najpierw usłyszał coś jakby ciche szepty wokół siebie. Powoli przybierały na sile, stawały się mamroczącym, rytmicznym chórem głuchych głosów.

Morten usiadł, głowę oparł na rękach, łokcie na poocieranych kolanach.

Co to znowu?

Z wielkim wysiłkiem starał się otworzyć oczy. Powieki miał ciężkie jak wtedy, kiedy dano mu tabletki przeciw bólowi głowy, na które był uczulony, i oczy zapuchły mu tak, że zostały tylko wąskie szparki.

Widział wszystko jak przez mgłę. Raz po raz przenikał go lodowaty dreszcz.

Coś się wokół niego poruszało. Jakieś postaci w szarych, białych i czarnych ubraniach wirowały dookoła w upiornym tańcu. Cała grupa przesunęła się parę metrów w przód – zatrzymała – posunęła się znowu – tańczyła dalej – zatrzymała się – wróciła do niego – znowu przystanęła. I tak w kółko, postacie tańczyły i przystawały, tańczyły i przystawały. Mortenowi zaczęło się kręcić w głowie i zamknął oczy.

Ja nie miewam takich zwidów, myślał w panice. To się przytrafia Unni i Jordiemu, nie mnie! Ja taki nie jestem, nie mam zdolności jasnowidzenia, ja jestem Morten, do diabla, czy wy tego nie

rozumiecie?

Teraz dziwne postaci poruszały się pod nim. Zerwał się przestraszony.

Z ziemi wystawały kości, wyłaniały się jakieś inne części ciał. Próbował stąd odejść, ale nogi nie chciały go nosić, znowu opadł na kolana. Kawałki kości zniknęły, to musiał być tylko omam.

Boże, pomóż mi, co to się dzieje?

Zasłonił twarz rękami. Przestraszony spoglądał przez palce.

Te postaci wciąż przy nim były. To ludzie. Szeptali coś i mamrotali. Podchodzili niebezpiecznie blisko.

Morten o mało nie nasikał w majtki.

Wybacz mi, Unni, myślał rozdygotany. Wybacz mi, że się wyśmiewałem z twoich historii! Boże uwolnij mnie, zabierz ode mnie to paskudztwo!

Ktoś zatrzymał się za jego plecami, Z największym trudem Morten odwrócił głowę. Poczuł potworny ból.

Popatrzył jednak na przybysza.

Postać ubrana na czarno. Mężczyzna o białej twarzy, na pół ukrytej pod czarnym kapturem.

To kat?

A może… Jezu Chryste, czy to któryś z mnichów?

Znak, znak, gdzie podział ten znak, który dała mu przed wyjazdem Vesla?

W samochodzie.

Słowa… Słowa, prędko!

– AMONTILLADO! – wrzasnął.

Nic się nie stało. Upiorne postaci, które teraz bardziej przypominały żywych ludzi z dawnych czasów, podchodziły coraz bliżej. Mnich czy też kat uniósł coś, co trzymał w ręce. Morten miał wrażenie, że słyszy krzyk dochodzący z oddali.

Potem znowu opadł *na ziemię*. Chyba nigdy ciemność nie była bardziej miłosierna, pomyślał, zanim stracił przytomność.

Ambulans! Słyszał syrenę ambulansu. Takie wydarzenia zawsze przyciągały uwagę Mortena. Gdzie? Gdzie? Czy pogotowie jedzie tą drogą w pobliżu willi? I kim jest biedak, którego wiozą?

Jak niewygodnie leży. I jak go wszystko boli!

Minęło trochę czasu, nim sobie uświadomił, że znajduje się w pędzącej karetce i że to on sam jest owym „biedakiem”.

Najpierw słowik, teraz jazda karetką. Właściwie to mogłaby to być szczęśliwa *noc,* ale jakoś tak tego *nie* odczuwał.

O święty Jordi, co to się ze mną dzieje? zdążył pomyśleć i ponownie jego świadomość została zdmuchnięta niczym stearynowa świeca.

Ostatnia myśl: czy to przynajmniej nie mogłaby być świeca

woskowa? Trochę elegancji, jeśli mogę prosić!

W szpitalu w Simrishamn, dokąd zawieźli go pracownicy pogotowia ratunkowego, gdy na podstawie znalezionego w jego kieszeni rachunku zorientowali się, że mieszka w tamtejszym Hotelu Svea, z Mortenem rozmawiał lekarz.

Powiedział, że Morten otrzymał poważny cios w głowę, więc niezbędne jest leżenie w łóżku i obserwacja.

– Musisz mieć bardzo twardą czaszkę – powiedział doktor. – Wygląda na to, że nie doznała złamania.

– Czaszka z drewna – roześmiał się Morten. – A kiedy znowu będę miał piękne oczy?

– To reakcja alergiczna – wyjaśnił doktor. – Wpadłeś w jakieś krzaki czy co?

– To by było do mnie podobne, ale nie wiem. Biegłem przez las, gałęzie biły mnie po twarzy. Iglaste i liściaste. Mogło być cokolwiek. Więc mój wygląd nie ma nic wspólnego z uderzeniem w głowę?

– Myślę, że nie.

Morten leżał na boku. Tył głowy miał bardzo wrażliwy, przy najmniejszym ruchu odczuwał przeszywający ból. Wystarczyłoby dotknąć go piórkiem, żeby podskoczył.

Lekarz skierował rozbawiony wzrok na jego nocny stolik, na którym stała butelka wina.

– Miałeś odwiedziny jakiś czas temu. Troje młodych ludzi. Jeszcze tu wrócą, tymczasem zostawili butelkę. Podobno domagałeś się tego.

– Ja? A co to jest?

– Sherry.

– Sherry? Dlaczego…

Morten odwrócił butelkę. Amontillado, przeczytał na etykiecie.

– Co to, na Boga, może…?

– Podobno głośno domagałeś się Amontillado. Twoi znajomi mają nadzieję, że lubisz półwytrawne.

Lekarz wstał.

– Dziś jednak niczego nie pij. To nie jest chyba specjalnie łagodne.

– Jak długo mam tak leżeć?

– Jutro cię przebadamy i wtedy zobaczymy. Tymczasem dbaj o swoją głowę. Żadnych gwałtownych ruchów, potrząsania ani nic takiego.

– A gryźć mogę?

– Ostrożnie. No to narazie!

Dwóch młodych ludzi wyrwało go z drzemki. Pochylali się nad nim niczym dwie potężne góry muskułów. Jakby byli reklamą siłowni.

– Aha, więc nie śpisz – roześmiał się szeroko jeden z nich, ten o włosach blond.

– Nie śpię – wykrztusił Morten ochrypłym głosem. – Odchrząknął i jeszcze raz zapewnił, że nie śpi. – Czy to wy mnie uratowaliście?

– Tak, tak, my – odparł ciemnowłosy głębokim basem i roześmiał się szeroko. – Pozbieraliśmy cię w lesie i zadzwoniliśmy po pogotowie.

– Dziękuję. Serdecznie wam dziękuję – uśmiechał się Morten. Wolał nie podawać im ręki w obawie, że któryś mógłby nią potrząsnąć, i głową przy okazji. – Siadajcie, chętnie posłucham, jak to było. Chociaż chyba mi się zdawało, że lekarz mówił, iż jest was trzech?

– Troje. Silly była z nami, przyjdzie tu trochę później.

– Silly? Czy to imię?

– Tak, imię, właściwie to ona jest Cecilia, ale mówi się do niej Sissi albo Sillan. Tylko Hasse i ja nazywamy ją Silly. Jej się to podoba, to odlotowa dziewczyna, fajna i bardzo uzdolniona.

Hasse to był ten ciemnowłosy. Blondyn miał na imię Nisse. Morten uznał, że są bardzo sympatyczni, mimo tych swoich kulturystycznych figur. Widocznie jego dotychczasowe przekonanie, że tego rodzaju faceci niewiele mają w głowach, było błędne.

Uznał przy okazji, że obciążony jest licznymi przesądami.

Czas był najwyższy.

Pytanie, które teraz padło, było miażdżące:

– Co, u diabła robiłeś na Wzgórzu Wisielców? Morten głośno przełknął ślinę.

– Na Wzgórzu Wisielców?

– Tak, chociaż to oczywiście tylko stara nazwa. Ludzie gadają, że dawno temu na tym wzniesieniu znajdowało się miejsce kaźni.

To prawda, pomyślał Morten zdjęty grozą. Nisse uzupełnił:

– I opowiadają różne związane z tym miejscem historie o duchach. Ale my nigdy niczego nie widzieliśmy.

A ja owszem, myślał Morten z drżeniem. Nie znał ich jednak na tyle dobrze, by opowiedzieć, co mu się przytrafiło. Jeszcze nie teraz.

Hasse spytał:

– Czy wiesz, dlaczego cię napadli?

– No właśnie, żebym to ja się chociaż domyślał! Pojęcia nie mam, jak do tego doszło. Musiałem szybko stracić przytomność.

Goście opowiedzieli mu, jak oni go spotkali. Mówili jeden przez drugiego, w końcu Hasse dorwał się do głosu.

– Wracaliśmy z zabawy i szliśmy na skróty przez las. Nagle usłyszeliśmy krzyki i pobiegliśmy w tamtą stronę. Zobaczyliśmy trzech ubranych na czarno facetów w kominiarkach na głowach, którzy tłukli samotnego, mniejszego od nich chłopaka. Uznaliśmy, że to niesprawiedliwe i rzuciliśmy się na nich.

Hasse przerwał dla nabrania powietrza. Mortenowi nie bardzo się podobało to określenie, „mniejszego od nich chłopaka”, ale z

zainteresowaniem słuchał, co teraz mówi Nisse.

– No to oni zaczęli uciekać, a my za nimi. Ale oni wybiegli na drogę i zniknęli w samochodzie.

– W szarym samochodzie?

– No, chyba tak. Ale w nocy wszystkie samochody wydają się szare.

Morten się zamyślił.

– Ten samochód jechał za mną aż od… tak, w każdym razie widziałem go w Geteborgu. Myślałem, że ich zgubiłem, ale najwidoczniej tak nie było.

– Wiesz dlaczego?

– Nie. Chociaż może, ale to niewiarygodne. I za bardzo skomplikowane, żeby tłumaczyć. Więc powiadacie, że oni byli zamaskowani? A ja myślałem, że mam omamy. Bo widziałem coś jeszcze.

– Co takiego?

– Gryfa.

Chłopcy patrzyli na siebie niczego nie rozumiejąc.

– Taki amulet dyndał mi przed oczyma. W kształcie gryfa, wiecie takie zwierzę z baśni.

– My wiemy, co to jest gryf – Ale to musiało ci się przyśnić, dostałeś przecież cios w głowę.

No właśnie. Zresztą śniło mi się jeszcze wiele innych rzeczy. Na Wzgórzu Wisielców.

Chłopcy czekali na wyjaśnienia, te jednak nie nastąpiły. Do pokoju bowiem wkroczyła młoda dziewczyna. Miała oślepiająco białe zęby i ciemne oczy pełne wesołych błysków, poza tym nie wyróżniała się niczym wyjątkowym. Mortenowi podobały się wyłącznie dziewczyny piękne jak z kolorowych okładek. Ta miała też ciemne włosy, naprawdę ciemne, a on wolał blondynki, jakoś łatwiej się z nimi dogadywał.

Przywitał się jednak uprzejmie, podziękował za sherry i uratowanie życia.

– Nie ma za co dziękować! – zawołała z przekąsem. Aha, więc ty jesteś taka, pomyślał ożywiony. W takim razie nadajemy na tych samych fałach. Oddam ci, zobaczysz.

– Właśnie sobie opowiadamy, co się działo w nocy – wyjaśnił Nisse.

– No więc my pobiegliśmy, rzecz jasna, z powrotem, żeby zobaczyć co z tobą. To wtedy wołałeś Amontillado. No i dzięki temu cię znaleźliśmy. Pośrodku samiuśkiego Wzgórza Wisielców.

– Ja nie wołałem Amontillado. Ja mówiłem AMOR ILIMITADO…

Czy naprawdę tak mówiłem? Zastanowił się. Przecież po tym ciosie byłem raczej zamroczony.

– Oni mi przeszukali kieszenie – przypomniał sobie nagle.

– Naprawdę? Ukradli ci coś?

Morten poprosił, by sprawdzili jego ubranie, które wisiało w szafie. Znaleźli w kieszeniach jakieś rachunki z kawiarni, nic więcej.

– Niech to diabli – zaklął Morten. – Portfel. Kluczyki do samochodu.

– Telefon komórkowy?

– Nie, telefon mam w samochodzie. To dla mnie typowe, akurat kiedy mógłbym go najbardziej potrzebować…

– No a samochód? Możemy go chyba sprowadzić. Ponieważ obaj chłopcy nie mieli czasu, Morten zaś musiał leżeć, postanowili, że wrócą do niego po pracy, pomogą mu wtedy z samochodem i z czym tam jeszcze będzie trzeba.

Świetni koledzy, pomyślał Morten. Dziewczyna została z nim, chciała się dowiedzieć czegoś więcej.

– A coś ty właściwie robił w nocy tak daleko w lesie? – zapytała.

– Chciałem dojść do miejsca o nazwie Viberslóv.

– Viberslóv? Ale to nie tam!

– Nie?

– Nie, Viberslóv leży po drugiej stronie głównej drogi. Zresztą zabudowania są w ruinie. Już zaczęły się rozpadać, podobno mają tam zbudować szerszą drogę, ale jak dotychczas chyba nic z tego nie wyszło. Chociaż nie wiem.

No to przepadły ostatnie ślady Olofa Perssona. Czy Morten będzie zmuszony do otwarcia i przeszukania grobu? Toż to groza!

– A wiesz może coś o ludziach, którzy tam mieszkali?

– Nie, to było jeszcze, zanim ja się urodziłam. Ten ostatni to podobno jakiś młody facet. Wyprowadził się stąd i niedługo potem było po nim. To znaczy umarł – wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie norweskich, błękitnych oczu Mortena. To się stało chyba w Malmó.

– Czy on się nazywał Olle Persson?

– Tak, chyba rzeczywiście, ale mówili na niego Olle Slesking. Stracił matkę, kiedy był jeszcze mały, a ojciec zapił się na śmierć. Syn podobno nie był lepszy, ale można mu chyba wybaczyć.

Nie wyglądało to najlepiej. Zapytał z wysiłkiem:

– Nie wiesz, gdzie jest jego grób?

– Pojęcia nie mam.

I co teraz robić? Jeśli poprowadzili drogę przez obejście, to nie ma żadnej możliwości znalezienia tam gryfa. A przed otwieraniem grobu, tu czy w Malmó, bez znaczenia, wszystko się w nim burzyło.

Morten czuł się załatwiony. Próba wykonania zadania zakończyła się fiaskiem.

– Gdyby ktoś się chciał dowiedzieć czegoś o pozostawionej przez Ollego Perssona własności, to gdzie powinien się zwrócić?

Sissi, jak Morten wolał ją nazywać, wzruszyła ramionami.

– Przede wszystkim myślę, że żadnej własności nie zostawił. Roztrwonił te trochę, co zostawił mu ojciec.

Chyba nikt by się nigdy nie odważył opowiedzieć o tym don Garcii. Ze jego szlachetny ród tak bardzo zszedł na psy.

Morten podjął ostatnią próbę.

– A kto może coś wiedzieć na temat Ollego Perssona? Sissi zastanawiała się.

– Nikogo takiego nie znam, ale mogłabym zapytać.

– A twoi rodzice?

Dziewczyna potrząsnęła głową. Posmutniała.

– Mama umarła w zeszłym roku. Na raka. A ojciec był nieznany. Mama za nic nie chciała wyjawić, kto to taki. Z pewnością więc to ktoś żonaty, przypuszczalnie jakaś szanowana figura. Tacy są najgorsi.

– Ja straciłem w zeszłym roku ojca – wyznał Morten jakby na znak solidarności.

Sissi ujęła jego rękę i lekko ścisnęła.

– Teraz muszę lecieć. Zobaczymy się wieczorem!

To dziwne, ale Morten nie czul się już taki bardzo nieszczęśliwy.

9

Wyniki badań były lepsze, niż oczekiwano. To że Morten posłusznie leżał w łóżku, dało rezultaty. Mógł być wypisany ze szpitala, choć na bardzo surowych warunkach: żadnych skoków wzwyż, ani podnoszenia ciężarów! Tylko normalne, ostrożne ruchy i dużo odpoczynku.

Morten uroczyście obiecał, że będzie o siebie dbał i trójka nowych przyjaciół zabrała go ze szpitala.

Był w stanie iść i nawet bardzo się nie zataczał. Właściwie to tylko wielka gula z tyłu głowy sprawiała mu ból, więc bardzo starannie unikał dotykania jej okolicy.

Lekarze powiedzieli, że miał wyjątkowe szczęście, albo żelazną czaszkę.

Morten się z nimi zgadzał. Ze ma żelazną czaszkę, to zresztą znacznie lepiej brzmi niż czaszka drewniana.

Jechali dużym samochodem dostawczym należącym do Nissego. Dzień był pochmurny z przelotnymi opadami. Morten siedział przeważnie z zamkniętymi oczyma, starał się jak mógł oszczędzać mózg. Opuchlizna wokół oczu zaczynała schodzić i Morten wyglądał teraz jak zmęczony życiem starzec.

– Ja nie zawsze jestem taki – starał się przekonać Sissi i to wyjaśnienie było dla niego bardzo ważne. Chciał jeszcze dodać: „Właściwie to naprawdę nic mi nie brakuje”, uznał jednak, że to by już była przesada. Najlepiej, żeby ona sama to odkryła.

– Najpierw zajrzymy do samochodu – postanowił Nisse. – A potem wjedziemy na Wzgórze Wisielców, żeby sprawdzić, czy w miejscu bójki nie ma jakichś twoich rzeczy, Morten.

Na dźwięk nazwy Wzgórze Wisielców Morten poczuł skurcz w żołądku.

– Można się tam dostać samochodem?

– Inną drogą można.

– Świetnie. Oni mogli tam coś zgubić albo wyrzucić, trzeba sprawdzić.

– Ja też muszę poszukać w lesie – oznajmiła Sissi, która tego dnia włożyła na siebie coś za ciasnego i za małego. – Jeden z tych łobuzów zerwał mi naszyjnik. Mam nadzieję, że zainteresował go głównie złoty łańcuszek.

– Miałaś jakiś amulet? – spytał Hasse.

– Tak. Mógł się zsunąć z łańcuszka w tym zamieszaniu. Morten zesztywniał na swoim miejscu. Nagle otworzył szeroko oczy.

– Więc to ciebie widziałem? Czy twój naszyjnik nie był czasem gryfem? Taki gryf dyndający na łańcuszku?

– Taki był i bardzo bym chciała go odzyskać. Morten głośno przełknął ślinę.

– Skąd go miałaś? Sissi prychnęła.

– Dostałam na konfirmację. Od mamy. Powiedziała, że to jedyna pamiątka, jaką ma po moim ojcu. Dał jej to, kiedy była w ciąży. „Pamiętaj, żebyś to dała naszemu dziecku!", miał powiedzieć. W jego rodzinie przechodziło to jako dziedzictwo z pokolenia na pokolenie i to od wielu setek lat. Taki ten mój tata był sentymentalny. Ale potem mama go więcej nie widziała, przeklętego tchórza! Boże, jak ja bym chciała wiedzieć, kim on jest, wtedy mogłabym pójść do jego eleganckiego biura i powiedzieć tak głośno, żeby wszyscy słyszeli: „To ja, tatusiu! Chciałeś mnie na zawsze zamknąć w szufladzie biurka?"

– Niestety, nie możesz tego zrobić – powiedział Morten ze smutkiem.

– Dlaczego?

– Twój ojciec nie żyje. Umarł mając dwadzieścia pięć lat, w roku 1985.

– Co? A skąd ty o tym wiesz?

– Sama dopiero co to powiedziałaś. Ja właśnie przyjechałem tutaj w poszukiwaniu gryfa. A twój ojciec nazywał się Olof Persson. Olle Slesking.

– Nie, no, nie wygłupiaj się – powiedziała Sissi po kilku sekundach milczenia.

– Ale to wszystko prawda! Na wszystkie dobre moce, musimy mieć nadzieję, że te łobuzy które na mnie napadły w nocy, nie ukradły gryfa!

– Co takiego szczególnego jest w tej ozdobie? Nisse zjechał na pobocze niedaleko kościoła w Ravlunda, by lepiej słyszeć rozmowę. Morten starał się wyjaśnić całą sprawę. Jak to zrobić w największym skrócie?

– Ten gryf jest jednym z pięciu. Jeśli odnajdziemy wszystkie, to może zdołamy rozwiązać liczącą sobie już pięćset lat zagadkę. I… o rany, Sissi, ile ty masz lat?

– Dwadzieścia dwa. Dlaczego pytasz?

– Boże drogi!

Morten był zlany zimnym potem. Takie wzruszenia nie służyły chyba jego mózgowi.

– Postaraj się skupić, Sissi. Czy pamiętasz swoje dwudzieste pierwsze urodziny?

– No przecież nie jestem sklerotyczką!

– Wiem, przepraszam. Czy przypominasz sobie, że dostałaś jakiś dziwny prezent? Może bardzo stary zwój pergaminu? Który potem znowu zniknął w tajemniczych okolicznościach?

Sissi gapiła się na niego szeroko otwartymi oczyma, a jej dwaj

umięśnieni przyjaciele przestali oddychać.

– O co ci chodzi? – spytała z nieprzyjemnym grymasem. – Niczego takiego nie dostałam!

Teraz z kolei gapił się Morten.

– Jesteś tego absolutnie pewna?

– Myślisz, że zapomniałabym o czymś takim?

– Nie, no jasne, ale…

Morten z trudem oddychał. Głowa bezwładnie opadła mu na piersi. Mój Boże, oto on, Morten, siedzi tu sobie naprzeciwko najprawdziwszej potomkini dumnego rodu de Cantabria! A rycerze nic o niej nie wiedzieli!

Jednocześnie

To naturalnie Jordi otrzyma! zadanie poinformowania o nowym odkryciu rycerzy. Zaraz po burzliwej rozmowie z Mortenem, przeprowadzonej za pomocą telefonu komórkowego fiassego.

Rycerze byli bardziej milkliwi niż zazwyczaj.

W końcu Jordi odebrał myśli Don Garcii: „A więc on posiał dziki owies, ta bezwstydna szwedzka kanalia!"

„Jeszcze jeden potomek – dodał don Federico w zamyśleniu. Był skrajnie wyczerpany po licznych podróżach między Norwegią, Hiszpanią i Szwecją. – Co ona dla nas znaczy, Jordi? Czy to nasz zysk?"

– Morten powiada, że jest mądra i sympatyczna. „Naturalnie" – stwierdził don Garcia pospiesznie. – Jej ojciec był wyjątkiem w tej na ogół pięknej linii. Widocznie była w nim zła krew ze strony ojca".

– Zapewne – potwierdził Jordi z powagą.

Nikt nie oponuje, kiedy don Garcia mówi. To człowiek temperamentny, z łatwością chwyta za broń.

„Młody Morten radzi sobie dobrze" – musiał przyznać don Federico ku swemu własnemu zaskoczeniu. – Niech tylko pamięta, że gryfom zawsze towarzyszą wskazówki".

– Zdaje sobie z tego sprawę – zapewnił Jordi. – Jestem pewien, że o tym nie zapomni.

„Na pewno" – potwierdził zdecydowanie don Ramiro, zawsze bardzo uważający, by jego potomek robił dobre wrażenie.

„Jeszcze jedna w rodzinie – rzekł don Garcia z rozmarzonym uśmiechem. – Rycerski ród Cantabria jeszcze żyje!"

Don Galindo nie powiedział nic. Wyglądał na urażonego. Teraz był jedynym, który nie ma żyjących potomków.

10

– To naprawdę będziesz nam musiał wyjaśnić później – powiedział Nisse przygnębiony, ruszając spod kościoła w Ravlunda. – Teraz jednak trzeba się spieszyć na Wzgórze Wisielców. Bo jeżeli jest tak, jak mówicie, że Silly mogła zgubić gryfa w lesie, a dranie chcą go zdobyć, to z pewnością oni też będą szukać. Powinniśmy być pierwsi.

Właściwie to Morten marzył, skoro już i tak musiał jechać do Osterlen, że pójdzie na cmentarz w Ravlunda, żeby zobaczyć słynny nagrobek skańskiego poety i pisarza, Fritiofa Nilssona Piraten. Na kamieniu nie ma nazwiska, mimo to każdy Szwed wie, że pod niepozorną kamienną płytą, położoną na gołej ziemi, spoczywają właśnie jego prochy. Morten dokładnie pamiętał, co zostało wyryte na płycie, chciał jednak zobaczyć to na własne oczy:

„Pod kamieniem spoczywają prochy człowieka, który miał zwyczaj – wszystko odkładać do jutra. Tymczasem jednak przygotowywał się na ostatnią godzinę i umarł naprawdę 31 stycz. 1972 r."

Sam Piraten zdecydował, co ma być na jego nagrobku. Był znanym humorystą, autorem takich książek jak „Bombi Bitt i ja". W plotkę, że Piraten był też hipochondrykiem i chciał dodać w epitafium: „A nie mówiłem?", lecz mu na to nie pozwolono, Morten po prostu nie wierzył. To raczej opowieść świadcząca o poczuciu humoru wielu innych pisarzy i podróżników.

Teraz Morten znajdował się koło kościoła w Ravlunda, ale wizyta na cmentarzu absolutnie nie wchodziła w rachubę. Inne sprawy wymagały większej uwagi. Jak na przykład to, by uprzedzić złych napastników.

– Czy oni są niebezpieczni? – dopytywała się Sissi.

– Nie wiem – odparł Morten głucho. – Pojęcia nie mam, kim oni w ogóle są.

Jego myśli podążyły innym szlakiem. Nie wolno wtajemniczać żadnych nowych osób, powiedziano. Co w takim razie powinien teraz zrobić? Sissi dowiedzieć się musi, a chłopcy uratowali mu życie. Czy nie zasłużyli na choćby dość ogólne informacje?

Najbardziej się jednak obawiał po – wiedzieć Sissi, że zostało jej jeszcze tylko trzy lata życia, jeśli zagadka nie zostanie rozwiązana.

I czy ta trójka to naprawdę bliscy przyjaciele? Są tylko przypadkowymi znajomymi, czy też to przyjaźń na całe życie?

Grupa w willi często rozmawiała o tym, że rycerze nie chcieli, by rozwiązanie zagadki było sprawą tak trudną. Przekazali odpowiednią wiedzę swoim współczesnym oraz najbliższym potomkom, a ci powinni z łatwością odnaleźć ukrytą dolinę z jej tajemnicą. Nastały

bowiem trudne czasy i życie rycerzy było zagrożone. Do tej pory pomagała im Urraca, wszystko jakoś załatwiała, a dla nich najważniejsze było, by dwoje młodych przeznaczonych do korony mogło się znowu połączyć po tym, jak przekleństwo Wamby rozdzieliło ich aż do śmierci.

Akurat to było słabym punktem. Grupa nie wiedziała, kiedy Wamba rzucił swoje przekleństwo. Trzeba będzie zapytać Urracę, gdyby znowu się miała przypadkiem ukazać.

Natomiast wiedzieli wszystko o tym okropnym dniu w jakiś czas później, kiedy rycerze zostali pojmani i byli torturowani w Santiago de Compostela, a Wamba rzucił jeszcze jedno przekleństwo, na nich i na ich potomków, na wszystkie przyszłe pokolenia. Wiedzieli też, że Urraca zdołała nieco złagodzić przekleństwo tak, że istniała nadzieja, iż uda się im je całkiem odczynić.

I nigdy nikt nie był bliżej rozwiązania niż oni teraz.

Morten został wyrwany z zamyślenia, bowiem samochód zaczął się wspinać w górę po leśnej drodze. Nie po tej samej co przedtem, lecz po równoległej.

Na Wzgórze Wisielców.

Morten głęboko wciągał powietrze. Zbierał odwagę. Ze zgrozą przypominał sobie te wszystkie straszne istoty, które najwyraźniej były świadkami dokonywanych tu w dawnych czasach kaźni. Ścinania czy wieszania? W miejscu, w którym wczoraj klęczał, nie widział, co się dzieje na wzniesieniu za jego plecami. Mignął mu tylko kat. „Gallows Hill". Dlaczego takie słowa zawsze bardziej pobudzają wyobraźnię, kiedy wypowiadane są w obcym języku? „Der Galgenhugel". „La corina de horca"…

W pobliżu płynął strumyk. W nocy go nie widział.

Jedno wszakże dawało cudowne poczucie wyzwolenia: Morten nie musi już szukać Olofa Perssona! Olle Slesking nie stanowi już zagadki, zostawił po sobie córkę, która jest ostatnią z rodu i która poza wszystkim posiada też gryfa.

Problem tylko, że nadal trzeba szukać pisemnej informacji, jakie towarzyszyły amuletom innych rodów.

Gdzie podziała się ta? Nie miał czasu zapytać Sissi, ale ona na pewno będzie coś wiedzieć.

Morten musi porozmawiać z nią na osobności. To będzie trudna rozmowa o życiu i śmierci.

I nie łatwo ją będzie odbyć, skoro dziewczyna wciąż ma przy sobie tych macho.

Ciekawe, czy któryś z nich jest jej ukochanym?

To było Wzgórze Wisielców od innej strony. Rumieniec pokrył jasną twarz Mortena, kiedy znowu zobaczył to miejsce. Omal nie doznał szoku.

Silnik zgasł i wszystko pogrążyło się w ciszy. Nieopodal w zagrodzie pasły się konie. Dobrze, że Morten nie widział ich w nocy, bo na pewno dostałby ataku serca.

Czy konie potrafią zobaczyć ducha?

Oczywiście, dlaczegóż by nie? Psy i koty mogą, istnieje na to mnóstwo dowodów. Dlaczego by więc konie nie mogły?

Morten miał jednak przeczucie, że nocne widoki były przeznaczone wyłącznie dla niego. Wstrząs mózgu w połączeniu z historią rycerzy, wszystko to musiało otworzyć w jego poruszonej świadomości jakieś normalnie ukryte drzwi.

Nie chce. tu być, pomyślał.

Zaczynało też padać. Delikatny, letni deszcz, który nie mógł jednak stanowić wymówki dla zostania w domu. Morten wlókł się z wolna za energicznymi Skańczykami. Ledwo ciągnął za sobą nogi.

Nisse, nie oglądając się na resztę, wbiegł na wzgórze. Uważaj na kata, pomyślał Morten.

– Myślisz, że mogłeś tu na górze coś zgubić? – zawołał Nisse.

– Absolutnie nie – zapewnił Morten pospiesznie. – Jeśli, to w lesie.

– O, Boże, a jak oni się tu zjawią? – jęknęła Sissi teatralnie.

– Nie, oni się pokazują tylko w nocy, och, ty masz na myśli napastników?

– Tak, a o kim ty myślałeś? Morten machnął ręką.

– Nie, o nikim, lepiej szukajmy.

Jako pierwszy znalazł się w lesie. I ani razu nie obejrzał się za siebie.

Nietrudno było zauważyć, gdzie toczyła się bójka. Trawa, ziemia i mech przekopane, mnóstwo połamanych gałęzi, głębokie ślady butów, długie bruzdy.

– Narazie nikogo tu jeszcze nie było – rzekł Hasse złowieszczo. – Musimy się spieszyć.

Sissi inteligentnie zauważyła:

– To może być zły znak. Nie wrócili tu, bo mają gryfa. Przygnębiająca myśl. Trochę ostudziła ich zapał.

– Morten, twój portfel! – zawołał Hasse z oddali. Wszyscy przystanęli.

Portfel został wywrócony na nice, zawartość rozrzucona na ziemi.

Niczego jednak nie brakowało.

Morten pozbierał swoje rzeczy, niewypowiedzianie wdzięczny losowi, że odnalazł kartę kredytową babci.

– Najwyraźniej czegoś szukali, ale nie znaleźli – powiedział Nisse.

– Gryfa?

– No chyba tak, bo czyż nie zerwali ci z szyi łańcuszka, Silly?

– Wszystko stało się tak prędko, w lesie było ciemno. Ci dwaj

pewnie nie widzieli, co robi trzeci.

– Tak mogło być, zła komunikacja – przytaknął Morten. Szukali dalej, ale bez powodzenia.

– Poczekajcie no – zatrzymała ich Sissi.

– Nisse, czy ty nie znokautowałeś jednego z nich na jakiś czas?

– Tak, ale trwało to tylko sekundy, a potem on znowu wbiegł na wzgórze.

Sissi nie dawała za wygraną.

– Załóżmy jednak, że to był ten, który dopiero co zerwał mi naszyjnik z gryfem. Potem na moment stracił przytomność i naszyjnik wysunął mu się z ręki. Gdzie on leżał?

– O rany, pojęcia nie mam. Było tak ciemno.

– Ale ja widziałem – wtrącił Hasse. – Leżał tam, przy tym czarnym pieńku. Z rozpostartymi rękami.

– A nie widziałeś błyszczącego gryfa? – spytał Morten.

– Nie, nie zdążyłem.

Ziemia dookoła pieńka była mocno zryta.

– Jeśli jego ręka znajdowała się tutaj – zastanawiała się Sissi. – To…

Podniosła kępkę trawy.

– Coś błyszczy! – wykrzyknął Hasse. – Widzę! Wszyscy czworo się w to wpatrywali. Morten miał przytępiony refleks, w głowie mu huczało i zdążył się przekonać, że pochylanie się jest dla niego niebezpieczne.

Sissi wsunęła rękę w zwiędniętą trawę i wyjęła cieniutki łańcuszek.

Bez amuletu.

Nisse zaklął głośno.

– Gryf mógł się zsunąć – rzekła Sissi niepewnie. Zaczęli przeszukiwać okolice pieńka, kawałek po kawałku, metodycznie.

Szansa, że gryf znalazł się w kieszeni kogoś niepowołanego, była znaczna. Nie chcieli się jednak przyznać do porażki. Jeszcze nie teraz.

– Jeśli go odzyskamy… Czy obiecujesz, że wtedy powiesz o co chodzi, Morten? – spytał Nisse.

Morten się wahał. Sissi posłała mu promienny uśmiech, który go kompletnie obezwładnił.

Jak to dobrze, że nie zabrałem ze sobą Moniki, pomyślał przytomnie i nagle poczuł wyrzuty sumienia. Opanował się.

– No, nie wiem – odpowiedział Nissemu. – Muszę wszystko wyjaśnić Sissi. To konieczne, choć specjalnie dla niej zabawne nie będzie. Natomiast postronnym niczego mówić nie powinienem. To mogłoby być dla was niebezpieczne.

O rany, coś chyba chlapnął! Przecież to przesada!

Obaj umięśnieni młodzieńcy robili ważne miny, to im

zaimponowało. Morten poczuł, że jego mięśnie wiotczeją pod koszulą.

– Sądzisz, że wyglądamy na takich, którym można deptać po palcach? A poza tym Silly jest naszą kuzynką. Nie, my nie jesteśmy braćmi, ale jesteśmy jej kuzynami. Obaj.

– Co? – wykrzyknął Morten przestraszony. – Olle Persson miał więcej dzieci?

– Nie, no uspokój się, jesteśmy krewnymi ze strony jej matki.

– No jasne, głupi jestem.

– Silly, Olle nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat, kiedy się postarał, żebyś przyszła na świat – obliczał Hasse.

– Niewielka zasługa! – prychnęła Sissi cierpko. – Ale masz rację, mama też nie była dużo starsza, kiedy mnie urodziła. Wygląda na to, że należał do takich co to latają z kwiatka na kwiatek. Takich co użądlą i już ich nie ma.

– Nie – zaprotestował Morten. – Musiał kochać twoją matkę, skoro został z nią na tyle długo, że mogła mu powiedzieć o wpadce, po czym dał jej gryfa jako dar dla ciebie, Sissi.

W tym momencie mógł zapytać, czy przy gryfie nie było żadnej pisemnej wiadomości, ale Nisse go uprzedził:

– No dobrze, ale teraz niech „wpadka” szuka dalej. Gadać możemy później.

O nie, tym razem Morten uraził Sissi. Na szczęście ona przyjęła to ze śmiechem. Zdawała się należeć do osób, które uważają, że wśród przyjaciół można sobie pozwolić na ostre repliki i drobne złośliwości, co więcej, że są one dowodem prawdziwie ciepłego stosunku i przywiązania. Nieprzyjaciół drażnić nie należy, to niebezpieczne.

Zaczynał lubić Silly, nie, przepraszam, *Sissi*.

Monika jest dobrą dziewczyną. Spędzili razem mnóstwo miłych chwil i zaczynał nawet myśleć o wspólnym życiu.

Dlaczego więc nagle zobaczył przed oczyma coś jakby zasłonę z szarego aksamitu?

– Ciii! – syknął Hasse. – Padnij!

Ale było za późno. Przez las szło w ich stronę troje ludzi i, niestety, zdążyli już zobaczyć „poszukiwaczy złota”, bo gwałtownie przystanęli, a potem zawrócili i zaczęli uciekać. Być może ze strachu, że zostaną rozpoznani?

Czwórka młodych patrzyła w ślad za nimi.

– A więc jednak wrócili – stwierdził Nisse zadowolony.

– Jedna z nich to kobieta – oznajmiła Sissi stanowczo.

– Skąd wiesz? Tak daleko, a poza tym byli jednakowo ubrani.

– Mężczyzna tak nie biegnie, z podniesionymi ramionami, machając rękami na boki.

– No, chyba masz rację.

– Ale nie domyślacie się, co oznacza ich wizyta? – spytał Morten

zachwycony.

– Domyślamy się! – zawołał Nisse. – Oni nie mają gryfa, czyli że musi być gdzieś tutaj.

– Tak jest! No to wracamy do poszukiwań! Zryliśmy już ziemię tak, że wygląda to na wandalizm, ale…

– Mam pewien pomysł, tylko tym razem bez żadnych złośliwości – zastrzegał Nisse. – Otóż kiedy ten facet pod moim ciosem zwalił się na ziemię i łańcuszek wypadł mu z ręki… czy nie jest prawdopodobne, że amulet, jako cięższy, poleciał dalej? W którą stronę mógł się potoczyć, Hasse? Ty przecież widziałeś, kiedy facet upadał.

Hasse rozglądał się przez chwilę. Potem wykonał taki ruch, jak uderzony pięścią zatoczył się i runął jak długi na ziemię.

– Oj! – jęknął Morten z podziwem. – Nigdy bym się na coś takiego nie odważył!

– Trening, przyjacielu – powiedział Hasse z dumą i poderwał się z taką samą lekkością, nie zwracając uwagi na bolący łokieć. – Widzieliście wszystko, co trzeba?

Sissi i Nisse już pobiegli między drzewa.

Pod kłującym krzewem niedźwiedzich jeżyn leżał gryf.

Morten z uroczystą miną podał go Sissi:

– Ostatniej potomkini potężnego rycerskiego rodu. Proszę bardzo, gryf rodziny Cantabria!

Zaraz go jednak opuściła cała powaga. Skoczył wysoko i wrzasnął radośnie:

– Hurra! Udało mi się! Au, moja głowa, powinienem był uważać!

Sissi dała mu tabletkę od bólu głowy.

Kiedy potem przechodzili przez Wzgórze Wisielców, rozglądał się bardzo uważnie i już nie odwracał głowy. Stał się bardziej odważny teraz, kiedy *mission impossible* została wypełniona. Zdumiało go jakie to wzgórze jest wysokie, z jednej strony schodziło stromo ku strumykowi, Verkean, jak mu wyjaśnił Nisse, płynącemu tuż obok osady Brósarp. Rzeczywiście w nocy musiał pobłądzić. Z drugiej jednak strony, przecież nie szukał żadnego Wzgórza Wisielców, lecz zagrody Viberslóv, która już nie istnieje, a poza tym i tak znajdowała się po drugiej stronie drogi krajowej.

Kiedy przyszło co do czego, wszystko mu się pomieszało jak jakiemuś głupkowi.

Tak jest, głupek to w tej sytuacji właściwe słowo.

– Więc tu naprawdę było kiedyś miejsce kaźni – powiedział z udaną lekkością, kiedy wracali do samochodu. – Uśmiercano tu przez ścięcie, czy wieszano?

– I jedno, i drugie – wyjaśnił Nisse. – Zwróciłeś uwagę na spore wgłębienie na szczycie wzgórza?

– Tak. Potknąłem się tam.

– Ludzie gadają, że tam grzebano ściętych.

Morten poczuł, jakby mała jaszczurka o lodowatych łapkach przemknęła mu po plecach. Już więcej się nie odwracał. Nisse natomiast był całkiem nieczuły na małe jaszczurki.

– Jednym z ostatnich tutaj ściętych był w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku pewien ponury rozbójnik, który napadał podróżnych na drogach. Nawiasem mówiąc, miał na imię Marten.

– Dziękuję ci! – skrzywił się Morten. – Już wystarczy.

11

Rozważali możliwość zatrzymania się w małej jadłodajni Annorlunda koło Stenshuvud, żeby odbyć krótką rozmowę informacyjną.

(W Szwecji wiele nazw miejscowych kończy się na – lunda: Bjórklunda, Lummelunda, Graniunda… Annorlunda natomiast znaczy „inaczej, odmiennie”.)

Morten odnosił się jednak do pomysłu sceptycznie.

– Tam może być za dużo ludzi, a to jest tajemnica przez wielkie T. Czy nie lepiej pojechać do mojego pokoju w hotelu? A poza tym powinniśmy spróbować amontillado.

Reszta chętnie na to przystała, najpierw jednak trzeba było zabrać samochód Mortena, zostawiony w lesie – jeśli tam jeszcze stoi. Kluczyki przecież zniknęły.

Owszem, samochód stał tam gdzie przedtem, Morten zaczął go podejrzliwie badać, już kiedyś przecież doświadczył sabotażu. Och, jak to było dawno temu! Tyle się od tamtej pory wydarzyło!

Drzwiczki samochodu nie były zamknięte na zamek, kluczyki leżały na podłodze.

– A to co? Nikt nie chce nawet ukraść mojego samochodu? Czy coś z nim nie w porządku? – narzekał Morten.

Natychmiast jednak zauważył, ze schowek na rękawiczki został przeszukany. Telefon komórkowy leżał na miejscu, ale wszystkie wiadomości wykasowano.

– Przeczytali je – stwierdził Nisse. – Było tam coś ważnego?

Morten zastanowił się. No tak, moja słodka rozmowa z Moniką, pomyślał i zaczerwienił się po uszy.

– Nie – odparł swobodnie. – Nic ważnego. Jeśli nie nadeszła jakaś ważna informacja wczoraj wieczorem. Ale my nigdy o tej sprawie nie rozmawiamy za pośrednictwem SMS – ów.

Skańczycy uznali, że to bardzo rozsądne, teraz jednak z niecierpliwością oczekiwali, aż Morten opowie im całą historię.

Jechał za nimi do Simrishamn. Widział pola Brósarp i jabłkowe sady w Kivik, gdzie nagrywany był film „Bracia Lwie Serce” na podstawie powieści Astrid Lindgren. Widział nawet miejsca, gdzie znajdowała się filmowa Zagroda Jabłoni i Dolina Dzikich Róż. I co najmniej pięćset krecich kopców na wielkim trawniku, prawdziwa krecia orgia.

To mu przypomniało dyskusję, jaką prowadzili z Sissi w samochodzie dostawczym. Licytowali się kto, Szwecja czy Norwegia, ma więcej komputerów osobistych.

„My mamy tysiące” – przechwalał się Morten.

„My natomiast miliony”.

„Biliony”.

„Tryliony”.

„Kwartyliony”.

„Sianolony” – syknęła w końcu Sissi.

Morten wybuchnął głośnym śmiechem.

Teraz siedząc w skromnym samochodzie babci, uśmiechał się sam do siebie. To dobrze, że samochód jest właśnie taki, w przeciwnym razie pewnie już by go nie było.

Morten rozmawiał z Antoniem i otrzymał błogosławieństwo oraz pozwolenie, by opowiedzieć swoim nowym przyjaciołom o zagadce rycerzy. Sami rycerze też to zaakceptowali, w podziękowaniu za wkład trojga młodych Szwedów do poszukiwań. I z radości z odnalezienia jeszcze jednego potomka.

Dla Mortena był to wielki dzień!

Siedzieli w hotelowym pokoju rozparci wygodnie w fotelach, tylko on sam, jako uprzejmy gospodarz, dla którego fotela zabrakło, siedział na podłodze. Sherry w butelce powoli ubywało, choć Morten nie odważył się wypić więcej niż tylko na spróbowanie. Dosłownie dwie krople. Smakowało znakomicie. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zostawić sobie trochę na później.

Ale tak się przecież nie robi.

Morten opowiedział o rycerzach. W najogólniejszych zarysach, a kilka zdarzeń bardziej szczegółowo. Na przykład powiedział im o swoim spotkaniu z duchami na Wzgórzu Wisielców. Był z tego w jakimś sensie dumny, od tej chwili mógł się uważać za członka grupy, który miewa widzenia jak Unni, Jordi i inni.

Szwedzi siedzieli w milczeniu, najwyraźniej nie wiedzieli, co o tym myśleć.

– Cóż za zbójecka historia – powiedział w końcu Hasse.

– Nie zbójecka – poprawił go Morten. – Rycerska historia.

Sceptycyzm Hassego najwyraźniej nie był specjalnie głęboki. Westchnął bowiem tęsknie i rzekł:

– Ech, żeby tak móc w tym uczestniczyć!

– A ta historia ze skarbem brzmi naprawdę ekstra -. dodał Nisse. – Morten potrząsnął głową.

– O skarbie wiemy bardzo mało. To tylko dodatek do głównej sprawy.

– Wygląda jednak na ważną dla waszych przeciwników.

– Tak, dla nich to właśnie siła napędowa.

Morten zastanawiał się przez chwilę. Wśród napastników była kobieta? Czy to możliwe, że pojawiła się znowu Emma?

Ale przecież Emma jest w Hiszpanii. I właściwie to jak długo szary samochód za nim jechał? Od Norwegii? Ale rejestrację ma

szwedzką.

Dłużej jego biedna głowa nie była w stanie się wysilać, wszystko to za bardzo skomplikowane.

Dotychczas Sissi siedziała w milczeniu. Właśnie odczytano jej wyrok śmierci. Ma jeszcze trzy lata.

– Ja chyba mam prawo pomagać! – wybuchnęła gwałtownie.

– To oczywiste – odparł Morten. – Chodzi przecież i o twoje życie.

– Ja nie wierze, w te dwadzieścia pięć lat – powiedziała ze złością. – Nie wierzę w to ani trochę.

– Zainteresowani we wszystkich czasach zachowywali się tak jak ty, też nie chcieli wierzyć. Bo człowiek nie chce umierać młodo. Ja też często odrzucam taką ewentualność, ale wiem, że to prawda. Jordi i ja mamy równie mało czasu.

– Może i my otrzymamy odroczenie, tak jak Jordi?

– Jordi zajmuje u rycerzy specjalne miejsce. Urraca też traktuje go wyjątkowo. A to ona dokonuje magicznych czynów zgodnie z wolą rycerzy. Nie sądzę, by chcieli prosić ją jeszcze raz o wykonanie sztuczki przedłużania życia. To Wamba rzucił przekleństwo na potomków rycerzy i gdyby zaczęli go jeszcze raz drażnić, mogłoby być źle.

– Ale przecież Jordi unieszkodliwił Wambę, sam powiedziałeś.

– Wamba wcielił się w Leona. Poza tym nie wiemy, gdzie się teraz znajduje. Zniknął dawno temu.

– Zniknęli, chciałeś powiedzieć. Ich jest przecież teraz dwóch. W jednym ciele.

– No tak. Chłopcy, ja nie wiem, czy możecie być z nami. I czy powinniście. Ale porozmawiam z Jordim, a on przekaże sprawę rycerzom. To oni decydują. Pamiętajcie jednak, że zanim jeszcze zacząłem opowiadać, przyrzekliście milczenie. Sami możecie sobie wyobrazić, co by było, gdyby sprawa wyszła na jaw. Gazety! Tłumy poszukiwaczy skarbów! Oficjalne badania! To by był koszmar.

– Rozumiemy. Możesz na nas polegać. Ale zapytasz, czy możemy się przyłączyć, prawda?

– Na pewno! Nie zapominajcie tylko o Jornie, naszym koledze, który tak bardzo prosił, by mógł z nami współpracować, a potem przeżył szok. Podniecająca przygoda, to jedna sprawa, a zagrożenie życia – druga.

– Morten, myśmy uprawiali rozmaite sporty ekstremalne, skakaliśmy ze spadochronem, nurkowaliśmy, wspinaliśmy się po górach, nie tutaj, w Skanii, rzecz jasna, ale w ogóle mamy spore doświadczenie. Możemy się bardzo przydać, gdybyście musieli działać w jakichś takich warunkach, penetrować jaskinie, nurkować czy coś takiego.

Zapał powoli opuszczał Nissego.

– Tylko że mamy studia i w ciągu roku szkolnego byłoby trudno. Próbujcie może najbardziej wymagające zajęcia odłożyć na wakacje, co?

Morten śmiał się razem z nim.

– Takie proste to to nie jest. Ale, Sissi, powiedz mi, jesteś pewna, czy przy gryfie nie było żadnej pisemnej informacji? Może dostałaś coś w dniu konfirmacji, na przykład.

– Niczego nie dostałam. A poza tym, jakiego rodzaju informacja by to miała być?

– Poczekaj, mam coś takiego przy sobie, zamierzam to przetłumaczyć – powiedział Morten i na kolanach przesunął się do swojej walizki.

Nagle zastygł w bezruchu.

– Tutaj ktoś był!

– Co ty mówisz? – zawołał Hasse. – I skąd wiesz?

– Wszystko leży przecież w najlepszym porządku. Nie mogli się powstrzymać od śmiechu, Morten jednak wciąż czegoś szukał.

– Coś zabrali?

– Tak, do diabła! Informację!

– To poważne?

– Nie, właściwie niespecjalnie. Brzmiało to jakoś tak: „Zostali obciążeni przekleństwem i musieli się rozłączyć, aż do śmierci, ale słowa powinny ich znowu połączyć". To przecież nie wyjaśnia wiele, jeśli chodzi o drogę do tajemniczej doliny.

Nisse zbiegł do recepcji, żeby zapytać, czy nikt nie wchodził do pokoju Mortena. Dowiedział się, że nie, nikt, ale w dniu, w którym Morten przybył do Simrishamn, był tu jakiś mężczyzna i pytał, czy Morten mieszka w hotelu. Recepcjonistka musiała potwierdzić, ale Morten właśnie wyszedł. Ów obcy mężczyzna, zresztą Norweg, prosił tylko o podanie numeru pokoju, bo chciałby mu później coś przekazać. „Morten mianowicie jest moim synem", miał powiedzieć z uśmiechem, pokazał też paszport na nazwisko Thore Andersen, wobec czego poinformowano go, w którym pokoju Morten mieszka.

Przy okazji Nisse stwierdził, że jest stosunkowo łatwo wykraść klucz, wystarczy zaczekać na chwilę nieuwagi recepcjonistki. Jeśli jeden z łobuzów ją zagadywał, inny mógł spokojnie wziąć, co chciał.

– Mój ojciec nie żyje! – zawołał Morten wzburzony, kiedy Nisse raportował, czego się dowiedział. – A poza tym nie miał na imię Thore.

Uspokoił się dosyć szybko.

– Jaka szkoda, że twoja mama nie żyje, Sissi. Bo ona by na pewno pamiętała, czy przy gryfie nie było jakiejś informacji.

Sissi obiecała, że będzie pamiętać o sprawie i przeszuka rodzinne papiery.

Tymczasem głowa Mortena zrobiła już wszystko, co była w stanie znieść tego dnia. Chłopak dojrzał do tego, żeby się położyć.

Jego nowym przyjaciołom, kulturystom, bardzo się nie podobało, że będzie sam mieszkał w hotelu i że sam pojedzie do Norwegii.

W końcu uzgodnili, że pośpi parę godzin, ale drzwi zamknie starannie na klucz. Oni przyjdą po niego o trzeciej nad ranem, powinien na nich czekać gotowy do drogi, to będą mu towarzyszyć do granic Skanii. Muszą być pewni, że żaden szary samochód za nim nie jedzie.

Umówili się, że później też będą utrzymywać ścisły kontakt. Odnosiło się to zwłaszcza do Sissi, która niebawem miała zostać przedstawiona norweskim i hiszpańskim przyjaciołom Mortena i może również rycerzom.

Z uroczystą miną przekazała mu amulet w kształcie gryfa, po czym goście pożegnali się i poszli.

Morten z ulgą stwierdził, że w butelce zostało jeszcze trochę sherry. Schował butelkę i wślizgnął się do łóżka.

CZĘŚĆ DRUGA. CZAS NA MIŁOŚĆ

„Nie dotykaj mnie, nie podchodź za blisko! Moja skóra jest wrażliwa na twój dotyk, niczym kwiaty mimozy na powiew wiatru. Ja wiem, że pod mrozem, który cię otula, twoje ciało goreje, podobnie jak moje, które staje w płomieniach, kiedy się zbliżasz. W płomieniach, które błagają, byś to ty je ugasił. Zaczekaj! Zaczekaj tylko, aż czas się dopełni! Ale, na wszystkie gwiazdy na niebie, nie zwlekaj zbyt długo! Nie zniosę już więcej! Nie zniosę, by tęsknota rozrywała na strzępy moje ciało i moją duszę!

Przyjdź do mnie, najszybciej jak to możliwe!”

12

Sissi przyjechała i dokonano prezentacji. Bez kłopotów została przyjęta przez całą grupę, zamieszkała w pokoju Gudrun i Pedra, oni bowiem nadal pozostawali w Madrycie. Nie mogła długo zostać", wkrótce musiała wracać do Skanii.

Przywiozła jednak pożółkły kawałek papieru, który znalazła pośród swoich rzeczy, musiała go więc dostać razem z gryfem dawno temu. List, czy jak to nazwać, znajdował się w zniszczonej kopercie z napisem „Ważne dokumenty". Koperta leżała razem z jej i matki świadectwem chrztu, a ona nigdy się tym nie interesowała.

– Czy to może być to, czego szukasz? – wyciągnęła papier do Mortena, którego znała najlepiej i uważała za autorytet, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich pozostałych i zadowoleniu samego Mortena.

– To przecież właściwie pozbawione sensu słowa – rzekła trochę przepraszającym tonem, jakby czekała, że on zacznie się głośno śmiać.

Przeczytali informację. Została zapisana po szwedzku, mieli jednak wrażenie, że niegdyś tekst przetłumaczono z hiszpańskiego, bowiem język był dość nieudolny.

„Moja jest kraina, szara i pionowa, gdzie się gromadzą orły. Z południa na zachód. Z północy na prawo".

– To jest właśnie ten dokument – odezwało się wiele głosów równocześnie.

– Ale czy nie powinno być „z południa na lewo"? – spytała Unni. – Skoro dalej jest „na prawo"?

– W tym wypadku zachód i lewo musi oznaczać to samo – stwierdził Antonio. – Tylko o co tu chodzi? Czy oni muszą nam wciąż podrzucać kolejne rebusy do rozwiązania?

Sissi nadal odnosiła się do całej sprawy dość sceptycznie. Nadal toczyła się w niej walka między rozsądkiem a pragnieniami.

Morten starał się ją uspokoić:

– Skoro rycerze o tobie nie wiedzieli, to mnisi pewnie też nie.

– Jacy mnisi? Ci okrutni kaci, o których rozmawiacie?

– Tak. Ubierali się jak mnisi, ale byli tylko pomocnikami inkwizycji. Takimi, którzy czerpali przyjemność z okrucieństwa, rozkoszowali się nim. Dominikanie na przykład nie byli tacy źli. Dbali tylko o swoje majątki.

– Starczy i to – skrzywiła się Sissi, a pozostali przyznali jej rację.

Dziewczyna kręciła głową, nie mogła przestać się temu wszystkiemu dziwić.

W końcu Jordi zabrał ją ze sobą do rycerzy. Morten i Unni mogli jej towarzyszyć, wszyscy przekonywali ją że nie ma się czego obawiać. Naprawdę nie powinna się bać!

Rycerze byli dostojni i przerażający, kiedy wyłonili się z zacienionego ogrodu. Po prostu z powietrza.

Przez twarz Sissi przemknął intensywny rumieniec, który zaraz zbladł. Wstrząsnął nią dreszcz, jakby spontaniczna chęć ucieczki, ale zdołała ją opanować. Ściskała rękę Mortena, spoglądała przestraszona to na Unni, to na Jordiego, żeby się przekonać, że to co widzi, jest prawdą.

– Tak jest – potwierdził Jordi. – Oni są prawdziwi. Jeśli tak można nazwać zjawy nie z tego świata. Przedstawił rycerzy po kolei, jak zawsze z wielkim szacunkiem, a na koniec powiedział:

– To zaś, Sissi, jest twój przodek, don Garcia de Cantabria. Bardzo się cieszy, że jesteś i że cię odnaleźliśmy.

Don Garcia zsiadł z konia i podszedł do niej długimi, jakby miękkimi krokami.

Kroki upiora, pomyślała Unni, jej też zrobiło się słabo. Ciekawe, jak Sissi to przyjmie?

Ale Sissi zachowała się znakomicie.

Patrzyła pod stopy, kiedy kłaniała się nisko, ale potem wyprostowała się i podniosła wzrok. (No, dla ścisłości trzeba powiedzieć, że Jordi poinstruował ją zawczasu i że mimo to z daleka było widać, iż trzęsie się niczym osikowy liść.) Don Garcia położył obciągniętą rękawiczką dłoń na jej ramieniu. Tylko nie zacznij teraz histerycznie krzyczeć, błagała w myślach Unni, ale opanowanie Sissi jej imponowało. Potem opowiadała, że to dotknięcie jego dłoni było niczym muśnięcie piórkiem, prawie nic nie czuła, ale zarazem ciężkie jak ołów, zawierało całą, skondensowaną historię rodu.

Unni sama uważała, że to niesamowite mieć przed sobą chodzącego upiora, zresztą stojąc na ziemi, wydawał się jakiś bardziej ludzki, niż kiedy siedział wysoko na koniu, taki daleki. Widziała też wyraźnie ubranie don Garcii, kiedy podnosił rękę. Złoty blask pasa i purpurową szatę, chociaż wszystko było brudne i wygniecione, tak długo po śmierci… Ten rycerz miał surowy, jakby zacięty wyraz twarzy, nie dobrotliwy jak don Galindo. Don Garcia był jedynym z rycerzy w średnim wieku. Jakieś sześćdziesiąt łat (plus kilkaset), o szpakowatym zaroście i martwych, białych oczach.

– On jest z ciebie bardzo zadowolony, Sissi – powiedział Jordi przyjaźnie. – I prosi, żebyś się go nie bała. Będzie nad tobą czuwał.

Sissi nie bardzo wiedziała, czy powinna być za tę obietnicę wdzięczna. Odetchnęła głośno, kiedy spotkanie dobiegło końca.

Ale była zdecydowana im pomagać. Problem chętnych do działania młodych kulturystów ze Skanii rozważał się poniekąd sam. Hasse i Nisse nie mogli przyjechać do Norwegii, bo musieli się zajmować studiami.

Właściwie Sissi przyjęła to z ulgą, chciała zachować nowych

przyjaciół tylko dla siebie.

Vesla była narazie w znakomitym humorze. Czarna chmura jej życia, matka, zadzwoniła z wiadomością, że córka nowych sąsiadów jest bardzo sympatyczna, odwiedza ją często i pyta, czy nie mogłaby się do czegoś przydać. Jest, mówiła matka, o wiele milsza i bardziej wyrozumiała, niż niewdzięczna Vesla, która tylko ściąga wstyd na głowę nieszczęsnej matki. Córka sąsiadów załatwia dla niej sprawunki i ma cierpliwość słuchać, kiedy samotna, nieszczęśliwa kobieta, chce się wyżalić i opowiedzieć o swoich życiowych problemach.

Więc niech sobie Vesla zostanie tam, gdzie jest, nie musi się już niczym przejmować.

Jak dobrze, myślała Vesla. Jak cudownie i wspaniale! Obawiała się tylko, że to może długo nie potrwać. Na wszelki wypadek więc zmieniła telefon komórkowy. Teraz nareszcie może się w spokoju cieszyć swoim Antoniem!

Ale jej obawy okazały się słuszne: szczęście nie trwało długo.

Matka nie mogła jej dopaść telefonicznie, przysłała więc list pełen zaklęć i wymówek. List został przez pocztę dostany, bowiem Vesla nie chciała zdradzić nowego adresu. Zawierał mnóstwo oskarżeń i opisów cierpień. Oto przykład:

„Ta bezwstydna dziewczyna, która przychodziła tu, do mojego domu, i której ja zaufałam! Teraz mi mówi, że nie jest w stanie dłużej słuchać mojego gadania. Słyszałaś coś takiego? Naprawdę nie ma już na świecie zrozumienia ani współczucia. Jakbym ja nigdy nie miała do powiedzenia niczego przyjemnego! Jak można się czuć, kiedy cały świat jest przeciwko tobie?

A ty jesteś jedną z tych, którzy dokładają kamienie do mojego brzemienia. Teraz masz zaraz iść do pastora i poślubić tego grzesznego studenta medycyny, który ściągnął na mnie wstyd wobec wszystkich moich sąsiadów i znajomych. Jeśli nie zadbasz, żeby zalegalizować ten swój grzeszny związek, to więcej mnie nie zobaczysz! I nie wyobrażaj sobie, że przyjdę na twój ślub i będę patrzeć, jak idziesz przez kościół w białej sukni, do której nie masz prawa, pokazując wszystkim takie wyraźne dowody, że grzeszyłaś przeciwko pańskiemu przykazaniu, które mówi: Nie cudzołóż!

Kiedy już będziesz formalnie zaślubiona i urodzisz dziecko, owoc grzechu, to daj znać. Ale nie wcześniej! Chcę spotykać znajomych z podniesionym czołem i móc im powiedzieć, że moja córka jest doktorową Vargas. Nie wcześniej, ostrzegam cię! Bo jak nie, to cię wydziedziczę i nie dostaniesz po mnie żadnego spadku”.

– Przejrzałam cię już dawno temu, ty karykaturo matki – westchnęła Vesla zmęczona.

Mimo to dalszy ciąg listu wywołał w niej szok:

– „Chcę cię poinformować, że odnalazłam własną drogę, bez

twojej pomocy. Poprzez znajomych poznałam nieziemskiego człowieka, samego przywódcę Jedynego Kościoła w Duchu Niebiańskim, pastora Schwartza. On dał mi tę pociechę i wsparcie, jakiego ty, moja córko, i wielu innych mi odmawialiście.

On „wsłuchuje się w mój ból, moją samotność i rozpacz. Nikt mnie przecież nie rozumie, nikt z wyjątkiem jego. Czuć jego dłoń na swoim ramieniu, kiedy opowiadam mu o trwającym cale życie cierpieniu, tę dłoń, która z takim zrozumieniem głaszcze moje kolana… o, wtedy dreszcz przenika moje ciało i przepełnia mnie religijna rozkosz. To boskie uczucie. Vesla, ja wierzę, że niebiańsko cieple dłonie pastora Schwartza mogą mnie uwolnić od wszystkich cierpień, jego głos przy moim uchu daje mi nareszcie poczucie bezpieczeństwa, jestem nawet w stanie chodzić na jego spotkania z wiernymi, to naprawdę cud boski, i pastor wie, jak powinnam dysponować moimi pieniędzmi. Jedyne słuszne rozwiązanie w tych czasach jarmarcznego zgiełku, to oddać je pod opiekę Niebiańskiego Kościoła”.

– Aha, więc mamusia teraz może chodzić? – zdziwiła się Vesla cierpko.

– Ona potrzebuje pomocy psychiatrycznej – wtrącił Antonio. – Powinna była ją otrzymać już dawno temu, to nie zatrułaby twojego dzieciństwa i młodości, jak to niestety miało miejsce.

– A tego pastora należałoby zamknąć.

– Tak, to mi pachnie niezłym oszustwem – zgodził się Antonio.

– Jeśli mu nawet odda swoje pieniądze, mnie to nic nie obchodzi, ale tacy jak on nie powinni chodzić wolno i ogłupiać ludzi.

– To prawda, jednak teraz reagować nie możemy, bo cię oskarży, że chcesz ją pozbawić przyjaciela z zazdrości o spadek. Który, jak się domyślam, nie jest przesadnie wielki?

– Nie, no coś ty, najwyżej kilka tysięcy. Nie wiem, ile dokładnie i nie chcę wiedzieć.

– Nie przeszkadzaj jej, niech się bawi. Pozwól jej zaznać tego szczęścia, czuć jego spocone ręce na swoich kolanach, czy gdzie pastor zechce je umieścić. Musimy tylko zadbać, żeby wielebny się nie ulotnił. Kiedy matka będzie potrzebowała naszego wsparcia i pociechy, dostanie je, a wtedy my dopadniemy pastora tak, by i ona, i wszyscy inni, którzy mu zaufali, dostali z powrotem przynajmniej pieniądze. Vesla zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Jesteś wspaniały, Antonio. Najlepsze, co mnie w życiu spotkało.

– Będzie coś jeszcze lepszego – powiedział ze śmiechem, głaszcząc jej wydatny brzuch. – A ślub mamusia przegapiła i nie wie, że odbył się wiele miesięcy temu, skromny, tylko z przyjaciółmi.

Unni była wściekła na jednego z pasażerów samolotu tamtego dnia, kiedy wracali do domu z Hiszpanii, po odwiedzinach grobu

mnicha Jorge z Nawarry. Siedzący obok niej Norweg miał nieźle w czubie i jakby tego było mało, był zaziębiony i powinien był się trzymać od niej z daleka. Unni jednak najwyraźniej wpadła mu w oko, próbował ją obłapiać i przytulać, pochylał nad nią twarz, choć kichał i prychał na wszystkie strony. W końcu musiała obudzić Jordiego, który zasnął natychmiast jak tylko wsiedli do samolotu. Zamienili się miejscami, co Norwega zezłościło, ale tym się akurat nie przejmowała.

Niestety, interwencja okazała się spóźniona. W trzy dni po powrocie Unni rozchorowała się na grypę i z każdym dniem czuła się gorzej. Bolały ją mięśnie, głowę miała jak wypchaną watą, źle słyszała i nie mogła poruszać szczękami. Zakatarzona i z gorączką nie mogła jechać z Jordim do Hiszpanii. Zresztą by jej nie pozwolono, musieli czekać. Jordi przygotował dla niej posłanie najlepiej jak potrafił. On sam oczywiście nie zachorował, co to, to nie!

Życzyła tamtemu współpasażerowi, żeby mu się rok ułożył jak najgorzej, żeby miał zapalenie pęcherza i wrzody na twarzy, żeby cuchnęło od niego paskudnie. Ale nie była wiedźmą, więc jej rozpalone do białości przekleństwa nie miały żadnej wartości.

Jordi czekał cierpliwie, aż Unni dojdzie do siebie, zarówno jeśli chodzi o zdrowie, jak i poczucie humoru.

Tymczasem nastał lipiec i zaczęły się upały.

W takim okresie jechać do Hiszpanii! Sprytne, nie ma co!

Unni podejrzliwie przyglądała się swojemu sąsiadowi w samolocie, ale ten sprawiał wrażenie zdrowego.

Z ulgą uwolniła się od konieczności używania papierowych chusteczek do nosa, od których porobiły jej się rany. Te zresztą też już się prawie zabliźniły, tylko zaczerwienienia pod nosem zdradzały przebytą grypę. Przyjemnie jest nie mieć rankami zapchanego nosa.

Ale zaziębienie ma też jedną dobrą stronę, człowiek uzmysławia sobie mianowicie, jak dobrze jest być zdrowym, nad czym Unni nigdy przedtem się nie zastanawiała. Irytujące bagatele są jedynie tym, czym być powinny: bagatelą właśnie.

Na te ciągłe podróże szło mnóstwo pieniędzy, żeby więc trochę oszczędzić, latali klasą ekonomiczną i tanimi samolotami. Nie było to, niestety, wygodne. Jordi, który miał takie długie nogi, męczył się w ciasnych samolotach, nie wiedział, co zrobić z kolanami, przeważnie wbijał je w plecy pasażera siedzącego przed nim. Unni z czułością obserwowała jego wysiłki, starała się go jakoś pocieszyć, udzielała dobrych rad. Poza tym borykali się ze swoim stałym problemem, chłodem, który oddzielał ich niczym niewidzialna ściana. Ostatnio Unni nie chciała się przed nim bronić, nie mogła wciąż siedzieć czy stać daleko od ukochanego. W tej sytuacji musiała się ciepło ubierać, co nie było najzabawniejsze, skoro wokół panował letni upał. Pasażerowie dziwili się jej rękawiczkom i grubym swetrom oraz

sinemu nosowi. Mimo wszystko, mając do wyboru, wolała to, niż znajdować się z dala od Jordiego.

On widział, jak Unni cierpi, ale nic na to poradzić nie mógł. Była uparta jak kozioł.

Wielokrotnie myślał sobie: No to wykorzystajmy te nasze pół godziny, żeby Unni poczuła się trochę lepiej. Będzie mogła się do mnie zbliżyć bez obawy, że zamarznie na śmierć.

Ale szkoda by było lekkomyślnie roztrwonić tę drogocenną chwilę.

Mimo to potrzeba bliskości u obojga nabierała powoli desperackiego wymiaru. Wiedzieli, że ani nie chcą, ani nie mogą jej już bardzo długo odsuwać. Boże drogi, jeśli dwoje ludzi kocha się ponad wszystko na świecie, to czyż jest coś bardziej naturalnego niż pragnienie, żeby być ze sobą, wyznawać sobie nawzajem, co płonie w sercach, okazywać drugiej osobie swoją miłość?

Teraz Unni wróciła do zdrowia. Jadą razem do Hiszpanii, tam będą dzielić hotelowe pokoje, bo na osobne ich nie stać.

Erotyczne napięcie między nimi osiągało niewiarygodne rozmiary. Nie mogli się nawet dotykać, nawet nie chłód temu przeszkadzał, ale każdy gest groził tym, że się zapomną. Elektryczna iskra przechodziła między ich ciałami, co tłumaczyli zbyt długo trwającą tęsknotą. Nie musieli nic mówić, wszystko było wypisane w ich oczach, w ich twarzach i w tych opanowanych ruchach.

Oboje wiedzieli jednak i to, że kiedy owe pół godziny minie, nie będą już mieli do czego tęsknić, wszystko skończy się nieodwołalnie.

Dlatego czekali mimo frustracji i rozpaczy.

Wynajęli samochód i prosto z lotniska ruszyli nadbrzeżną drogą do Asturii, a ściślej do Cangas de Onis, skąd pochodził don Galindo. Musieli się dostać do biblioteki i kościelnych źródeł w Oviedo, najpierw jednak chcieli zobaczyć rodzinne strony rycerza, znajdujące się teraz na ich drodze.

Jak powiedzieliśmy, jechali wzdłuż wybrzeża… i pojęcia nie mieli, jak blisko jest stąd do ostatecznego celu poszukiwań. Do ukrytej doliny.

Cangas de Onis, leżące u stóp gór, w dużej części przesłaniał prastary most kamienny, przed którym wisiał ogromny krzyż. Domyślali się, że ten krzyż to pamiątka jakichś wydarzeń.

Weszli do klasztoru San Pedro, przemienionego teraz na gospodę z hotelem. Zmęczeni podróżą rozpakowywali swoje rzeczy i z radością czekali na dobry obiad. Oboje uważali, że sobie na niego zasłużyli.

Jednocześnie

Mech i skalne rośliny wrastały w pęknięcia i szczeliny kamiennego mostu. Pod nim toczyła swoje wody rzeka Sella. W górze, na krawędzi mostu uczepili się podobni do starych ptaków „mnisi" i rozglądali się uważnie na wszystkie strony. Wypatrywali. Przypominali rzygacze z katedry Notre Dame, ujścia rynien w kształcie groteskowych potworów z baśni.

„Są tam, są tam, blisko, bardzo blisko! Co robić? Co tu robić?"

„Co robić? Jest nas tak mało. Tak strasznie mało!"

Mnisi, podobnie jak islandzkie duchy, musieli po parę razy powtarzać niektóre słowa. Byli podnieceni, wściekli i sfrustrowani, że wróg ważył się podejść tak blisko.

„Ten niebezpieczny też tu jest. Ten ani żywy, ani umarły. Najsilniejszy strażnik przeklętych rycerzy. Śmierć mu, śmierć, śmierć!"

„A razem z nim jedzie nasze największe zagrożenie. Niebezpiecznie, bardzo niebezpiecznie! Ona znalazła to, co nas najbardziej rani. Już zdążyła unicestwić pięciu naszych dzielnych, prawomyślnych braci. Groza, groza!"

„A do tego najsilniejszy usunął jednego z nas. I zakała świata, Urraca, też jednego".

„Biada nam, biada!"

„Zostało nas już tylko sześciu – wył jeden z katów inkwizycji. – Musimy unieszkodliwić tych dwoje, zanim zdążą nam zadać gwałt i narazić naszą gromadkę na straty".

W przeciwieństwie do islandzkich duchów, które nie mogą wypowiedzieć imienia Boga, mnisi nie mieli z tym najmniejszych problemów. Nadużywali Boskiego imienia ile dusza zapragnie.

„Bóg jest z nami, wiecie o tym, bracia, w oczach Boga zabijanie niewiernych jest świętym postępkiem. Sami nie jesteśmy w stanie nic tutaj zrobić od czasu, kiedy nasza mała szkatułka została nam odebrana przez przeklętego Santiago de Navarra i jego ojca, a następnie zniszczona przez niegodnego Antonia. Musimy znowu znaleźć kogoś żywego, kto będzie załatwiał nasze sprawy. Pan pomoże nam kogoś takiego znaleźć, bowiem nasze uczynki są na jego chwałę i sprawiają mu radość, ja to wiem, ja to wiem".

„Dobrze powiedziane, bracie! Nasz człowiek, Leon, zniknął. Zniknął też jego oddany pomocnik, Alonzo. Ale z pewnością znajdziemy innych!"

„Sława nam! Sława, sława!"

Zbliżyli ku sobie swoje trupie głowy W oczodołach połyskiwało zło, kiedy układali nowe plany. Złe plany.

13

Bardzo miła pani w klasztorze San Pedro opowiedziała im o krzyżu pod mostem.

Była to, jak przypuszczali, pamiątka. Wzniesiono go tutaj dla uczczenia tych Asturyjczyków, którzy w bitwie pod Covadonga, w roku 724, powstrzymali marsz Maurów na północ.

– Powinni państwo pojechać do Covadonga – powiedziała pani. – To niedaleko stąd. W lasach.

Oboje chcieli się dowiedzieć czegoś więcej o tych wydarzeniach, historia bardzo ich zainteresowała.

Pani bardzo chętnie podjęła opowieść. W ósmym wieku tylko mała grupa ludzi, zamieszkująca niewielkie terytorium, pod wodzą Pelayo zdecydowała się przeciwstawić Maurom.

Trzymali się właśnie w okolicy Covadonga, w dolinie Pico. Ich ostatnim schronieniem była rozległa grota. Z pomocą Świętego Krzyża i Najświętszej Panienki Pelayo i jego ludzie pokonali dwadzieścia tysięcy Maurów, wysłanych dla ich pojmania. Pelayo został ogłoszony królem i tak rozpoczęło się odbijanie Hiszpanii przez chrześcijan, czyli la Reconquista.

Wydawało się przesadą owe dwadzieścia tysięcy Maurów przeciw grupce obrońców kraju, ale Unni i Jordi zaakceptowali historię. Potem zapytali uprzejmą panią, czy nie wie przypadkiem czegoś o rycerzu don Galindo, który jakoby miał się tu urodzić w czternastym wieku.

Pani myślała tak intensywnie, że wysiłek malował się na jej twarzy.

– Jeśli nosił nazwisko de Asturias, to musiał należeć do bardzo wysokiego rodu – pani ściszyła glos, jakby to jeszcze wciąż była największa tajemnica. – I chyba nie on przeciwstawił się królowi?

– Owszem, właśnie on – zawołali oboje z wielkim zapałem.

Znaleźli oto jedną osobę, która słyszała o buncie. W takim razie musiało istnieć ich więcej. Prosili usilnie, by opowiedziała im, co wie.

– Uff, nie, to tylko legenda. Nikt nie wierzy, że to się wydarzyło naprawdę. Ale mimo wszystko dziwna jest sprawa tego skarbu.

Czekali. Może już tutaj otrzymają dodatkowe informacje? Wieczorne światło wpadało przez okna recepcji. Po długo oczekiwanym prysznicu zjedli znakomity obiad i teraz siedzieli, każde z kieliszkiem koniaku w dłoni. Zaczynali się tu czuć bardzo dobrze.

– To znaczy, że lud zdołał zgromadzić aż tyle. – Lud?

– Tak, najwięcej oczywiście ludzie bogaci, ale wszyscy się na to złożyli. Asturia posiadała wielkie bogactwa. Skarby pochodzą z odległych czasów, tak się mówi. Wiecie, Asturia niegdyś była jak teraz Hiszpania. Największe i najbogatsze królestwo na Półwyspie

Iberyjskim. Nie bez przyczyny do tej pory hiszpańscy następcy tronu zawsze są książętami Asturii.

No dobrze, dobrze, ale co ze skarbem, myśleli goście niecierpliwie.

– Tak więc legenda mówi, że wielcy panowie kraju, wielu innych ludzi zresztą także, pragnęli odzyskać swoje dawne królestwo, Asturię, które Ferdynand i Izabella przyłączyli do Aragonii, Kastylii i Leon. Tak, wszystkim północnym prowincjom groziło, że zostaną wchłonięte. Galicja i Kantabria już utraciły swoje przywileje, przeciwstawiali się buntowniczy Baskowie z Kraju Basków oraz mieszkańcy Nawarry… Ale, żeby się uwolnić potrzeba było wojska, a wojsko kosztuje i to dużo. Dlatego postanowili zebrać tyle kosztowności, by móc uderzyć. Upatrzyli sobie też na króla pewnego młodego księcia z Kantabrii.

I księżniczkę z Asturii, pomyślała Unni.

Sympatyczna hiszpańska recepcjonistka ściszyła jeszcze bardziej głos:

– Mówiono, że trzy najznakomitsze klejnoty zniknęły w tym czasie z zamku księcia prowincji.

– Takie jak złoty ptak z Orfi? – zapytał Jordi. Skinęła głową z bardzo tajemniczą miną.

– Tak, ten ptak i jeszcze dwa inne kosztowne przedmioty. Co się więc z nimi stało, jeśli nie zostałyby ukryte?

Było to raczej pytanie retoryczne. Ani Jordi, ani Unni nie mogli przecież na nie odpowiedzieć.

– Czy wśród kosztowności był też święty Graal? – spytała Unni.

– Nie, nie, nigdy go nie wymieniano w związku z tym. Ale zapytajcie jakiego mieszkańca Galicji, czego im brakuje.

Nic więcej nie chciała powiedzieć, wiadomo, ściany mają uszy.

No tak, myślała Unni. Skoro Asturia gromadziła kosztowności, to cztery pozostałe prowincje też musiały to czynić. Mógł powstać skarb niewyobrażalnej wartości. Nic dziwnego, że Leon, Emma i wszyscy pozostali tak się starają.

Ale chyba szukano skarbu przez wiele setek lat? Bo dlaczego by akurat teraz? Czy to tylko mit tak się rozrastał i rozrastał aż do naszych czasów?

No nic, skarb jest nieważny. Oni walczą o własne życie.

Podziękowali za ciekawe informacje i wyszli. Stali przed klasztorem w blasku niskiego już, wieczornego słońca.

– Jak ci się podoba nowa członkini naszej grupy? – spytał Jordi. – Co sądzisz o Sissi?

– No, robi całkiem niezłe wrażenie. Nie boi się, ciekawa wszystkiego. Pasuje do nas. Morten wyraźnie smali do niej cholewki.

– To prawda – roześmiał się Jordi. – I ma wyrzuty sumienia z

powodu Moniki. Powiedziałem mu już, że nie wolno się tak zachowywać, zamilknąć i po prostu unikać kontaktu. Tak się nie robi.

– Masz rację, to chyba najgorsze wyjście, jakie znam, tak zniknąć bez słowa. A ta biedna, porzucona musi chodzić, zastanawiać się, rozpamiętywać i cierpieć.

No właśnie. Równie złym wyjściem jest zatelefonować czy wysłać krótki list. Ale Antonio obiecał się tym zająć. Skłoni Mortena, żeby się spotkał z Moniką i powiedział, jak się sprawy mają. Jemu też to dobrze zrobi, wyjaśni wszystko i nie będzie musiał się zlewać zimnym potem na myśl o niej.

– Problem polega chyba na tym, że on nie bardzo wie, czego chce. Moim zdaniem ma zamiar trzymać Monikę w rezerwie, gdyby się okazało, że Sissi jest nieosiągalna.

– Nie, to by było świństwo! Czy nie chciałabyś pójść zobaczyć starej części klasztoru? Te dobudowane później pawilony są takie bezosobowe.

– No dobrze, chodźmy.

Klasztor był, jak to zwykle czyniono, zbudowany wokół prostokątnego podwórza i wokół całego czworoboku biegły arkadowe podcienia. Tutaj, dla uzyskania większej liczby miejsc hotelowych, podcienia zabudowano, dzięki czemu powstał zamknięty korytarz. W jednej jego części znajdował się bar, druga natomiast była dość ciemna, pod ścianami złożono resztki muru i stare kamienie nagrobne. Były one tak zwietrzałe, że nie dało się odczytać inskrypcji. Drzwi do różnych klasztornych pomieszczeń były pozamykane.

– Chodzi o to, żeby turyści się tam niepotrzebnie nie plątali – powiedział Jordi. – Niegłupie.

Coś przemknęło Unni przed oczyma. Wczepiła palce w ramię Jordiego.

– Widziałeś? – szepnęła.

– Widziałem – odparł. – Co to było?

– Nie wiem.

Korytarz z kamiennymi płytami wydawał im się teraz znacznie bardziej mroczny niż jeszcze przed chwilą. Owe pozamykane na klucz drzwi kryły ponure tajemnice. Coś załopotało w drugiej części zamurowanych podcieni. Zdawało się, że to coś wyszło wprost ze ściany, a może wleciało tu poprzez drzwi.

– Tam jest jeszcze jeden – szepnął Jordi. – O, i jeszcze! I… Unni, to są mnisi!

– Chcesz powiedzieć… nie ci niewinni mnisi z tutejszego klasztoru, ale nasze paskudztwa?

– Tak. Teraz już zniknęli. Fuj, do diabła, nie chcę ich tutaj widzieć! Musimy mieć spokój.

Unni przełykała ślinę. Wiedziała, że mnichów mogą widzieć

jedynie skazani na śmierć. Ona i Jordi należą, niestety, do tej kategorii.

A może to jakiś zły znak? I wieszczy na przykład, że ich los został nieodwołalnie przypieczętowany i muszą umrzeć, że nie istnieje już żaden ratunek?

– Muszę porozmawiać o tym z rycerzami – powiedział Jordi wstrząśnięty.

Pospiesznie wrócili do recepcji.

– Ale czy oni będą mogli coś z nimi zrobić? – pytała zaniepokojona Unni.

– Nie sądzę. Przynajmniej jednak będą mogli nas ostrzegać w razie czego. Tak myślę.

Czasami dobrze było rozmawiać w stosunkowo trudno zrozumiałym języku, jak norweski. W westybulu bowiem znajdowało się wielu ludzi.

– Za czym węszą ci wysłannicy diabła? – zastanawiała się Unni półgłosem.

– No w każdym razie nie należy się po nich spodziewać niczego dobrego.

– Żeby tak można było złapać ich za te powiewające pelerynki, owinąć mocno i ścisnąć… Nie, nie, żadnych planów krwawej zemsty!

– Chodź, wracamy do swojego pokoju – Jordi wziął ją za rękę.

Nigdy tego nie robił, bo lodowaty chłód natychmiast kąsał jej skórę. Jego zachowanie teraz wskazywało, jak bardzo jest wzburzony.

– Oni nie mogą się do nas zbliżyć, ani nic nam zrobić – uspokajał Unni. – Zresztą i ciebie, i mnie się boją. Mimo to mogą wymyślić znowu jakąś diabelską sztuczkę.

Wspaniały nastrój, w jaki wprawił ich klasztor San Pedro, zniknął. Musieli zdać sobie sprawę z tego, że sytuacja jest naprawdę poważna.

14

Poczuli się lepiej w neutralnym hotelowym numerze, położonym w głębi korytarza.

Ale niepokój nie pozwalał im siedzieć spokojnie, na próżno próbowali otrząsnąć się z nieprzyjemnego wrażenia.

Unni starała się rozmawiać o czym innym:

– Coraz częściej pojawia się w tej historii informacja o skarbie. Nie możemy pozwolić, żeby całkiem nami zawładnął.

– Masz rację. Ale to naturalne, że ludzie tworzą mity na ten temat. Niewiele przecież wiedzą o tragedii rycerzy. Jutro spróbujemy zdobyć jakieś informacje tutaj w Cangas de Onis. Jeśli starczy nam czasu, to wybierzemy się do Oviedo i przejrzymy stare archiwa i kroniki.

– I do Covadonga?

– Do Covadonga to na samym końcu, to będzie chyba zwyczajna wycieczka turystyczna.

Złe samopoczucie po spotkaniu z mnichami powoli ustępowało. Wrócili znowu do stanu, w którym właściwie wciąż się znajdowali, do swojej wiecznej tęsknoty. Są oto sami…

Wiedzieli oboje, że erotyczne napięcie między nimi drga niczym igła barometru podczas sztormu. Kiedy Unni popatrzyła na łóżko, które tej nocy mieli dzielić, ogarnęły ją wielkie wątpliwości. Była szczerze zmęczona tym ciągłym ubieraniem się w ciepłe swetry, owijaniem w kołdry i koce, ale za nic nie chciała być z dala od Jordiego. Należeli do siebie, jakby zostali dla siebie stworzeni. Ich wzajemny szacunek i podziw był naprawdę wielki, okazywali sobie respekt i oddanie, lojalność, mieli to samo poczucie humoru, co jest znakomitą podstawą wspólnego życia, a ich miłość stawała się coraz większa.

I nie wolno im było urzeczywistnić najgorętszych pragnień.

To takie okrutne, takie nieludzkie, serce się od tego kraje.

Jedyne, co mogło im być dane, to krótkie pół godziny.

Jordi miał jeszcze przed sobą sześć miesięcy życia.

Unni musiała spojrzeć prawdzie w oczy: zbyt wiele przeszkód znajdowało się jeszcze na ich drodze, by mogła mieć nadzieję, że zdążą uratować jego i Mortena.

A jeśli Jordi odejdzie, to co zostanie?

Jeśli chodzi o Unni, nie zostanie nic. I chyba też niewiele, jeśli chodzi o Sissi czy nienarodzone dziecko Vesli i Antonia.

Bez Jordiego, Antonio i Pedro nic zrobić nie mogą.

Unni odwróciła się do ukochanego. Jej oczy błyszczały desperacko.

– Jordi, ty nie możesz umrzeć! Nie możesz, ja tego nie zniosę!

Dopadł do niej. Chłód uderzył w Unni niczym lodowa ściana, bardziej przejmujący niż kiedykolwiek przedtem, bo teraz ujawniały się wszystkie jego uczucia do niej, a ona całą sobą na to odpowiadała.

Stała w jego ramionach, z policzkiem przy jego twarzy, czuła jak ją całuje po szyi i jak za każdym pocałunkiem życie z niej uchodzi.

Bardzo chciała odpowiedzieć na jego pieszczoty, ale nie mogła ruszyć głową.

– Jordi, ja umieram – szepnęła z wysiłkiem.

– Och, to straszne przekleństwo! Poczekaj tu, muszę porozmawiać z rycerzami! – wykrzyknął.

Wypuścił ją z objęć, a rezultat był taki, że o mało się nie przewróciła, prawie sztywna od mrozu. Jordi pomógł jej położyć się na łóżku.

Na pół ślepa z zimna Unni dostrzegła, że w jego oczach plonie wściekłość, bezsiła i zmysłowe podniecenie, nie pocieszał jej w żaden sposób, wystrzegał się dotknięć, po prostu wybiegł z pokoju.

Klasztor, myślała Unni oszołomiona. Nie możemy przecież zbezcześcić klasztoru naszą ziemską miłością.

Cóż za głupstwa! Jeśli Hiszpanie mogli zbudować bar z widokiem na klasztorną kaplicę, to chyba wolno w tym miejscu okazywać cieplejsze uczucia? To przecież tysiąc razy lepsze!

Całkiem przekonana jednak nie była.

Ich pokój znajdował się w nowszej części budynku, nie w samym klasztorze. Klasztor San Pedro został przebudowany na elegancki turystyczny zajazd, ze wszystkimi wygodami, jakich współczesny turysta może się domagać, najwyraźniej jednak nikogo nie umieszczano w celach zakonników ani w kryptach przeorów.

Ceny były tu przystępne i różnica między nimi a tym, czego żądają hotelarze norwescy wydawała się Unni ogromna.

To był dla niej jeszcze jeden powód, żeby się osiedlić w tym fascynującym kraju. Ale, naturalnie, z dala od tutejszego skandynawskiego getta. Jordi znał mnóstwo pięknych miejsc jeszcze nieskalanych przez turystów.

Poczuła się teraz lepiej, chłód już jej tak nie dokuczał. Usiadła na posłaniu i stwierdziła, że jej ciało nadal dygocze, ale już nie z zimna, lecz z tęsknoty za Jordim. A jeśli rycerze powiedzą nie? I trzeba będzie czekać jeszcze dłużej. Może aż do czasu, gdy będzie za późno? Nie zniosłaby tego.

Pół godziny! Jak to żałośnie krótko! Oni przecież z każdym mijającym dniem stawali się sobie bliżsi. Byli już jedną duszą i tylko ciała wciąż ich dzieliły. W żadnym miejscu na ziemi nie znalazłaby nikogo, kto mógłby jej zastąpić Jordiego, gdyby przyszło go utracić. Tylko czy ona go w ogóle miała?

Co za pytanie! Oczywiście, że go ma. Dlaczego to zawsze seks ma być świadectwem, że ludzie są razem? myślała oburzona. Bywają przecież małżeństwa, które nigdy nie zostały w pełni skonsumowane, bo albo jedna albo druga strona nie była zdolna do fizycznego pożycia. A przecież mogą to być prawdziwe małżeństwa ze szczerym oddaniem małżonków. Właśnie ona i Jordi żyją w ten sposób, tylko że oni bardzo pragną okazywać sobie miłość. Są normalnymi ludźmi, dzieli ich tylko ten mroźny mur…

Na drugim biegunie znajdują się erotyczne związki, mniej lub bardziej krótkotrwałe, które nie mają z miłością nic wspólnego. I te są niestety, częściej spotykane.

Ale dlaczego on nie wraca? Czyżby rycerze byli tacy iii?

Unni wyszła do łazienki. Nie żeby się kąpać, prysznic brała całkiem niedawno, ale w sklepie bezcłowym na lotnisku Gardermoen kupiła butelkę perfum i teraz ostrożnie wylała kropelkę za ucho. Właściwie jeśli chodzi o perfumy, nie bardzo wiedziała, co wybrać. Znalezienie dla siebie odpowiedniego zapachu to prawdziwa sztuka. Perfumy pasujące do jednej kobiety, na skórze drugiej mogą pachnieć nieprzyjemnie. Bo pewnie jest tak, że wszyscy mamy indywidualne chemiczne składniki, także na skórze, nie znajdowała odpowiednich słów. Pozostawało mieć nadzieję, że wybrała dobrze i że Jordiemu będzie się to podobało.

Żeby tylko już jak najszybciej przyszedł! Zaczynała się naprawdę niepokoić.

W końcu wybiegła z pokoju, żeby się za nim rozejrzeć.

Jordi był zirytowany. Liczna grupa japońskich turystów dosłownie zalała okolicę tak, że musiał odejść daleko od klasztornej furty, żeby przywołać rycerzy. Nie wyglądałoby to w żadnym razie dobrze, gdyby zaczął się uprzejmie kłaniać i mówić sam do siebie na oczach tego tłumu. Gotowi by jeszcze wezwać pogotowie.

Po drugiej stronie drogi zaś kilku mężczyzn naprawiało samochód, więc i tam nie mógł się skierować.

W końcu znalazł jakiś osłonięty placyk, gdzie mógł wezwać nieszczęsnych starców, tak sobie o nich myślał bez respektu.

Lepiej jednak przestać, teraz bowiem chodziło o to, by rycerze mieli dobre humory. Jeśli ich rozzłości, to mogą mu nie dać nawet tej obiecanej półgodziny!

Młody Katei należał do japońskiej grupy, którą teraz przywoływała przewodniczka. Katei przez wiele lat oszczędzał, żeby pozwolić sobie na ten wyjazd do Europy, bowiem kochał podróże i marzył, by zwiedzić cały świat. Był to prosty chłopak w wieku dwudziestu ośmiu lat, pracował w warsztacie, ponadto brał różne roboty po godzinach, żeby tylko więcej zarobić. Był na przykład instruktorem walk wschodnich, bo do tego akurat miał wrodzony

talent. Odkładał każdego yena, którego koniecznie nie musiał wydać, bywało, że żył na granicy głodu, byle tylko zrealizować marzenie.

No i teraz znajdował się tutaj. Miał aparat fotograficzny, tak zwaną idiotenkamerę, podziwiał wszystkie najdrobniejsze szczegóły w tych dla niego egzotycznych krajach, rozkoszował się każdą chwilą.

Z towarzyszami podróży sprawy miały się gorzej. Katei był wszystkim życzliwy i uprzejmy, reszta jednak to, niestety, w większości pospolite snoby. Nikt nawet nie raczył odpowiadać, kiedy Katei o coś pytał. Ci ludzie żyli we własnym świecie odziedziczonego lub wypracowanego bogactwa, spotykali się tylko z równymi sobie i tylko takich uważali za godnych siebie. Katei zaś należał do klasy, do kontaktów z którą oni się nie zniżali. Miał zniszczone ręce, nie mówił też ich językiem. A i prezencję miał mizerną.

To że zakochał się w czarującej Ineko, było jego osobistą tragedią. Beznadziejne uczucie, bo ona nawet go nie zauważała.

Jedynym człowiekiem, który z nim rozmawiał, był szofer autobusu, w hotelach mieszkali też w jednym pokoju. Katei był silny i pomagał innym przy bagażu. Czynił to z radością i czuł się głęboko zraniony, kiedy eleganccy towarzysze podróży chcieli mu za to płacić. Z upokorzenia miał łzy w oczach.

Teraz Katei słuchał z zainteresowaniem informacji przewodniczki o miejscowości Covadonga, dokąd mieli właśnie jechać.

Jordi szybkim krokiem wracał ze spotkania z rycerzami. Spieszno mu teraz było do Unni.

To dlatego nie rozglądał się uważnie dookoła, a powinien był pamiętać, że widok mnichów zawsze oznacza jakieś diabelskie sztuczki. Nie zauważył, że skrada się za nim trzech mężczyzn. Nagle w ułamku sekundy rozpoznał wypomadowanego Alonza, ale było za późno.

Próbowali związać mu ręce, ale Jordi uderzył nimi jednego z nich z wielką siłą w twarz. Ten z wściekłością wyciągnął nóż.

– Nie! – wrzasnął kobiecy głos z pobliskich zarośli. – Musimy wycisnąć z niego wszystko, co wie i dowiedzieć się, co tutaj robi!

Emma! Tego głosu nie można było pomylić z innym. No tak, to oczywiste, że wyprawili się do północnej Hiszpanii w poszukiwaniu skarbu, a ponieważ Emma jest związana z mnichami, to ci ostatni przywiedli ich tutaj, do niego i Unni.

Jordi walczył dzielnie, nie zamierzał łatwo się poddawać, ale tamtych było trzech i naprawdę nie mieli żadnych skrupułów.

Unni, która wyszła z hotelu, żeby się rozejrzeć za Jordim, zobaczyła, co się dzieje, widziała, jak trzech napastników usiłuje go obezwładnić i jak Jordi odwzajemnia ciosy. Było jednak jasne, jak się ta potyczka zakończy. Na dłuższą metę Jordi nie zdoła im się przeciwstawić.

Unni wahała się przez chwilę. Pierwszy impuls, by biec ukochanemu na pomoc, zgasł natychmiast. Napastnicy pojmaliby ich oboje, co mogłoby mieć katastrofalne skutki.

Przypomniała sobie japońskich turystów, których dopiero co minęła z tamtej strony zabudowań. Zawróciła więc.

– Chodźcie tu! – krzyczała po angielsku pełnym przerażenia i rozpaczy głosem. – *Please, corne! Help! Some crooks are going to kill my friend!*

Eleganccy Japończycy zastygli w bezruchu. Jednak ciekawość zwyciężyła, przynajmniej u kilku pań, które ruszyły niepewnie przed siebie. Przewodniczka nie wiedziała, co robić, nic takiego przecież nie należy do jej obowiązków.

Natomiast Katei bez zastanowienia ruszył pędem przed siebie. Swój drogocenny aparat fotograficzny oddał pod opiekę Unni, błyskawicznie zorientował się w sytuacji i zaatakował.

Liczna grupa japońska zaczęła się wolno poruszać, kilku mężczyzn pobiegło nawet drobnym kroczkiem za Katei. Wszyscy, włącznie z Ineko, widzieli swego nic nie znaczącego towarzysza podróży Katei, jak skacze i kopie napastników, wymachuje rękami i nogami w najlepszym stylu Brucea Lee. Najpierw Alonzo dostał cios karate tak silny, że upadł i długo toczył się po ziemi.

W tej sytuacji, mając przed sobą liczną grupę wzburzonych świadków, Alonzo i jego kompani woleli zwiewać.

Ale bójka się jeszcze nie skończyła. Unni nie słyszała przecież głosu Emmy, nie wiedziała, że powinna mieć się na baczności. Teraz Japończycy rzucili się z gratulacjami do swego nowego bohatera, Katei, i oddzielili Unni od Jordiego. Dziewczyna musiała się cofnąć bliżej zarośli, a tam zaatakowała Emma.

Mocno perfumowana dłoń zatkała Unni usta, a druga ręka wykręciła jej z całej siły ramię do tyłu. Unni została wciągnięta w krzaki, a tam już czekał Alonzo i dwaj jego ludzie. Natychmiast przejęli kopiącą i wyrywającą się Unni.

Zauważył to jedynie Jordi, bo tylko on obserwował Unni górującą ponad tłumem niezbyt rosłych Japończyków. Chwycił Katei za ramię.

– Chodź! Nadal potrzebujemy twojej pomocy. Teraz złapali moją przyjaciółkę.

To nie tylko moja przyjaciółka, myślał. To światło mojego życia, samo życie, moja ukochana.

Biegł, ciągnąc za sobą Japończyka.

Kiedy w końcu dotarli do zarośli, ptaszki zdążyły już wyfrunąć z gniazda.

W pobliżu znajdowały się jakieś duże zabudowania Jordi, któremu ciekła krew z rozciętej brwi, widział świat na czerwono w najdosłowniejszym znaczeniu tego słowa, poza tym był obolały na

całym ciele, rozglądał się rozpaczliwie wokół.

– Musieli pobiec tam, za róg – powiedział Katei bardzo podniecony dramatycznymi wydarzeniami. Ineko patrzyła na niego z prawdziwym podziwem.

Jego angielski był dość szczególny, ale Jordi rozumiał. Ciągnąc za sobą gromadę fotografujących bez przerwy Japończyków, okrążyli zabudowania po to tylko, by zobaczyć, że napastnicy znikają za następnym rogiem.

Katei polecił swoim towarzyszom podróży zagrodzić im drogę od drugiej strony i szofer poprowadził tam grupę ochotników.

Jeden z pomocników Alonza przerzucił sobie Unni przez ramię. Widziała znienawidzoną twarz Emmy, jej szyderczy uśmiech, wykrzywiający rysy. Cała banda biegła ze swoją zdobyczą wzdłuż rzeki, jak najdalej od klasztoru, do zaparkowanego na uboczu samochodu.

Unni była wściekła i nie przebierała w środkach. Zdołała uwolnić jedną rękę, wykręciła się tak, że mogła złapać niosącego ją napastnika za podbrzusze i z całej siły go uszczypnęła.

Wrzasnął z bólu jak oparzony i odrzucił Unni, prosto do rzeki.

Nurt pochwycił oszołomioną dziewczynę i znosił ją bardzo szybko w dół, od terenu klasztoru.

15

I wtedy tamci starsi mężczyźni, którzy na poboczu reperowali samochód, ruszyli na pomoc.

Jordi i Katei biegli, ale nigdzie Unni nie widzieli. Emma i jej kompani uciekali coraz dalej, ale teraz oni byli mniej ważni.

Mężczyźni przy samochodzie tłumaczyli i pokazywali z zapałem.

– Wskakujcie do samochodu – powiedział jeden, siadając za kierownicą.

Jordi i Katei natychmiast posłuchali. Rzeka przez długi odcinek płynęła równolegle z drogą, mężczyzna pędził tak szybko, jak tylko Hiszpan potrafi, i nagle dostrzegli Unni.

– Dobry Boże – jęknął Jordi, otwierając drzwi samochodu.

– Jedź dalej, wyprzedź ją i dopiero potem stań przy samym brzegu!

Mężczyzna zrozumiał bez trudu. Samochód nie zdążył się na dobre zatrzymać, a Jordi i Katei już wyskoczyli. Jordi rzucił się do wody, Katei trzymał go jedną ręką, drugą zaś wczepił się z całej siły w drzwiczki samochodu.

Jordiemu udało się złapać wyciągniętą rękę Unni, dosłownie w ostatniej sekundzie, zanim rzeka zdążyła porwać ją dalej.

Kaszlała rozdzierająco, gdy łańcuch ratunkowy, jeśli tak to można określić, wyciągał ją na ląd. Już biegła do nich cała japońska wycieczka, z przewodniczką na samym końcu. Krzywiła się biedaczka, że grupa przeżyła swoją najbardziej podniecającą przygodę całkowicie poza jej kontrolą.

Ale się narobiło zamieszania i krzyku! Proponowano ciepłe, suche ubrania całej trójce, obejmowano Katei oraz Hiszpana, Unni i Jordiego, i wciąż gorączkowo naciskano spusty aparatów fotograficznych.

– Uratowałam twój aparat, Katei – powiedziała Ineko. – Leżał na trawie.

On patrzył w jej piękne, skośne oczy, widział pełen podziwu, promienny uśmiech i czuł, że to jest jego dzień.

Później, wieczorem, panowie rozmawiali z nim w hotelowym salonie o filmach karate i o tym, czego sami dokonywali w młodości.

Jordiego i Unni to jednak nie dotyczyło. Podziękowali Hiszpanom i Katei, i gdy tylko udało im się wymknąć z tłumu, pospieszyli do swojego pokoju.

Jordi pomógł Unni zdjąć ociekające wodą sandały.

– Tak strasznie się bałem – mówił drżącym głosem. – Kiedy porwali cię ze sobą, kiedy zobaczyłem cię w rzece, to myślałem, że serce mi pęknie.

– A ja to nawet nie zdążyłam się przestraszyć – rzekła Unni. – Z wyjątkiem tej chwili, kiedy widziałam, jak się na ciebie rzucają.

Patrzyli sobie w oczy i widzieli, jak bardzo się o siebie nawzajem troszczą, jak przejmują się tym, by drugiemu nic się nie stało. Jakie to wspaniałe, jakie piękne uczucie!

Unni musiała spuścić wzrok, bała się bowiem, że jej miłość będzie dla niego zbyt wielkim obciążeniem. A przecież za nic nie chciałaby go dręczyć!

– N – nno i jaak cci po – poszło z ry – rycerzami? – wyjąkała, wciąż przemarznięta i zszokowana.

On otulił z czułością jej zimne stopy w kąpielowy ręcznik, spojrzał na nią i uśmiechnął się uszczęśliwiony.

– Pozwolili!

Już miała krzyknąć „hurra!, ale zamilkła przestraszona.

– Jordi, tylko nie mów, że nasze półgodziny minęło tam, w rzece?

– Nie, kochanie. I to ty zauważysz, kiedy się zacznie. Unni pochyliła się i na próbę położyła mu ręce na policzkach.

– Nie – powiedziała z uśmiechem. – Jeszcze nie. Zaczęła się śmiać. Podniecona i zrozpaczona.

– Czy mogę się najpierw wytrzeć?

– Oczywiście. I ja też. Ale czy ty w tej rzece się nie uderzyłaś? Tyle tam kamieni…

– Rzeczywiście, uderzyłam się, kiedy spadałam, ale niegroźnie. Woda złagodziła upadek. A potem zachowywałam się tak, jak mnie uczono: płynęłam z prądem, nogi do przodu, głowa z tyłu, wysoko. Próbowałam stanąć na dnie.

– Bardzo rozsądnie. Chodź teraz do łazienki, to spróbuję cię wytrzeć!

Czy powinniśmy tak robić? pomyślała podniecona i przestraszona zarazem. Ale oczywiście poszła za nim.

Podczas gdy próbował ściągnąć z niej klejący się do ciała T – shirt, nic nie widziała. Zdejmował z niej bluzkę bardzo ostrożnie i wolno, aż w końcu całkiem uwolnił jej głowę.

Dłonie wciąż miał zimne.

Czego trzeba, żeby stał się ciepły? zastanawiała się. Co też ci rycerze wymyślili!

A może darowany nam czas już się rozpoczął? A ja nawet tego nie zauważyłam?

To jasne, że kilka razy przedtem widziała już nagi tors Jordiego, ale nie miała nic przeciwko temu, żeby zobaczyć go znowu. Absolutnie nic. Teraz, kiedy przestał już być taki strasznie chudy, widać, jak dobrze jest zbudowany, jak pięknie grają jego mięśnie i że na piersiach ma akurat tyle włosów, ile trzeba. Nie rozumiała młodych mężczyzn, którzy golą sobie włosy na piersiach. Przypominają

chłopców w okresie dojrzewania.

Jej wzrok z oddaniem przesuwał się po ciemnej płaszczyźnie włosów, zwężającej się ku dołowi i ginącej, tajemniczo i obiecująco, pod paskiem spodni. Ten widok sprawiał, że zaczynało się jej kręcić w głowie.

Ona miała na sobie tylko stanik i przyklejone do ud spodnie. Cieszyła się, że czas wyzwolenia kobiet, manifestujący się wyrzucaniem staników już minął. Może to była i wygoda dla pań o bardzo małych piersiach, ale piersiom kobiet dojrzałych wcale nie służył. Przykro jest patrzeć na obwisłe biusty, sięgające aż do brzucha. To właśnie powinna być granica przesadnie rozbuchanej wolności.

Co to za myśli zaprzątają jej głowę w tej wyczekanej, drogocennej chwili? Ale czuła się po prostu skrępowana, tylko tyle. Nigdy przedtem nie rozbierała się przed Jordim, choć tyle razy zajmowali wspólny pokój w hotelu. Zawsze tak jakoś wszystko urządzała, swoje pobyty w łazience, przygotowania do snu, chyłkiem przemykała do łóżka w krótkiej nocnej koszulce.

Zauważyła, że na dworze zrobiło się ciemno. Czy nie można by zgasić światła również w łazience?

Jordi musiał pojąć, co oznacza jej wzrok skierowany ku sufitowej lampie. Podszedł do kontaktu i pstryknął.

– Dziękuję – szepnęła. – Widzisz, jakim jestem tchórzem?

– Najdroższa moja, ja sam jestem przestraszony. Pamiętaj, że oboje nie mamy doświadczenia. Do tego nie wolno mi cię dotykać. W tej sytuacji łatwiej mi w ciemnościach, kiedy nie tak wyraźnie widzę twoje piękne, pociągające ciało.

Piękne? Pociągające? Słowa brzmiały dla Unni niczym najpiękniejsza muzyka.

– Nie, Jordi, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ty przecież nigdy mi nic nie mówisz.

– Myślisz, że byłoby nam łatwiej, gdybym mówił?

– Prawdopodobnie nie. Bo tęsknię za tobą tak, że czasami jestem od tego chora.

– Ja za tobą też. Wiesz, że ja nie odczuwam swojego zimna, od czasu do czasu ogarnia mnie takie nieznośne pragnienie, by być z tobą, że mógłbym cię złapać i zgwałcić. Ale oczywiście tego nie robię.

– Nie można zgwałcić kogoś, kto pragnie tego samego, już ci mówiłam. – Zauważyła, że Jordi chce jej zdjąć stanik i starała się mu pomóc.

– Taka jesteś przemarznięta – powiedział niepewnym głosem. – Może powinnaś najpierw wziąć gorącą kąpiel? Albo prysznic.

– Dziękuję. Wszystko się dzisiaj dziwnie łączy z wodą. Poza tym… już ttak… bbbardzo nie marznę.

Słowa padały z wolna, jakby Unni się dopiero co obudziła.

– Jordi – szepnęła. – Tutaj jest ciepło. Twoje ręce są ciepłe!

Prawie nie miała odwagi oddychać. To nie może być prawda!

– Pół godziny! – zawołał Jordi przestraszony. – Ile czasu już minęło?

– Wcale. Właśnie w tej chwili zniknął twój chłód. Dosłownie sekundę temu. Budzik! Muszę nastawić budzik, żebyśmy wiedzieli, że zostało nam jeszcze pięć minut.

Zaczęła płakać ze strachu. Czas, ciągle ten czas, który ich ściga.

– Uspokój się Unni – powiedział prawie szorstko. – Ja kontroluję czas. Więc spokojnie, naprawdę będzie dobrze.

– Nie, nie będzie. Za pół godziny wszystko minie.

– No więc nie marnujmy tego, co mamy. Przynajmniej tyle możemy zrobić.

Unni uspokoiła się. Parę razy głęboko wciągnęła powietrze. Jordi ma rację, panika zniszczy drogocenne chwile.

Drżąc objęła go ramionami. Nareszcie mogła czuć jego skórę pod opuszkami palców i nie poodmrażać ich sobie, co odbierała jako niewysłowioną błogość. Kiedy go dotknęła, niemal odczuła elektryczną wibrację między obydwoma ciałami. Czuła, jak jego serce bije, kiedy kładła mu dłoń na piersi. Przyspieszony oddech Jordiego świadczył, że przeżywa to samo co ona.

Nie chciała widzieć go nagiego. Jeszcze nie teraz, jeszcze nie była gotowa. Powinien nadal pozostać dla niej tajemnicą, pragnęła tylko leciutko dotykać jego rąk, ramion, ukochanej twarzy…

Czas? Czas ucieka!

Zapomnij o tym!

Jordi stał bez ruchu, obejmował jej ramiona i pozwała! robić, co chciała. Potem wolno przyciągnął ją do siebie. Jego usta były bardzo blisko. Serce Unni biło tak głośno, że bała się, by nie pękło.

Dotknął wargami jej ust. Unni wydała z siebie krótki, żałosny jęk, podobny do pisku.

Wtedy jego ramiona zamknęły się wokół niej bezpiecznie, rękę położył na jej karku i Unni wspięła się na palce, by być jeszcze bliżej niego.

Przemoczone, zimne spodnie. Jak to włączyć w romantyczny nastrój? Nie, romantyka to wytarte słowo, nie pasuje do tej sytuacji, nie pasuje do tej najszczerszej, prawdziwej miłości.

Jordi szeptał jej gorączkowo do ucha:

– Nareszcie mogę ci to wyznać, nareszcie! Kocham cię bezgranicznie, Unni, do utraty zmysłów!

Ona nie była w stanie mu odpowiedzieć, bo głos uwiązł jej w gardle, ścisnęła go więc tylko tak mocno, że chyba musiało zaboleć.

Mimo wzruszenia czuła, że to fałszywa sytuacja. Nie można się przecież zmuszać do miłości w ściśle wyznaczonym czasie, to nie do

wytrzymania, myślała na początku. Wkrótce jednak zapomniała o wszystkim.

Kręciło jej się w głowie, nie była w stanie o niczym myśleć. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że wbija mu paznokcie w ramię, a potem przesuwa je w dół i drapie jego płacy tak, jak to robi kot, kiedy jest w transie, nie docierało do niej, że całym ciałem naciera na Jordiego, aż w końcu ocknęła się i odskoczyła.

On jednak nie chciał jej na to pozwolić. On też powoli tracił rozsądek i ulegał zmysłom. Powietrze wokół nich było niemal gęste od pożądania.

Czas, przeklęty obowiązek mierzenia czasu, poszedł w zapomnienie, zdawało się obojgu, że czekali na tę chwilę od zarania dziejów i nic, absolutnie nic innego nie miało już znaczenia.

Unni zauważyła, że Jordi uniósł ją w górę. Otworzył drzwi i przeniósł ją do pokoju. Nie, nie, ja chcę, żeby było ciemno, pomyślała. Ale w pokoju też było ciemno, bo nie zdążyli zapalić świateł.

Ukryła twarz na jego ramieniu. Wdychała zapach jego skóry na szyi, kiedy wciąż ją niosąc, szedł do okna, żeby zaciągnąć zasłony.

Starannie zamknął drzwi, co przy zajętych rękach było nie lada sztuką.

Potem położył ją na łóżku i zaczął zdejmować z niej spodnie i bieliznę. Nie dlatego, by natychmiast musieli się znaleźć blisko, ale dlatego, że ubranie wciąż było mokre.

– Wejdź pod kołdrę – powiedział czule. – Żebyś się nie zaziębiła.

– Ty też.

– Zaraz przyjdę.

Unni słyszała, że Jordi zdejmuje z siebie ostatnie części ubrania.

Zdawało jej się, że utraciła zdolność oddychania. Wszystkie jej fizyczne odczucia były skoncentrowane w jednym tylko punkcie, wokół jednej, jedynej potrzeby, która zaczynała mieć *nad* nią władzę. Była głęboko wdzięczna za to, że jest ciemno.

Tchórz, tchórz, powtarzała sobie w duchu. To przecież Jordi, najbliższy ci na świecie człowiek, którego kochasz ponad wszelkie wyobrażenie.

Ale tak to właśnie jest. Człowieka ogarniają zbyt silne, zbyt intensywne uczucia, kiedy nareszcie zbliży się do tego, czego od tak dawna pragnął, a co dotychczas było nieosiągalne. I nagle wszystko można…

Jordi wsunął się pod kołdrę. Unni ze świstem wciągała powietrze, kiedy ją do siebie przytulił.

– Mógłbym tak trwać godzinami – powiedział stłumionym, łagodnym głosem. – By dać ci spokój, poczucie bezpieczeństwa i miłość, bo czuję, że jesteś niespokojna i przestraszona.

Tak, myślała. Przestraszona, bo nie wiem, czy podołam

wyzwaniu. Przestraszona, że ujawnię ci całe moje, płomienne pożądanie.

Jordi mówił dalej:

– Ale nie mamy takiej możliwości. Połowa danego nam czasu już i tak minęła. Ty decyduj, co chcesz zrobić z pozostałymi minutami.

Głos mu drżał, ciało było rozpalone jak w gorączce, oddech przyspieszony, serce tłukło się w piersi. To dało jej odwagę.

– Ty wiesz, czego ja pragnę, Jordi – powiedziała. – Chcę, byś mnie teraz wziął. Tak strasznie cię pragnę!

Zauważyła, że twarz Jordiego się rozjaśniła.

– Będę ostrożny tak bardzo, jak tylko potrafię – obiecywał. – Ale wszystko musi się dokonać rozpaczliwie szybko.

– Ja wiem, i nie przejmuj się tym, naprawdę wszystko zniosę. Kocham cię, Jordi.

Odpowiedział jej czułym pocałunkiem, który bardzo szybko zmienił charakter na zmysłowy i gwałtowny, Jordi już nie potrafił być ostrożny.

Zagarniał ją, zdobywał, tak Unni to odczuwała. Zaciskała ręce na jego włosach, a on zdobywał jej ciało, całował jej szyję, ramiona, piersi, brzuch, zatrzymał się przy pępku, a potem znowu się cofał, a ona otwierała się dla niego, bo innych pragnień ani myśli akurat teraz nie miała. Ciemność wirowała wokół niej i porzucała ją na pastwę tęsknoty i pożądania. Jordi dał jej wszystko, o czym oboje tak długo pragnęli, o czym marzyli.

Ból był tak nieznaczny, że Unni prawie go nie zauważyła.

– Czekałam na ciebie Jordi. Przez tyle lat…

Potem już nic nie mówili, nie było takiej potrzeby. Leżeli po prostu, objęci. Dotarli do domu, oboje tak właśnie to odczuwali.

Ale mogli w tym cudownym stanie szczęścia i zadowolenia trwać żałośnie krótko, zaledwie kilka minut, bo wkrótce Unni poczuła skradający się, tak dobrze znany chłód.

Wtedy zaczęła płakać. Z rozpaczy i tęsknoty.

Jednocześnie

Rycerze nie byli świadkami tego, co się stało. Coś takiego było absolutnie poniżej ich godności. Ale jako istoty energetyczne byli w stanie odczuwać, co się dzieje z energiami ludzi; rycerze posiadali zdolność komunikowania się w różnych płaszczyznach.

„To nie jest właściwe" – powiedział don Galindo zatroskany.

Don Ramiro westchnął.

„Mieliśmy dobre intencje. Myśleliśmy, że ziemska miłość może mu przeszkodzić w spełnieniu misji".

„Ale większą przeszkodą jest chyba ich walka o to, by trzymać się z daleka od siebie. Potrzeba na to tak wiele siły, że to zaczyna ich obciążać – wtrącił don Sebastiano. – *Czyi* nie powinniśmy zrezygnować z tego środka ostrożności?"

„To by pewnie było najmądrzejsze posunięcie – uznał don Garcia. – Kto będzie miał przyjemność poinformować ich o tym?"

Don Federico uśmiechnął się przebiegle:

„Tę przyjemność powinniśmy dzielić wszyscy".

16

Bardzo zbuntowana Unni włożyła z powrotem swoje zdumiewająco ciepłe ubranie, a na kołdrze położyła dodatkowo dwa wełniane koce, ale tej nocy miała problemy ze snem. Wiedziała, że Jordi też czuwa.

Teraz wszystko mieli poza sobą. Przeżyli swoje pół godziny i więcej się do siebie zbliżyć nie mogą.

Nigdy więcej.

Nie była w stanie myśleć o takich zdarzeniach jak ten napad po południu. Ani o przerażeniu, kiedy wpadła do rzeki. To było takie nieważne, takie obojętne.

Muszą odnaleźć piątego gryfa i towarzyszącą mu informację.

O tym też Unni nie mogła myśleć. Była tylko zdenerwowana i smutna, teraz, kiedy powinni być tak oszałamiająco szczęśliwi. Gdyby wszystko ułożyło się normalnie. Gdyby byli zwyczajnymi ludźmi. Nieobciążonymi liczącym sobie pięćset lat przekleństwem. Gdyby nie musieli żyć w wymuszonym celibacie. Wspominała znowu i znowu te fantastyczne chwile. Wtedy Jordi był prawdziwym, żywym człowiekiem. Bo przecież często odnosiła wrażenie, że ma do czynienia z istotą z krainy granicznej między życiem i śmiercią. Było w nim coś niezwykłego, co innych ludzi płoszyło, czyniło ich niepewnymi. W niektórych sytuacjach był nawet więcej niż martwy, miał coś w spojrzeniu, jakiś mrok, który pojawiał się i znikał, a Unni, kiedy spoglądała w te oczy, odczuwała to tak, jakby zstępowała do otchłani.

Ale nie dzisiejszej nocy. Dziś nie było w nim nic obcego. Był jej wielkim, silnym obrońcą, on, którego Unni tak podziwiała, i okazał się wspaniałym kochankiem, choć, można powiedzieć, krótkotrwałym. Bo cóż to jest dwadzieścia, a nawet trzydzieści minut wobec wieczności? Ale był jej, całkowicie i w pełni, i był naprawdę żywym mężczyzną.

Wspominanie chwil szczęścia sprawiało jej ból.

Powiedziała, patrząc w ciemność, a jej głos brzmiał żałośnie:

– Wcale nie wiem, czy nie zrobiliśmy źle. Wejść na chwilkę do rajskich ogrodów, a potem uciekać, na łeb, na szyję ze świadomością, że to już na zawsze.

Jordi odsunął rękę, którą zasłaniał oczy.

– Dlatego musimy jak najszybciej rozwiązać zagadkę.

– Wiem, wiem – mruknęła. – Ale nie jestem teraz w nastroju, żeby myśleć o rycerzach z tamtego świata, o okropnych mnichach, o śmierci i strachu większości z nas.

Jordi głęboko wciągnął powietrze. Odległość między nimi była jak zawsze duża, nie mógł przygarnąć ukochanej, żeby ją pocieszyć.

– Taka byłaś słodka, Unni. Dużo, dużo słodsza niż w moich marzeniach.

– Dziękuję – bąknęła zaskoczona.

– Masz taką miękką skórę, ale jesteś silna. Najpiękniejsza jednak jest twoja miłość. Było w tobie tyle oddania, tyle zaufania do mnie, bardzo mnie to wzruszało.

– Jak na amatorów okazaliśmy się bardzo zdolni – roześmiała się Unni, bo zwykle trudno jest przyjmować pochwały.

– Bogu dzięki, że jesteśmy amatorami – powiedział Jordi ze śmiechem.

Ale nigdy nie staniemy się profesjonalistami, pomyślała Unni i na powrót pogrążyła się w ponurym nastroju.

– Chcę znowu do ciebie należeć, Jordi – westchnęła ledwie dosłyszalnie.

– Nic by mnie bardziej nie uszczęśliwiło – odparł równie cicho.

– Taka byłam szczęśliwa.

– Ja też. I to chodzi nie tylko o zaspokojenie, najważniejsze, że mogłem być z tobą.

– No właśnie, i ja tak to odczuwam. Ale mam twoją miłość. I to mi pomaga. Dobranoc, mój ubóstwiony!

Jordi roześmiał się rozbawiony, ale chyba to określenie sprawiło mu przyjemność.

Ranek przeznaczyli na zbieranie informacji w Cangas de Onis, gdzie w piętnastym wieku żył don Galindo de Asturias. Wszędzie jednak otrzymywali odpowiedzi negatywne, to było tak dawno temu!

Najwięcej zyskali w bibliotece. Bardzo uprzejmy asystent znalazł czas, by z nimi porozmawiać.

– Powinni państwo szukać w archiwach Oviedo i w tamtejszym zarządzie prowincji – poradził. – Jest jednak faktem, że aż do dziesiątego wieku nikt z królewskiego rodu Asturii nie mieszkał w Cangas de Onis.

Jordi i Unni spoglądali po sobie. Obojgu przyszła do głowy ta sama myśl: don Galindo mógł się nazywać zupełnie inaczej. Pochodził ze znakomitego rodu, co do tego nie mogło być najmniejszej wątpliwości, ale może nazwisko de Asturias przyjął jako rycerz, bo może w kręgach rycerskich każdy przybierał nazwisko od prowincji, którą reprezentował. Don Ramiro naprawdę nazywał się de Navarra. Nie oznacza to jednak, że czterej pozostali nie mogli się dawniej nazywać inaczej. Kantabria? Nie było tam żadnych rodów królewskich. Podobnie, jeśli chodzi o Galicję. Ich nazwiska mogą jedynie wskazywać, z jakiej prowincji, który z nich się wywodzi.

Jakie więc nazwisko nosił don Galindo?

To może wiedzieć Pedro. W końcu to on znalazł informacje na temat jego potomstwa.

Trzeba do niego natychmiast zadzwonić. Umówili się z bibliotekarzem, że wrócą mniej więcej za godzinę, on zaś obiecał poszperać jeszcze w starych dokumentach.

Kiedy znaleźli się na dworze, w pełnym słońcu, stwierdzili, że czas najwyższy zjeść jakieś śniadanie. Najpierw jednak telefon do Pedra!

Usiedli na ławce z widokiem na stary most z krzyżem.

Pedro wysłuchał ich zmartwiony. Zapomniał podać im pełne nazwisko don Galinda, myślał po prostu, że rycerz pochodził z królewskiego rodu Asturii i że to powinno wystarczyć. No więc rycerz nazywał się don Galindo de Villanueva y Asturias, Pedro bardzo przepraszał.

Villanueva? To przecież tam znajduje się klasztor! Dwa kilometry za Cangas de Onis jest klasztor, el Monasterio de San Pedro de Villanueva, w 1907 roku uznany za pomnik kultury narodowej, obecnie przerobiony na hotel turystyczny. Tam właśnie spędzili ostatnią noc!

Ale czy klasztor istnieje od czasów króla Alfonsa Pierwszego, który panował w ósmym wieku, czy też powstał w dwunastym wieku? To mogło być obojętne, tak czy inaczej zbudowano go przed czasami don Galinda, więc to nie jego klasztor.

Czy mieszkał gdzie indziej w Villanueva? W takim razie kierowniczka hotelu by o tym wiedziała.

Może ich poczciwi rycerze nie pochodzą z aż tak wysokich rodów, jak dotychczas sądzono? Trzeba sprawdzić, czego dowiedział się bibliotekarz.

Ten był w najwyższym stopniu zdumiony ich widokiem.

– Przecież o wszystkim poinformowałem państwa przyjaciół jakieś piętnaście minut temu!

– Naszych przyjaciół? – spytał Jordi przeciągle. Oboje z Unni zesztywnieli.

– No tak, przyszli i powiedzieli, że państwo ich tu przysłali i oni przekażą. Ale skoro państwo tak mówią… Oni wiedzieli bardzo niewiele, najwyraźniej nie mieli pojęcia, że państwo szukacie wiadomości na temat don Galinda de Asturias. Naprawdę mi przykro, jeśli zrobiłem coś źle.

– To nie pański błąd – zapewnił Jordi pospiesznie. – Czy była z nimi bardzo urodziwa kobieta? Blondynka?

– Tak i przystojny mężczyzna.

Emma i Alonzo. Jak widać, nie zamierzają się poddać.

– Ale co im pan powiedział? – spytała Unni. Bibliotekarz niewiele miał do dodania. Nawet wówczas, gdy Jordi wspomniał o Villanueva.

– W Villanueva wiele się zmieniło – powiedział. – I piętnastowieczne budowle z pewnością nie przetrwały, proponuję,

byście jednak szukali w Oviedo.

– Naszym tak zwanym przyjaciołom też pan to proponował?

– Niestety, też. Na szczęście jednak żadnych bliższych informacji im nie przekazałem. Szczerze mówiąc, żałowałem potem, że nie podałem im dokładniej miejsc, w których powinni szukać. Przyszło mi to do głowy dopiero, kiedy ich już nie było. No ale teraz cieszę się, że tak wyszło.

– My też się cieszymy.

Dostali adres i podziękowali za uprzejmą pomoc.

– Teraz musimy się spieszyć – powiedziała Unni przygnębiona, kiedy wyszli na dwór.

– Nie podoba mi się to – rzekł Jordi. – Te dranie depczą nam po piętach. Musimy być bardziej ostrożni.

Jechali główną drogą do Oviedo. Najpierw zamierzali się przemykać górskimi, niebezpiecznymi dróżkami Kordylierów Kantabryjskich, by zmylić Emmę i jej kompanów, ale po prostu nie mieli na to czasu. Muszą dotrzeć na miejsce jako pierwsi, to jest najważniejsze, choć górskie drogi wabiły ich jako turystów.

Ech, mieć czas na takie wycieczki! Tyle czasu pragnęli mieć w życiu! Tak blisko spełnienia tych marzeń już się znaleźli!

Na jakiś czas przestali myśleć o prześladowcach, mieli dość własnych problemów. Byli smutni, przygnębieni. Teraz właśnie, po fantastycznych przeżyciach ostatniej nocy, powinni mieć prawo dotykać się nawzajem, okazywać sobie oddanie i zrozumienie. Powinni móc się do siebie przytulać, Unni powinna opierać głowę na jego ramieniu, ale nic z tych rzeczy. To niemożliwe. Naturalnie dla niej byłoby najlepiej siedzieć z tyłu, ona jednak wolała zajmować przednie siedzenie, w grubym swetrze i wełnianych rękawicach. Raz po raz spotykali charakterystyczne szyldy: promienie słoneczne na błękitnym tle. Jordi wyjaśnił, że znajdują się na „El Camino", na „Drodze", czyli na szlaku pielgrzymów do Santiago de Compostela. W tej części kraju było wiele takich dróg, oznaczonych tymi szyldami, ta tutaj to tylko jedna z tras. I rzeczywiście, Unni widziała zaskakująco dużo ludzi zdążających piechotą; chyba teraz lepiej ich rozumiała.

– Przyjeżdżają tu z wielu krajów – powiedział Jordi. – Wędrują całe dnie i tygodnie, niektórzy nawet miesiące, po drodze stemplują specjalne karty świadczące, że są pielgrzymami.

– To katolicy?

– Większość tak, rzecz jasna. Ale są też inni. Tacy na przykład, którzy pokonują tę drogę dla przeżyć. To wyzwanie, osiągnięcie. Bo to coś wyjątkowego przejść „El Camino", Drogę nad drogami.

– A celem jest katedra w Santiago de Compostela?

– Tak. Odwiedzają grób w Santiago, gdzie jest pochowany święty Jakub, apostoł, bohater narodowy Hiszpanii. Nigdy więcej nie

chciałbym się tam znaleźć!

Jordi zadrżał. Unni przypomniała sobie, że rycerze ostrzegli i jego, i wszystkich obciążonych przekleństwem. Santiago de Compostela było twierdzą katów inkwizycji w północnozachodniej Hiszpanii. Czekali tam, aż ofiary same przyjdą. Jordi musiał się tam wybrać. Unikał katedry, ale i tak doszło do konfrontacji z mnichami, oglądał ich bardzo wyraźnie. To wtedy zdołał unicestwić jednego z nich.

Unni bardzo by chciała zobaczyć imponującą katedrę w Santiago. Dopóki jednak przekleństwo nie zostanie przerwane, jest to niemożliwe. A co się stanie potem…?

Okolice, przez które jechali, były gęsto zabudowane. Od czasu do czasu jednak mijali bardziej wymarłe tereny.

I to właśnie w jednym z takich pustych miejsc Jordi nagle nacisnął na hamulec.

– Rycerze – rzekł cierpko.

Unni też ich spostrzegła. Stali przy bocznej drodze wiodącej do lasu i czekali. Jordi skręcił tam.

– Czego oni znowu chcą? – spytał z goryczą. – Jakieś kolejne żądania?

– Z pewnością – westchnęła Unni.

Rycerze posuwali się przodem, prowadzili ich w las tak, by spotkanie było niewidoczne z głównej drogi. Jordi wolno jechał za nimi.

Miejsce zostało wybrane. Unni i Jordi wysiedli z samochodu. Witali się, jak zawsze z największym szacunkiem, pełni jak najgorszych przeczuć.

Chociaż Unni widywała rycerzy już wiele razy przedtem, to wciąż nie mogła przywyknąć do ich widoku. Chyba nigdy nie przywyknie do ich szokującego wyglądu. Otoczyli ją i Jordiego kołem tak, że Unni miała tuż przy twarzy końskie chrapy. Groteskowe, odpychające, upiorne zwierzęta, przeważnie pozbawione skóry tak, że kości szkieletów wystawały na zewnątrz, z wyszczerzonymi zębami i pustymi oczodołami.

Unni żywiła zawsze szczere współczucie dla tych zwierząt, a one najwyraźniej to wyczuwały. Niczym tresowane araby z hiszpańskiej szkoły jeździeckiej w Wiedniu wszystkie pochylały przed nią głowy w uprzejmej ceremonii powitania. Ona odpowiadała im również pełnymi szacunku ukłonami.

Rycerze najmniejszą nawet miną nie zareagowali na te uprzejmości. Byli z wyglądu równie straszni jak ich wierzchowce: pięć postaci, które dawno temu złożono w ziemi, a które zmartwychwstały i opuściły grobowe krypty.

Tym razem jednak w ich zwykle martwych oczach tliło się coś na

kształt błysku życia.

Jordi zapytał krótko:

– Czego sobie życzycie? Odpowiedziały mu myśli don Federica: „Jesteśmy zadowoleni z tego, co zrobiliście". Słyszeliśmy to już wcześniej, pomyślał Jordi niechętnie. „Postąpiliśmy wobec ciebie niesprawiedliwie, a byłeś naszym najlepszym reprezentantem".

Unni i Jordi czekali. On tłumaczył jej wszystko, choć przecież Unni też rozumiała myśli rycerzy. Widocznie Jordi o tym zapomniał.

„Zasługujesz na nagrodę".

– Dziękuję – powiedział Jordi niepewnie. Nie całkiem polegał na ich słowach, stawiali mu zbyt trudne wymagania.

Stary don Federico mówił dalej: „Nie możemy odmienić twojego statusu. Musisz pozostać w naszym wymiarze i będziesz tam, dopóki zagadka nie zostanie rozwiązana. Decyzje co do twoich przyszłych losów też nie leżą w naszych rękach".

– Ja niczego nie oczekuję – odparł Jordi tak samo krótko.

Unni spoglądała na pozostałych rycerzy, siedzących wysoko na swoich pełnokrwistych rumakach, przypuszczalnie sprowadzonych do Hiszpanii przez Maurów. W każdym razie ich przodkowie musieli pochodzić z Arabii.

Pozostali czterej rycerze mieli wyczekujące miny. W oczach don Federica pojawiał się raz po raz jakiś diabelski błysk.

„Możemy jednak zdjąć z ciebie inny ciężar. Rozmawialiśmy z Urracą, ona się z nami zgadza".

Jordi milczał.

„Od najbliższej nocy nie będzie już mróz zamykał ci drogi do ukochanej kobiety. Oboje jesteście zrobieni z najlepszego materiału i mamy z was tak wiele pożytku. Żyjcie więc w pokoju. Ani nie pragniemy, ani nie mamy powodów uśmiercać waszej miłości. Możemy z niej czerpać tylko korzyści. Żegnam!"

– Zaczekajcie! – krzyknął Jordi i rycerze, którzy już mieli się rozpłynąć w powietrzu, przystanęli. – Dziękuję! Oboje dziękujemy wam z całego serca. Ale jeśli chodzi o waszą sprawę, to znowu utknęliśmy w miejscu. Piąty gryf wciąż nie został odnaleziony i nikt nic nie wie o losach don Galinda. Dajcie nam jakieś wskazówki, gdzie szukać gryfa i towarzyszącej mu informacji, zanim źli ludzie nas uprzedzą!

Rycerze naradzali się między sobą. Ich tajne myśli nie docierały do Jordiego i Unni. Trwało to długo, w końcu jednak coś ustalili.

Tym razem głos zabrał don Sebastian: „Nie mamy prawa o tym mówić. Możemy wam jednak przekazać trzy przypomnienia. Po pierwsze: miejcie się na baczności!"

– Ależ robimy to! Emma i Alonzo są tutaj i próbują wywęszyć, czym się zajmujemy. Starają się nas uprzedzić.

Twarz don Sebastiana wyrażała obrzydzenie. Najwyraźniej nie to go martwiło.

„Po drugie: kierujcie się impulsami! I po trzecie: miejcie oczy szeroko otwarte! Szukajcie tam, gdzie nie spodziewacie się niczego znaleźć!”

Po tym rycerze zniknęli.

Jordi i Unni powinni wsiąść jak najszybciej do samochodu i wracać na główną drogę. Oni jednak stali całkiem zbici z tropu, jakby przegrali w jakimś konkursie czy coś takiego.

Jordi próbował wziąć ją za rękę, ale to się natychmiast zemściło, ręka ukochanej zsiniała z zimna.

– W nocy – mruknęła Unni. – Oni powiedzieli, że to w nocy.

– Nie mogę im uwierzyć, Unni.

– Ani ja. Czy to może być prawda?

– Rozmawiali z Urracą – powiedział Jordi niepewnie. – A to ona decyduje. Rycerze nie mają czarodziejskiej mocy. W każdym razie nie tak wielkiej.

– Jordi, ja nie chcę znowu przeżywać rozczarowania, dlatego narazie nie chcę o tym myśleć. Poczekam do nocy i wtedy zobaczymy, czy to prawda. A jeśli tak, to… och, ukochany!

– Wtedy ja będę się śmiał i płakał na przemian – powiedział z bladym uśmiechem.

– A ja wyrzucę rękawice gdzieś w lesie i wtedy to będzie moja kolej, to ja będę stroną aktywną… Nie, teraz to się chyba posunęłam trochę za daleko. Żadnych orgii, skoro nic pewnego nie wiadomo. Chodź! Musimy się spieszyć do Oviedo. Emma jest wystarczająco podstępna, by wywęszyć właściwe informacje.

W uroczystym nastroju, jakby się bali nastąpić na najmniejszą gałązkę, by nie zburzyć kiełkującej w sercach nadziei, wrócili do samochodu.

Przez resztę podróży do Oviedo nie odezwali się do siebie ani słowem. Byli jak porażeni i bali się śmiertelnie, że rycerze nie zechcą lub nie będą mogli dotrzymać obietnicy.

Ale jeśli… jeśli?

Nie mieli odwagi o tym myśleć.

CZĘŚĆ TRZECIA. OSTATNI GRYF

17

Północna Hiszpania jest niezwykle czarującą, ale niedocenianą częścią kraju. Trudno jednak zaprzeczyć, że niekiedy trochę tam pada. Zwłaszcza w Galicji deszcze są równie częste jak na innych zachodnich wybrzeżach Europy. Akurat teraz nasi bohaterowie znajdowali się w Asturii, a że jest to w sąsiedztwie Galicji, więc i tu nie dało się uniknąć opadów.

Deszcz lunął nagle.

Chudy mężczyzna w wielkim czarnym mercedesie, takim lepszym typie samochodów do wypożyczania, poganiał swojego asystenta za kierownicą.

– Prędzej, prędzej! Już ich prawie mieliśmy i teraz gotowi nam się wymknąć!

– Ja nic nie widzę przez tę ścianę deszczu. Jadę tak szybko, jak na to pozwala bezpieczeństwo.

– Na nich z pewnością też pada – odrzekł chudy krótko. Asystent zaciskał zęby.

– Pojęcia nie mam, co się z nimi stało. Musieli pędzić jak wariaci, naprawdę nie wiem, jak się nam wymknęli.

Na tylnym siedzeniu kulił się jeszcze jeden pasażer.

– Może ich już nie ma na tej drodze? Może oni wcale nie jechali do Oviedo?

– Zamknij się, Thore! – warknął chudy. – Oni jechali do Oviedo. Słyszałem tamtych drugich drani, jak gadali, co im powiedzieli w bibliotece w Cangas de Onis.

Twarz asystenta wykrzywiła się z obrzydzeniem.

– Ci dranie to Emma Lang i jej hiszpański kochanek? Oni szukają i szukają, ale nic ważnego nie wiedzą.

Wycieraczki na przedniej szybie pracowały jak szalone. Pasażerowie samochodu wiedzieli, że powinni zwolnić ze względu na bezpieczeństwo, ale nie chcieli tracić czasu.

Thore Andersen marudził na tylnym siedzeniu:

– Nie mogę zrozumieć, jak ten głupek Morten mógł nam uciec w Skanii. Już go przecież prawie mieliśmy w klatce. Nie powinien mieć prawa do nazwiska Andersen. Przynosi mu wstyd, taki głupi, jak on…

– Przestań znowu bredzić o Skanii – powiedział asystent zirytowany. – Skończyliśmy z tą historią.

– Ale oni już mają prawie wszystkie gryfy.

– To bez znaczenia. Zgarniemy całą gromadkę naiwniaków, jak już będą u celu. Musimy tylko uważać, żeby tego celu nie osiągnęli właśnie teraz. Ci dwoje tutaj to najniebezpieczniejsze figury. I mają groźne kontakty, nie zapominajcie o tym.

– Jordi i jego dziewczyna – powiedział chudy. – Z Jordim nie ma żartów.

– Jego sojusz z tymi pięcioma parszywymi upiorami jest naprawdę straszny – przyznał asystent. – Właściwie to powinniśmy się sprzymierzyć z ich śmiertelnymi wrogami, mnichami, ale ci są zbyt odrażający.

– Poza tym pomagają Emmie i Leonowi, albo odwrotnie – wtrącił chudy. – W każdym razie mogą być nieprzewidywalni. Poradzimy sobie sami, bez pomocy upiorów z czasów inkwizycji. Ale gryf Asturii musimy zdobyć! To wyjątkowy klejnot!

Thore mamrotał z tylu:

– Bardzo dobry pomysł, żeby pozwolić tym idealistom wykonać za nas całą robotę! Oni znajdą ukrytą dolinę, dla nas szukanie jej jest zbyt męczące. A potem my zgarniemy wszystko.

Asystent się z nim zgadzał.

– No właśnie, bo ci, których nazywasz idealistami przekazaliby pewnie wszystkie wspaniałości hiszpańskiemu państwu, a sami zadowolili się byle jakim znaleźnym. Nie wolno do tego dopuścić. Po co państwu takie skarby? My mamy większe zapotrzebowanie na złoto.

– Oczywiście! Potrafimy zrobić z niego użytek – rozległo się z tyłu.

Thore był typowym Norwegiem. Ola Nordmann, jak to się mówi. Czterdzieści pięć lat z pierwszymi oznakami opony tłuszczu na brzuchu od nadmiaru spożywanego piwa i innymi symptomami przyszłego zawału serca. Miał włosy koloru mysi blond, używał wody po goleniu, która przy okazji odstraszała od niego muchy i komary, wolał raczej futbol niż muzykę poważną. Miał natomiast jedną zaletę, mianowicie w drodze do celu nie przebierał w środkach, dlatego w bagażniku przechowywał broń palną.

Chudy siedział pogrążony w ponurych myślach. Od czasu do czasu wypowiadał je głośno:

– On jest mój! Skarb należy do mnie, ci idioci nie mają do niego nic! Ja zacząłem go szukać jako pierwszy. Dawno, dawno temu.

– No, no – hamował go asystent. – Nie pamiętasz, że to ja zwróciłem ci na niego uwagę?

Słowa pomocnika nie miały znaczenia. Chudy był opętany myślą o skarbie.

– A jakby się dobrze zastanowić, to tajemniczy Leon i przodkowie Emmy wiedzieli o nim więcej. I na bardzo długo przed nami – ciągnął szofer niewzruszony.

Kościstą twarz chudego wykrzywił grymas.

– Leon zniknął, a Emma to gęś. Szuka bez planu, na oślep. Natomiast idealiści zdają się w ogóle nie przejmować skarbem. Zatem

on jest nasz – powtórzył na wszelki wypadek.

– Nie zapominajcie o mojej części – wtrącił Thore Andersen groźnie.

– Nie, nie, ty dostaniesz, co ci się należy – obiecał chudy cokolwiek niecierpliwie. – Tego wystarczy dla nas wszystkich. Podobno znajdują się tam wyjątkowe kosztowności. Żebyśmy jednak mogli czuć się bezpieczni, nie może być żadnych spadkobierców skarbu, nikogo, kto o nim wie i mógłby żądać przekazania go państwu. Idealiści muszą umrzeć. Thore, to jest twoje zadanie.

– Ja też mogę się do tego przyłożyć – obiecał szofer. – Tak w ramach rozrywki!

– Proszę bardzo. Ale nie teraz, jeszcze nie! I nie ci dwoje, których ścigamy, bo to oni doprowadzą nas na miejsce.

– Ale jak już tam będziemy? – spytał Thore pochylając się do przodu, tak że „środek na muchy" buchnął tamtym prosto w nos. – Czy wtedy będę mógł?

– Będziesz! A tymczasem, jakby ci pasowało, mógłbyś się zająć innymi. Tylko oszczędzaj tych, którzy narazie jeszcze są dla nas ważni. Jak na przykład Pedro. No i jeśli to możliwe, brata tego okropnego, czym on tam jest. Upiorem? Aniołem śmierci? Natomiast pozostali, jak najbardziej…

Uczynił wymowny znak ręką na gardle.

Pozostali? To znaczy Morten i jego babcia Gudrun, Vesla oraz rodzice Unni. Thore chciał wiedzieć dokładnie, kto ma zostać jego ofiarą.

Asystent sprawiał wrażenie zadowolonego.

Tyle tylko że nikt z nich nie zdawał sobie sprawy z tego, że istnieje ktoś jeszcze: Sissi. Dziedziczka don Garcii.

Deszcz padał z niezmienną siłą. Wszyscy wypatrywali przed sobą samochodu, ale nigdzie nie było go widać.

– Żebym ja tylko mógł pojąć, co się z nimi stało – zawodził chudy. – Powinniśmy byli dogonić ich już dawno temu Otóż nie. Jordi i Unni jechali cały czas za nimi, ponieważ szukająca ich trójka pojechała główną drogą, kiedy oni rozmawiali z rycerzami.

18

Widok katedry w Oviedo zaparł Unni dech w piersi. Szukali tam schronienia przed deszczem, bo zostało jeszcze trochę czasu do umówionego spotkania z osobą, która mogła im udzielić istotnych informacji o dawnych rodach szlacheckich.

Unni kochała kościoły za ich piękne wystroje, za panujący w nich spokój i za muzykę organową.

A kościoły katolickie także za to, że zawsze stały otworem dla ludzi, którzy odczuwają potrzebę chwili zastanowienia się nad sobą i głębszego namysłu. Norweskie kościoły są otwierane tylko na czas nabożeństwa, co wcale nie musi oznaczać, że wierni najbardziej ich wtedy potrzebują. Zdarzało się, że iw Norwegii kościoły były otwierane w sezonie turystycznym, ale wtedy za wejście trzeba było płacić.

A przecież można się modlić i rozmawiać z Bogiem bez pośrednictwa nudnego kapłana.

Katedra w Oviedo jest niebywale piękna, dosłownie zalana posągami katolickich świeckich i wspaniałymi malowidłami. A kiedy Unni przeszła przez kolumnadę i zobaczyła przed sobą obraz w wielkim ołtarzu, z wrażenia włosy uniosły się jej na głowie.

– To trzeci co do wartości skarb Hiszpanii – powiedział Jordi ściszonym głosem. – Przytłaczający, prawda?

– Człowiek traci nie tylko dech, lecz także zdolność mowy – szepnęła Unni. Wolno wypuszczała powietrze z płuc po wielkim przeżyciu.

Ołtarz zdobi ogromny relief z pociemniałego złota z mnóstwem małych rzeźb, przedstawiających motywy biblijne i żywoty świętych. Pokrywa całą ścianę, wysoki niczym trzypiętrowy budynek, i w mrocznym, ciepłym świetle katedry sprawia kolosalne wrażenie.

– Chciałbym trochę popatrzeć na relikwie, które tutaj się przechowuje – powiedział Jordi. – Może przyjdzie mi do głowy jakiś dobry pomysł.

– Idź – zgodziła się Unni. – Ja tu sobie posiedzę, muszę się napatrzeć na to cudo. I chciałabym uporządkować myśli po tym wszystkim, co się stało, i z nami, i między nami.

Pospiesznie uścisnął lodowatą dłonią jej ramię i poszedł.

– No to ją mamy – powiedział chudy na galerii. – Została sama.

– Powinienem ją tam namierzyć? – spytał Thore Andersen. – Mam tłumik, zdążymy zniknąć, zanim ktokolwiek zauważy.

– W kościele? Nie odgrywaj większego barbarzyńcy niż jesteś! Żeby tak udało nam się ją wyprowadzić! Bez swojego makabrycznego kawalera jest słaba, nietrudno będzie wydostać z niej wszystko, co

wie. A potem będziesz mógł ją zastrzelić, Thore.

Asystent nie zgadzał się na taki plan.

– To zbyt ryzykowne! Przecież nie wiemy, ile ten Jordi może, ani jakiej pomocy mogą mu udzielić przeklęci rycerze. Zasłużyłeś jednak na pochwałę, Thore, żeś zdołał ich wypatrzeć.

– To refleks – oznajmił Thore z dumą. – Dostrzegłem ich plecy, kiedyśmy ich mijali, a oni biegli właśnie tutaj.

Niech to diabli, pomyślał sobie. Tak łatwo byłoby ją tutaj namierzyć, jest teraz niczym tarcza strzelnicza!

Unni siedziała bez ruchu i czuła, jak spokój rozrasta się w jej wzburzonej duszy.

To prawda, że chóralny śpiew nadawano tu z płyty, to prawda, że zamiast woskowych świec ofiarnych w świątyni paliło się światło elektryczne, ale to mało ważne drobiazgi. Spokój płynął ku niej z wysokich sklepień i od licznych rzeźb postaci świętych.

Unni nie modliła się do żadnego Boga. Wypożyczyła sobie niejako to miejsce, żeby pomyśleć. Czy też ściśle biorąc, zaprowadzić jakiś porządek w swoich myślach.

Drgnęła, kiedy Jordi wrócił.

On uśmiechnął się do niej czule i powiedział:

– Nie, niczego dla nas tam nie ma. To wszystko za stare. Ale imponujące, to muszę przyznać.

– Mam nadzieję, że nic w rodzaju drzazgi z Krzyża Pańskiego, z których, gdyby je zebrać z całego chrześcijańskiego świata, można by zbudować drapacz chmur? Albo jak relikwie Buddy, który musiałby mieć ze trzy tysiące zębów, gdyby poważnie traktować wszystkie, które jakoby po nim zostały?

– Nie, te relikwie nie robią takiego wrażenia. Chodź, pójdziemy już. Przestało padać i ta pani już chyba na nas czeka.

Opuścili katedrę, nie zdając sobie sprawy, że są śledzeni.

– Ciekawe, dokąd teraz mają zamiar? Do zwyczajnego pensjonatu? Dosyć mało wyszukane. Dowiedz się, kto tam mieszka, Thore!

Thore wkrótce wrócił z raportem.

– Jakiś agent ubezpieczeniowy, jakiś pan i pani, specjalista od rurociągów, pewna wdowa… – zastanawiali się, komu też obserwowana przez nich para złożyła wizytę. Na młodą uczoną nazwiskiem Juana Lopez w ogóle nie zwrócili uwagi.

Unni i Jordi doznali szoku. Oczekiwali raczej przysypanej pyłem dokumentów, starszej pani profesor, a nie młodej dziewczyny. Była to osoba blada, o podkrążonych oczach, uczesane z przedziałkiem włosy nosiła związane na karku gumką.

Pokój był dosłownie zawalony książkami i stosami papierów.

Juana wyjaśniła, że pracuje właśnie nad doktoratem. Pisze o

dziejach Asturii w piętnastym wieku i wie wszystko o rodach szlacheckich.

– Tego właśnie szukamy! – zawołała Unni uradowana. – Bibliotekarz w Cangas de Onis powiedział, że jesteś najbardziej odpowiednią osobą dla nas.

Juana uśmiechnęła się przelotnie. Rzucała nerwowe spojrzenia na Jordiego, naprawdę nie wiedziała, co o nim myśleć. I nie ona pierwsza.

– Galindo de Villanueva y Asturias – powtarzała z namysłem, kiedy wyjawili jej, kogo dokładnie szukają. – Nie, to nie może być Asturias, nie było wtedy królewskiego rodu o takim nazwisku.

– Wcale tak nie uważamy – wtrącił pospiesznie Jordi. – On był nazywany de Asturias dlatego, że pochodził z tej części kraju. Ale Villanueva?

Młoda uczona szukała w swoim kołonotatniku.

– Owszem, mam tutaj taki ród. W naszych czasach to w Hiszpanii dosyć zwyczajne nazwisko, w całym kraju jest mnóstwo miejsc o tej nazwie. „Nowa osada", albo „nowe osiedle" albo „willa…". Jednak ród, o którym mówimy, z Cangas de Onis, to był ród szlachecki. Już wymarły. Tylko Galindo…? Czy to nie on konspirował przeciwko królewskiej parze?

– Istniała też osoba imieniem Laura – wyjaśniła Unni. – Potomkini Galinda. To o nią nam chodzi, jej przede wszystkim szukamy.

– O, mam! Znalazłam Galindo! Boczna linia. Urodzony w 1420 roku. Zmarł… Nic na ten temat nie mam.

– W 1481 – wtrącił Jordi krótko. Juana popatrzyła na niego.

– Dziękuję! Zaraz to zapiszę.

– Później możemy ci opowiedzieć jeszcze więcej.

– Ja wiem, że on zorganizował powstanie z kilkoma innymi, wspomina się o tym w jednej z kronik. Ale daty nie znałam. To znaczy daty powstania.

– Wybuchło również w roku 1481. Masz coś na temat Laury?

– Zaraz zobaczymy…

– Podobno była wnuczką don Galinda.

– Wnuczką? – Juana szukała, marszczyła czoło z wysiłku. – Jakie to dziwne!

– Co takiego?

– Ilu ich umarło w wieku dwudziestu pięciu lat!

– Owszem – potwierdził Jordi zwięźle.

– Nie, nie ma tutaj żadnej wnuczki imieniem Laura. Unni i Jordiemu wydawało się, że słońce zaszło. Byli już tak blisko i teraz co? Czy będą musieli zaczynać poszukiwania od początku?

– Ale, ale, chwileczkę! Don Galindo miał dwoje dzieci, w tym córkę. To ona mogła być matką Laury, tylko, że nie została tu

zapisana. Córka don Galinda weszła przez małżeństwo do innego rodu, zaczekajcie, zaraz zobaczymy!

Juana kartkowała swój notatnik. Jej młodzi goście stali sztywni, przechodząc od nadziei do bezradności.

– Mam! Córka don Galinda miała dwoje dzieci. Pierwszy był syn, zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat. Mój Boże, on też? Dziwne! Siostra… miała na imię Laura! Znaleźliśmy! Laura Alvarez. Żyła długo. Nie wyszła za mąż, umarła tutaj, w Oviedo w 1557 roku. Linia don Galindo wymarła.

– Wszystko się zgadza. Czy nie ma więcej informacji na temat Laury Alvarez?

– W tym celu będę musiała zajrzeć do bardzo starych manuskryptów, których jeszcze nie przeczytałam. I nie mam ich tutaj. To zajmie, niestety, trochę czasu.

Jakby już i tutaj nie dość miała materiałów do studiowania! Najwyraźniej piętnasty wiek był dla Asturii okresem wielu wydarzeń.

Juana obiecała, że jak tylko się czegoś dowie, natychmiast do nich. zadzwoni, i wymienili numery telefonów. Unni i Jordi podziękowali za życzliwą pomoc, zaproponowali zapłatę za usługi, ale Juana jej nie przyjęła. Dała im natomiast adres niedrogiego, wygodnego hotelu, w którym mogli przenocować. Laura Alvarez mieszkała w Oviedo, więc poszukiwań w tym mieście jeszcze nie skończyli.

Kiedy schodzili po schodach na dół, Jordi rozwodził się, jakie to mieli szczęście, że spotkali Juanę. Unni jednak słuchała tego jednym uchem, a drugim wypuszczała. Uśmiechała się błogo, bo jej myśli zajmowało wyłącznie wyobrażanie sobie nadchodzącej nocy w hotelu. Jeśli rycerze dotrzymają słowa, to Jordi nie będzie już więcej taki lodowato zimny i ona będzie się mogła do niego zbliżyć. I czeka ich cudowny czas.

Na parterze zobaczyli jakiegoś strasznie chudego mężczyznę, który właśnie wchodził do pokoju agenta ubezpieczeniowego. Dostrzegli zaledwie jego plecy, on ich nie zauważył.

Gdy tylko wyszli na ulicę, zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Pierwsze, co rzuciło im się w oczy, to samochód z czterema osobami w środku. Na przednim siedzeniu rozpoznali Emmę i Alonza. Unni pospiesznie wciągnęła Jordiego do bramy. Ukryli się tam i patrzyli, jak samochód wolno, jakby w poszukiwaniu czegoś mija ich i jedzie w górę ulicy.

Znajdowali się w samym centrum Oviedo, nic dziwnego, że Emma i jej kompani szukali ich akurat tutaj. Prawdopodobnie od dłuższego czasu przeczesywali ulice. Ulice parujące teraz w piekącym słońcu po niedawnym deszczu.

– Widzieli nas? – spytała przestraszona Unni. Chyba niepotrzebnie

mówiła szeptem, ale to wypadło tak jakoś samo z siebie. Rozcierała ramię w miejscu, gdzie dotknęła ją lodowata ręka Jordiego.

– Nie wiem – odpowiedział. – Mogli nas zobaczyć. Musimy uprzedzić Juanę Lopez. Biegnij do samochodu, dopóki są daleko i czekaj tam na mnie! Połóż się na tylnym siedzeniu, żeby cię nie było widać. Masz tu kluczyki, ja wkrótce przyjdę.

Znowu wbiegł na górę, jego kroki odbijały się echem na całej klatce.

Unni pobiegła przez ulicę na parking pod gęstymi drzewami. Chyba była właśnie pora sjesty, bo na ulicach pusto. Włożyła kluczyk do zamka.

I wtedy odezwał się za nią głos mówiący po norwesku.

– Stop, panienko! I proszę za mną. Chciałbym, żeby mi pani wyjawiła kilka niewielkich tajemnic.

Unni odwróciła się. Nie znała tego człowieka. Grubawy, typ drobnego przedsiębiorcy, oportunista, który pnie się w górę nie przebierając w środkach. Chwalący się basenem w ogrodzie, żaglówką i letnim domem w Hiszpanii. Owszem, znała takich, ale akurat tego nie.

Tajemnice, jakie tajemnice, zastanawiała się. O co mu chodzi? Kim jest ten człowiek?

– Nie, nigdzie teraz nie pójdę – bąkała rozczarowana. – Bo dzisiaj w nocy…

– Tak? Co masz zamiar robić dziś w nocy?

– Och, odczep się – warknęła Unni. – Nie mam czasu na wygłupy.

Ale Thore Andersen był przygotowany. Trzema szybkimi ruchami wykręcił jej ręce na plecy i zalepił jej usta nieprzyjemnie szeroką, samoprzylepną taśmą.

Unni była oszołomiona, ale łatwo poddać się nie zamierzała. Używała jedynych narzędzi walki, jakie jej jeszcze zostały, mianowicie nóg. Kopnęła napastnika z rozmachem i próbowała uciekać. W następnej chwili jednak znalazła się na ziemi z twarzą w piachu, a jej nogi zostały związane w kostkach tą samą taśmą, którą miała na ustach.

Musiałeś już kiedyś to wszystko robić, pomyślała z goryczą.

Była teraz niczym paczka. Krzyczała mimo knebla, co chyba drażniło napastnika, bo wymierzył jej zaciśniętą pięścią cios w twarz. Potem została wniesiona do wielkiego czarnego samochodu i dostała jeszcze jeden kawałek taśmy, tym razem na oczy.

Skrzywiła się boleśnie, bo taśma ciągnęła ją za włosy.

Potem poczuła, że samochód rusza i odjeżdża. Odjeżdża od Jordiego i cudownego poczucia bezpieczeństwa.

19

Juana otworzyła i Jordi wyjaśnił, że nie wolno jej przyjmować nikogo obcego. Zapewniła, że będzie ostrożna, w drzwiach ma judasza, więc nikomu przypadkowemu nie otworzy. Tylko dlaczego…?

Jak jej to powiedzieć? zastanawiał się Jordi gorączkowo. Zaczął tak:

– Ponieważ natrafiliśmy na ślad czegoś, co wydarzyło się w piętnastym wieku i co pewne osoby pragnęłyby od nas przejąć.

Patrzyła na niego zdumiona, potem uśmiechnęła się sceptycznie.

– Mam nadzieję, że to nie ta stara legenda na temat skarbu znowu ożywia wyobraźnię jakichś awanturników?

– Jeśli o tych ludzi chodzi, to oni myślą właśnie o skarbie. My jednak pracujemy nad czymś zupełnie innym, choć wygląda na to, że skarb jest z tym jakoś związany.

Juana długo mu się przyglądała, zanim znowu zaczęła mówić:

– Bardzo chcę poznać to, nad czym pracujecie. To może mieć nieocenioną wartość dla mojego doktoratu.

Jordi znalazł się na grząskim gruncie. Zagadka rycerzy nie może zostać upubliczniona, przynajmniej zanim będzie rozwiązana. Ewentualnie.

– Kim ty właściwie jesteś? Czym jesteś?

Juana była bardzo inteligentną dziewczyną. Zasługiwała na szczerą odpowiedź.

– Fakt, że wyglądam tak, jak wyglądam, ma również związek z naszym zadaniem. Z życiem i śmiercią.

– Tak – rzekła z namysłem. – Niemal to widzę.

Jordi usłyszał, że dzwoniono do jakichś drzwi na parterze i że te drzwi się otworzyły, krótka rozmowa, drzwi zamknęły się na powrót. Zaległa cisza.

– Tutaj nie jest bezpiecznie – rzekł pospiesznie. – Chodź z nami do hotelu, tam będziemy mogli porozmawiać.

Zgodziła się natychmiast. Wepchnęła wszystko, co potrzebne do dużej teczki i poszła za nim. Pospiesznie wybiegli na ulicę.

– Unni czeka w samochodzie – wyjaśnił Jordi, kiedy przechodzili przez jezdnię.

– Rany boskie – jęknął na parkingu. – Unni zostawiła kluczyki w drzwiach? To do niej niepodobne! Ona nie robi takich głupstw.

Pociągnął za klamkę.

– Drzwi nie były otwierane!

W samochodzie Unni, niestety, nie znaleźli i Jordi poczuł, że strach go paraliżuje.

– Może poszła do toalety gdzieś blisko? – pytał sam siebie.

– Tu w pobliżu nie ma żadnej toalety.

– To może do kawiarni?

– Kawiarni też nie ma.

Strach przenikał cale ciało. Jordi był kompletnie bezradny.

– Popatrz na żwir – zwróciła mu uwagę Juana. – Ślady walki.

Jordi też to widział. Zrobił się blady jak papier.

– Juana, ja się boję. Byliśmy śledzeni przez czterech osobników pozbawionych sumienia.

– To Hiszpanie?

– Nie wiem. Niektórzy pewnie tak, ale też Norwegowie. Właśnie węszyli tutaj po ulicach, krążyli po mieście w samochodzie. Ale nie myślałem… Porwali ją i odjechali! Nigdy sobie tego nie wybaczę!

– Jak wyglądał ten samochód?

– Zwyczajnie. Jakiś nieduży, seat, zdaje mi się. Beżowy. Nie pomyślałem, żeby zapamiętać numer.

– Wsiadaj – powiedziała Juana. – Pojeździmy i poszukamy. Znam Oviedo na wylot. Ja prowadzę.

Był jej wdzięczny za pomoc, ale chciała coś w zamian. Jego historię.

– Opowiem ci ją. Tylko nie teraz. Teraz mogę myśleć wyłącznie o Unni.

Systematycznie przeczesywali ulice. Jordi był śmiertelnie przerażony. Unni miała telefon komórkowy, ale kiedy Jordi dzwonił, nikt nie odpowiadał. I dlaczego ona nie zatelefonowała? W końcu aparat został wyłączony. Nie wiadomo przez kogo.

I to mu akurat ulgi nie przyniosło. To wszystko przerażające, straszne i przerażające!

Dobry Boże, modlił się. Święta Dziewico, Maryjo!

Nie zdając sobie z tego sprawy, sięgał po katolickie modlitwy z dzieciństwa.

– Stop! – krzyknął nagle. – Zatrzymaj się tutaj! Nie jedź dalej! Juana posłuchała. Znalazła miejsce do parkowania i z piskiem opon zatrzymała samochód.

Nieco dalej znajdowała się restauracja ze stolikami na trotuarze.

W głębi lokalu, przy narożnym oknie, Jordi zauważył długie blond włosy.

– Nie mogę wyjść, bo na tej ulicy jest za mało ludzi – mruknął.

Juana spojrzała na niego zdziwiona, nie miała pojęcia o jego zdolności gubienia się w tłumie.

– I podjechać bliżej nie możemy – mówił dalej. – Chciałbym się jednak przyjrzeć tym ludziom przy oknie. Zdaje mi się, że to oni.

Juana otrzymała dokładny opis osób, których szukali i wysiadła z samochodu. Spacerkiem przeszła spory kawałek ulicy, a potem

wróciła.

– Siedzą i obserwują, co się dzieje. To oni. Opis się zgadza.

– Tak myślałem. A za nami, w bocznej uliczce stoi ich samochód.

Zdołał wymknąć się niezauważony i zakradł się w pobliże samochodu. Zajrzał do środka, ale ani śladu Unni tam nie było. Bagażnik? Oczywiście zamknięty na klucz.

– Boże, co robić? Co robić? Urraca, pomóż mi – błagał szeptem. – Na pewno kiedyś kogoś kochałaś. Nigdy przedtem nie prosiłem cię o nic dla siebie ale teraz chodzi o dziewczynę, którą kocham bardziej niż własne życie.

Rozległ się cichy trzask zamka.

– Dziękuję – wyszeptał.

Podniósł klapę, ale w bagażniku były tylko torby i walizki. Zatrzasnął go i znowu podziękował.

Urraca jest z nim! Ona nie może się włączyć w samo rozwiązanie zagadki, ale w takich ważnych, choć dla ludzi niemożliwych do osiągnięcia sprawach, pomóc potrafi.

Bardzo to dobrze podziałało na wzburzone nerwy Jordiego. Stara czarownica potrafi też najwidoczniej radzić sobie z nowoczesną techniką, dobrze wiedzieć!

A może…? Poczuł wątpliwości Jeszcze raz sprawdził zamek.

No tak! Zamek został wyrwany i zniszczony. Na technice Urraca się nie zna, ale siłę to ma. Magiczną czy normalną, ważne, że skuteczną.

Trzeba było szukać dalej. Unni, Unni! O mało nie zaczął krzyczeć z rozpaczy.

Dręczył sam siebie. A może wróciła na parking koło domu Juany? A jego tam nie ma!

Ale jedno wiedział: ci, którzy siedzą tu w restauracji, nie złapali Unni. Bo gdyby, to nie musieliby już obserwować ulic i wypatrywać ofiar.

Z nas dwojga Unni jest słabsza, myślał. To oczywiste, że przestępcy postanowili zapolować właśnie na nią.

Czy może ich być więcej? My znamy tylko tę czwórkę, ale przecież mogą mieć jakąś rezerwę.

Otworzył drzwiczki samochodu Juany.

– Najpierw pojedziemy na twój parking – powiedział. – Jeśli jej tam nie ma, trzeba będzie wyjechać z miasta. Muszę z kimś porozmawiać, sam sobie z tą sprawą nie poradzę.

Juana manewrowała samochodem wbrew wszelkim regułom i w końcu ruszyła, jak najszybciej od tej restauracji.

Jordi przyglądał się swoim dłoniom. Nie drżały, teraz po prostu się trzęsły. Niczego już nie pojmował, naprawdę nie miał pojęcia, co się stało.

Na parkingu ani śladu Unni nie zauważyli. Poprosił więc Juanę, by zawiozła go na jakieś pustkowie, możliwie najmniej widoczne, najlepiej osłonięte lasem czy coś w tym rodzaju.

Kiedy wyjeżdżali z miasta, poprosiła, by jej opowiedział historię.

Jordi wahał się. Próbował powiedzieć jej tylko to, co wiedział na temat wydarzeń, które miały miejsce w roku 1481. Wymienić pięciu rycerzy z nazwiska, opowiedzieć o ich kłopotach i o dwojgu królewskich dzieciach z Asturii i Kantabrii, które zostały ścięte przez katów inkwizycji. No i o tym, że rycerze zaopiekowali się ciałami zmarłych, zawieźli je do tajemniczej doliny i przypuszczalnie tam pochowali. Myślę, że tam też trafił skarb – podsumował. – Bo rycerze mieli jakoby zebrać kosztowności ze wszystkich zbuntowanych prowincji.

– Też o tym słyszałam. Nigdzie to jednak nie zostało zapisane z wyjątkiem innej starej legendy czy raczej po prostu dziecinnej bajki.

– Wiem – potwierdził Jordi. – Zgadza się.

– Ale jednego nie rozumiem – rzekła Juana cicho. – Skąd mianowicie ty to wszystko wiesz?

No więc padło to pytanie, na które najtrudniej było odpowiedzieć.

– Mam swoje źródła – odparł krótko i bardzo się ucieszył, że musieli skręcić na stację benzynową, by zatankować. Dzięki temu zyskał na czasie.

Może Juana zapomni o pytaniu? Znajdowali się teraz na przedmieściu Oviedo. Silnik pracował cicho.

Ale Juana nie zapomniała.

– Jakie źródła? Muszę je, czy też ich, poznać.

– Oni nie wiedzą więcej niż ja – próbował się jakoś wymigać. – Czy też mówiąc wprost: nie mogą powiedzieć więcej.

– Ale dlaczego to wszystko tak cię interesuje? Dlaczego to jest gra na życie i śmierć? Dlaczego ci jacyś dranie was tropią?

– To ostatnie już ci wyjaśniłem: oni myślą, że doprowadzimy ich do miejsca ukrycia skarbu, który dla nas nie ma znaczenia.

– Nie odpowiedziałeś mi na pozostałe pytania.

– Po pierwsze: przyjechaliśmy do Hiszpanii, by odnaleźć amulet. Mały gryf, który należał do Laury Alvarez. Słyszałaś o czymś takim?

– O gryfie? Nigdy.

Jordi wcale też się tego nie spodziewał, westchnął ciężko. Ten ostatni gryf zdawał się bawić z nimi w chowanego. Narazie jednak nie miało to znaczenia. Teraz chodziło o Unni.

– A dlaczego od tego amuletu ma zależeć życie i śmierć? Jordi nie miał ochoty dalej kluczyć. Poddał się.

– To właśnie moje źródła mogą mi pomóc odszukać Unni, Poznasz ich.

– Świetnie! Wspaniale! – Juana uśmiechała się promiennie.

– Nie bądź tego taka pewna – mruknął Jordi. Juana dojechała do jakiegoś lasu i Jordi poprosił, by skręciła w boczną drogę.

– Tutaj? – spytała zdumiona. – Co będziemy tu robić? Jordi powstrzymał uśmiech.

– Nie mam zamiaru cię uwieść – zapewnił. – Tutaj spotkamy się z tymi, których określiłem jako moje źródła.

Juana patrzyła na niego z bardzo sceptyczną miną. Przecież nawet do nikogo nie telefonował. Jak te jego tak zwane źródła mogą wiedzieć, gdzie znajduje się miejsce spotkania? Tym bardziej że to ona je znalazła.

Pełna niepewności szła za nim między pniami drzew.

Jordi zatrzymał się wkrótce na niewielkiej polanie.

– Poczekaj tu – poprosił. – Za moment wrócę.

I rzeczywiście nie czekała długo. Kiedy jednak Juana zobaczyła pięciu rycerzy podążających za nim, krew odpłynęła jej z twarzy i o mało nie upadła. Musiała się oprzeć o drzewo.

Konie same w sobie stanowiły widok raczej groteskowy. Płynęły ku niej bezgłośnie, gęsiego, wyszczerzając zęby. Potrząsały głowami, z których po śmierci częściowo poodpadała sierść. Oczy miały białe, przerażone, czarna skóra zwisała płatami z kościstych ciał.

A rycerze?

Choć nigdy przedtem nie wydawałoby jej się to możliwe, Juana natychmiast rozpoznała, że to są rycerze z najbardziej tragicznego okresu w historii Hiszpanii, czyli z czasów inkwizycji. Może sprawiły to powolne ruchy rumaków i ich jeźdźców, a może jej własny prymitywny lęk i niedowierzanie? Rycerze byli ubrani cali na czarno, twarze ukrywali pod naciągniętymi kapturami tak, że ledwo je było widać. Ale to, co widziała, wystarczyło, a nawet więcej. Podobnie jak konie, rycerze mieli białe oraz siwe lub szpakowate włosy. Tylko jeden zachował jeszcze czarny zarost. Ale wszystko razem robiło potworne wrażenie.

Rycerze podjechali jeszcze bliżej.

Wtedy Juana zemdlała.

20

Unni leżała wbita w tylne siedzenie wielkiego mercedesa i musiała słuchać głupiego gadania nieznajomego Norwega.

Był to człowiek wulgarny o pozorach światowego obycia. Teraz jednak był szczery, mówił jej, jak go to drażni, że ze swoimi kompanami musi rozmawiać „elegancko". Są tacy cholernie wytworni, że nie znoszą, kiedy człowiek dłubie w zębach po jedzeniu, wymagają, żeby używać wykałaczek i w ogóle. Nie uważasz, że to może człowieka wkurzyć?

Jeśli oczekiwał od Unni odpowiedzi, to musiał przeżyć rozczarowanie. Miała zresztą prawo do milczenia – taśmę na ustach. Oczywiście usiłowała się jej pozbyć, pozostałych więzów również, ale ten facet wykonał swoją robotę starannie. I nie pomogły jej szarpania ani grymasy.

Nic oczywiście nie widziała, gruba taśma na oczach czyniła ją ślepą, sądząc jednak po odgłosach z zewnątrz, czy raczej ich braku, domyślała się, że jest za miastem. Przejeżdżało tędy bardzo niewiele samochodów, więc musieli znajdować się na bocznej drodze.

Jakim sposobem Jordi zdołałby ją tu odnaleźć?

Ordynarna gadanina strażnika martwiła ją. Opowiadał, że tamci trzymają go bardzo krótko i traktują pogardliwie, jak szofera albo chłopca do posyłek, jego, który zwiedzał Majorkę i Kretę, był nawet w Maroko. A co ty sobie myślisz? Nigdy nie dają mu czasu, żeby wyszedł na chwilkę, chociaż na krótki numerek, musi się obywać bez kobiet, on, taki facet! Ale tym razem sobie wszystko powetuje, tutaj nikt go nie będzie widział.

Brzmiało to bardzo nieprzyjemnie. To akurat denerwowało Unni bardziej niż inne straszne rzeczy, które mogłyby jej się przytrafić.

Domyślała się, że napastnik chce ją zmusić do mówienia. Tylko kim on jest? I kim są ci „inni", o których tyle gada?

No cóż, Unni wytrzyma, facet nie wyciśnie z niej ani słowa.

Ale jak długo będzie to musiała znosić? I co się z nią stanie potem?

To też bardzo niepokojące pytanie.

Samochód przyhamował, skręcił i stanął. Najwyraźniej dotarli na miejsce.

Kiedy usiłował wyciągnąć ją z samochodu, poczuła, że dotyka ją tam, gdzie nie powinien. Szarpnęła się z całej siły i z rozmachem kopnęła w karoserię. Facet zachichotał.

Została przeniesiona do domu cuchnącego starością, stęchlizną i opuszczeniem. Od dawna niezamieszkanego.

Upadła na twardą drewnianą ławę. Mężczyzna wyszedł na dwór,

Unni słyszała, że rozmawia z kimś przez telefon komórkowy, ale słów nie rozumiała.

Potem wrócił do domu.

– Mamy dla siebie kilka minut, malutka. Ale wykorzystamy je naprawdę dobrze.

Taśma z ust Unni została zerwana. Zapiekło ją strasznie, ale możliwość odetchnięcia znowu pełną piersią przyniosła niewysłowioną ulgę.

– Możesz sobie wrzeszczeć, ile tylko chcesz – powiedział mężczyzna z ordynarnym śmiechem. – Nikt nie usłyszy, to ci gwarantuję.

Unni nic nie widziała.

– Zrobimy sobie naprawdę dobrze – powiedział, siadając obok niej. Zaczął obłapiać jej piersi. Unni odskoczyła.

– No, no, nie spiesz się tak – mówił, jakby ją upominał. – Dostaniesz, dostaniesz wszystko, ale najpierw musimy pogadać.

Bogu dzięki! Każda zwłoka może okazać się zbawienna.

Gdyby ją bił lub torturował, zniosłaby to bez szemrania, ale na myśl, że może ją zgwałcić, robiło jej się niedobrze i wpadała w panikę.

– Powiedz no teraz wujkowi, co wy tu robicie, co? Przez cały czas jej dotykał. Głaskał palcami jej udo. Unni milczała.

– Szukacie gryfa, nie?

Słowa same wydostały się z ust Unni:

– A skąd ty o tym wiesz?

Niech to licho! Nie powinna była, trzeba milczeć! Ale on ją po prostu zaskoczył.

– Ja wiem dużo, malutka – zachichotał. – Ja wiem o tych ptaszkach wszystko.

Unni przyszedł do głowy pomysł. A gdyby tak odwrócić sytuację i wyciągnąć od tego faceta, co on wie?

O ile dobrze zapamiętała, nie wyglądał zbyt inteligentnie. W porządku, porozmawia z nim, ale tylko o sprawach nieistotnych. Może on będzie mniej ostrożny i się wygada.

Najzupełniej nieoczekiwanie taśma z jej oczu też została zerwana. Oczywiście razem z taśmą napastnik wyrwał jej sporo włosów i brwi. Przyjemne to nie było, o nie, i przyszło tak nieoczekiwanie, że nie mogła powstrzymać krzyku bólu. Była na siebie zła, bo ten człowiek miał we wzroku coś sadystycznego, czego wolała nie pobudzać.

Zauważyła, że znajdują się w jakimś opuszczonym i zrujnowanym, małym gospodarstwie rolnym. Przez dziury w dachu widziała niebo, wnętrze domu było kompletnie zniszczone. Od bardzo dawna nikt tu nie mieszkał.

Niewygodnie jej było leżeć z rękami związanymi na plecach, próbowała więc usiąść. Na to jednak on pozwolić nie chciał i pchnął ją

z powrotem.

– Już niedługo będziesz mogła fikać nogami – „pocieszył” ją. – Ale najpierw powiesz mi, co znaczy to tutaj, wiesz przecież tyle…

Wyjął z kieszeni spodni pognieciony papier i przystawił jej do samych oczu. Unni odsuwała się, ale wciąż nic nie widziała.

– Trzymaj ten papier trochę dalej, żebym mogła coś zobaczyć! – syknęła. – Nikt nie jest aż takim krótkowidzem!

Facet złożył papier w kilkoro tak, że widać było tylko kilka słów. Ona jednak zdążyła zauważyć już coś innego, coś niepokojącego.

Czytała głośno, tekst był po norwesku:

– „…małe pustkowie…”

– Co to znaczy? – spytał agresywnie.

– Małe pustkowie? Skąd mogę wiedzieć? Może rezerwat przyrody w Jotunheim?

Szarpnął papier i włożył go znowu do kieszeni.

– Nie udawaj głupiej! Chyba nie o Norwegii jest tu mowa. Jesteśmy w Hiszpanii, do cholery!

– A pismo jest po norwesku!

– Bo on to przetłumaczył, chyba rozumiesz!

– Kto to jest on?

Ale facet na tym rozmowę urwał. Żadnych więcej pytań!

Z lękiem oczekując jego kolejnego kroku, Unni myślała o tym, co zdążyła dostrzec na papierze. Wprowadzające słowa: „Pięć gryfów stanowi klucz”.

I potem jeszcze sporo wyjaśnień, których Unni nie zdążyła przeczytać.

Wtedy właśnie to do niej dotarło, zaczęła sobie zdawać sprawę, że ma do czynienia z trzecią grupą. „Ci drudzy” to są jego kompani.

Bardzo chciała zdobyć ten papier. Żeby tylko nie była taka bezradna!

Ku swemu przerażeniu zauważyła, że napastnik zaczyna rozpinać spodnie.

21

Jordi złościł się na rycerzy.

– Czy musicie narażać młodą dziewczynę na taki stres? Tacy złośliwi nigdy ani wy sami nie bywacie, ani wasze rumaki.

„Jesteśmy zmęczeni – odpowiedziały mu myśli jego przodka, don Ramiro, krótko. – Nie jesteśmy w stanie dłużej podtrzymywać iluzji".

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Jordi z żalem. „Pomożemy ci odnaleźć twoją ukochaną" – obiecał don Federico i natychmiast wysłał don Ramira, żeby jej szukał. – Ale teraz chyba nareszcie rozumiesz, że powinniście byli nas słuchać? I działać ostrożnie. Widzicie to, czego nie ma, a nie dostrzegacie tego, co wam zagraża. Tak wam kiedyś powiedzieliśmy i to jest prawda".

– Wiem. Ale chyba jeszcze nie widzieliśmy wszystkiego, co powinniśmy zobaczyć?

„Tak. Nie widzieliście." – Wyprostował się w siodle. – „Mówisz, że ta obca panna może wam pomóc. To dobrze. Ale teraz będziemy z tobą, bo ona może pomóc również nam".

– W jaki sposób?

„Mówiłeś, że ona pisze o naszych czasach. W takim razie powinna też napisać o nas. Tak, byśmy nie popadli w zapomnienie. Ale oto ona się budzi".

Jordi ukucnął przy Juanie i łagodnie do niej przemawiał. Dziewczyna zadrżała gwałtownie i nie chciała nawet spojrzeć w stronę rycerzy.

Kiedy jednak powiedział jej o ich życzeniu, rozjaśniła się trochę.

– Myślisz… że oni by mogli… Nie, to przecież duchy, ja nie zniosę, zabierz ich stąd, chce. wracać do domu!

– Czy oni by mogli co? Powieki jej zadrżały.

– Opowiedzieć o swoich czasach. Jordi uśmiechnął się.

– Zapytam.

Juana oddychała z drżeniem. Jaką to możliwość zsyła jej los! Usłyszeć opowieść o piętnastym wieku od ludzi, którzy wtedy żyli! I on przecież tu jest!

Jordi przekazał jej prośbę.

Rycerzom to najwyraźniej pochlebiało.

– Mam ze sobą magnetofon – wtrąciła Juana pospiesznie. Wtedy Jordi roześmiał się ze smutkiem. Nie można przecież nagrywać na taśmę myśli.

Teraz jednak najważniejsza była sprawa Unni. Rycerze siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, pogrążeni w swojej niemej dyskusji, gdy między drzewami pojawił się don Ramiro. Kolejna, pozbawiona słów narada.

Don Sebastian zwrócił się do Jordiego i ponownie popłynęły myśli. „Ona potrzebuje pomocy, jak najszybciej! W górach po tamtej stronie znajduje się niewielki, niezamieszkany dom, powiada twój przodek”.

Don Ramiro przekazał Jordiemu opis drogi i miejsca, w którym przebywała Unni.

Umówili się na późniejsze spotkanie, podczas którego Jordi będzie mógł przetłumaczyć Juanie myśli rycerzy.

Podziękowali teraz godnym starcom, którzy znikali powoli, rozpływając się w powietrzu. Jordi i Juana ruszyli w góry z taką prędkością, na jaką samochód pozwalał. Wkrótce skręcili w boczną drogę.

Przez cały czas Juana nie powiedziała ani słowa. Była do głębi wstrząśnięta. Zafascynowana Jordim ponad wszelkie wyobrażenie, ale niemal do szaleństwa przerażona jego dziwnymi oczyma i jeszcze bardziej towarzystwem, z którym się spotyka!

Obrzydliwy norweski typ stanął na szeroko rozstawionych nogach tuż przy ławie. Jego spodnie opadły na podłogę i otaczały niczym wieniec jego kostki. Z dumą prezentował Unni swoje walory.

– Popatrz no na niego – przechwalał się.

– No właśnie – odparła swobodnie, udając twardszą niż w istocie była. – Co mu jest?

– Będzie ci smakowało, co? – gbur był wyraźnie zirytowany.

– Tylko nie bardzo go nawet widać spod tego tłuszczu – prychnęła Unni i z obrzydzeniem odwróciła twarz.

Postąpiła chyba głupio, bo gbur wpadł we wściekłość. Jeszcze bardziej szorstko zerwał jej pęta z nóg i próbował ściągnąć z niej spodnie. Przeszkadzały mu w tym jednak jej związane na plecach ręce, więc rozciął też taśmę na nadgarstkach. Tym sposobem Unni została całkiem rozwiązana, chociaż to się na wiele nie zdało, bo facet był bardzo silny. Celem walki był teraz zamek od spodni i ta walka, prędzej czy później, skończy się jej przegraną.

No to wiem, co znaczy powiedzenie „los gorszy od śmierci”, myślała w panice. Bo nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej wstrętnego niż, żeby ten przebrzydły typ wdarł się w moje ciało!

Na moment dostrzegła jego stopy, zwisające nad krawędzią ławy, wciąż zaplątane w spuszczone spodnie i widziała, jak z kieszeni tych spodni wypada na podłogę zmięta kartka.

Tylko na co to się teraz może zdać?

Ponad wszystko pragnęła okładać go pięściami tak, żeby krew z niego tryskała, ale w tym celu musiałaby puścić najcenniejsze teraz zapięcie swojego paska.

– Wiesz, jakie to cholernie niekobiece, te długie spodnie? – wykrzykiwał sfrustrowany napastnik, próbując oderwać jej rękę od

sprzączki.

– Jakiś samochód jedzie! – wrzasnęła Unni, bo teraz napastnik zamierzał użyć noża.

Tak Unni krzyczała kiedyś do swojego psa, kiedy chciała go wywabić z ogrodu. Pies zawsze dawał się nabrać. Na okrzyk: samochód jedzie! wypadał z ogrodu niczym rakieta.

Na Norwegu jej krzyk zrobił takie samo wrażenie. Zastygł bez ruchu i nasłuchiwał. Tym razem Unni nie kłamała.

– Cholera, mogliśmy zdążyć, żebyś się nie certo wala! – syknął, zdzielił ją pięścią między oczy i zaczął podciągać spodnie.

Podszedł do czegoś, co niegdyś było oknem i wyjrzał na dwór. Unni pochyliła się błyskawicznie i podniosła papier, który wpadł pod ławę. Wsunęła go do kieszeni i usiadła. Próbowała wygładzić włosy i ubranie.

Drzwiczki samochodu zamknęły się z trzaskiem. Unni nie miała żadnych iluzji, jeśli chodzi o ratunek; napastnik przecież wspominał, że mają dla siebie tylko kilka minut, więc teraz przyjechali ci jego współpracownicy, czy kto tam.

Norweg wyszedł im na spotkanie. Unni podbiegła do okna, chciała przez nie wyskoczyć, bo odgłosy z zewnątrz świadczyły, że nie wychodzi ono na dziedziniec.

Ale nie, tutaj nie mogła liczyć na powodzenie. Dom stał na zboczu, które od tej strony schodziło stromo w dół, na dodatek leżały na nim duże zwoje zardzewiałego kolczastego drutu. W dole krajobraz był wymarły.

Przybysze wchodzili do izby, więc Unni pospiesznie wróciła na ławę.

Niebywale wysoki i chudy mężczyzna ukazał się w drzwiach i gapił na nią. Widziała dwoje fanatycznych oczu i usta przecinające poprzeczną kreską kościstą twarz. Bez słowa wyszedł znowu na dwór i rozkazał coś swoim kompanom, ale Unni nie słyszała, co powiedział. Wkrótce miała się dowiedzieć.

Jej strażnik wrócił, podszedł do ławy i próbował ponownie zakneblować ją taśmą, ale tym razem Unni była przygotowana.

Nie poszło draniowi łatwo, rozorała mu twarz, wbiła palec w niebieściutkie oko, tłukła pięściami i kopała. Tamten chudy musiał mu przyjść z odsieczą, wspólnymi siłami zdołali jej znowu związać ręce i nogi. Poza tym mocno ją przywiązali linami do ławy. Założyli taśmę na usta, ale oczy zostawili otwarte. Tylko co to mogło pomóc?

Potem ją po prostu porzucili, żeby tak tu leżała i powoli konała z głodu. Zamknęli drzwi, po czym oba samochody odjechały.

Z początku Unni leżała spokojnie. To straszne, kiedy człowiek jest zasapany, jak ona po walce, i nie może głębiej odetchnąć. Starała się ocenić swoją przerażającą sytuację. Kto mógłby jej tutaj szukać.

Sądząc po ilości kurzu, nikt do tego domu nie zaglądał chyba od lat.

Już wcześniej zauważyła, że duże części izby są mokre po deszczu. Jeśli zacznie znowu padać, ona porządnie zmoknie. Może się nawet przeziębi? Mieć zatkany nos… Nie!

Jeśli ten facet odkryje, że zgubił papier, to czy wróci po niego?

Raczej nie. To przecież kopia i dla niezorientowanych całkowicie niezrozumiała.

Wołać o pomoc? Ale jak? Przez tę taśmę?

Kto kręci się tu w pobliżu? Nikt.

Kopała, szarpała rękami, próbując wydostać się z więzów, ale na nic. Taśma była szeroka, mocna i okręcona wiele razy. Lina? Trzymała ją w pasie, wokół kostek i wokół piersi, i ani drgnęła, mocowanie się z nią było całkowicie pozbawione sensu, Unni długo próbowała na wszystkie sposoby ją poluzować, aż w końcu, kompletnie wyczerpana, dała spokój.

Wtedy z oczu popłynęły łzy. Starała się je powstrzymać, niedobrze jest płakać z zaklejonymi taśmą ustami.

Jeśli porywacze życzyli jej powolnej śmierci w mękach, to znaleźli dobry sposób.

W równych odstępach czasu wzywała pomocy. Były to oczywiście jedynie stłumione jęki.

Nikt nie odpowiadał.

Widocznie jej i Jordiemu nie było pisane wspólne życie.

22

Jordi był taki skoncentrowany na szukaniu niezamieszkanego domu, że prawie nie zauważał siedzącej przy nim w samochodzie kobiety.

Przynajmniej dopóki nie zawołała.

– Tam, na górze!

Droga wznosiła się coraz wyżej. „W północnej Hiszpanii krajobraz jest przeważnie pagórkowaty, teraz jednak znajdowali się już pośród dość stromych skał na północnozachodnim krańcu Kordylierów Kantabryjskich.

Jordi ze swojego miejsca domu nie widział, ten bowiem położony był za wysoko. Zatrzymał więc samochód i wysiadł.

Na pół ukryte za zboczem sterczały ruiny niedużego obejścia. Resztki szarych murów, dach nachylony tak, że mógł się w każdej chwili zawalić.

– To może być tutaj – rzekł Jordi w zamyśleniu. – Położony na pustkowiu, tak jak mówili rycerze. Ale jak my się tam dostaniemy? Mamy się wspinać?

– Musi być jakaś droga, chociaż żadnej nie mijaliśmy.

Bez zbędnych słów wrócili do samochodu i znowu ruszyli. Juana siedziała i myślała, że tak naprawdę to się śmiertelnie boi, ale jeszcze nigdy w życiu nie przeżyła niczego równie ekscytującego. No i oczywiście strach jest częścią tej przygody.

– Tu jest jakaś droga! – zawołała dumna, że ją odkryła. Jordi też już zauważył, ale jednak powiedział dziękuję, Juana sobie na to zasłużyła. W ogóle okazała się niesłychanie pomocna.

Droga nie wyglądała na specjalnie uczęszczaną. Z wyjątkiem całkiem nowych śladów. Już po deszczu.

– Dwa rodzaje opon – skonstatował. – Jeden duży samochód i drugi mniejszy. Chyba nikt by się nie spodziewał tutaj śladów kół samochodowych!

Okolica była naprawdę wymarła i opadała stromo ku rozległej dolinie, czy może raczej dużej rozpadlinie. Wąska droga wiła się zakolami, więc stracili dom z oczu, mieli jednak szczerą nadzieję, że jadą we właściwym kierunku. Bo wszystko wokół zdawało się świadczyć, iż są pośrodku pustkowi.

Nagle znaleźli się niemal dokładnie na wprost domu. Tym razem Jordi znajdował się od jego strony. Budynek sprawiał żałosne wrażenie opuszczenia.

Gdyby nie te świeże ślady kół i słowa don Ramira, to naprawdę by się tu nie zatrzymał.

Chociaż ślady to akurat Jordiego martwiły. Najwyraźniej szły w

obu kierunkach. Ktoś tu przyjechał, a potem odjechał. Przypuszczalnie więc w domu nikogo nie ma. Najprawdopodobniej zabrali Unni ze sobą.

Żołądek ściskał się Jordiemu tak, że musiał parę razy wciągnąć głęboko powietrze, żeby znowu odzyskać kontrolę nad sobą.

Jeszcze jeden zakręt i byli na miejscu.

Na małym dziedzińcu nie było ani jednego samochodu. Dom wyglądał na pusty.

Boże, dopomóż mi, błagał Jordi w duszy.

Zatrzymali się na podwórzu.

– No rzeczywiście wygląda to nieszczególnie – rzekła Juana zgnębiona.

– Tak jest – przyznał Jordi krótko. – Ale musimy dokładnie przeszukać obejście.

– Ciii! – ostrzegła Juana. – Chyba coś słyszę. Chciała biec do domu, ale Jordi złapał ją za ramię.

– Bądź ostrożna – szepnął. – Nie wiemy przecież ani kto, ani ilu ich tam może być.

Dotarł do nich kolejny, zdławiony krzyk. I jeszcze jeden, jeszcze bardziej natrętny.

To zrobiło swoje. Ostrożnie skradali się ku drzwiom. Na progu stanęli jak wryci.

– Jezu Chryste – szepnęła Juana.

Jordi już był przy Unni i zdejmował jej taśmę z ust, a drżącym głosem prosił Juanę, żeby ze schowka w samochodzie przyniosła nóż.

Unni odetchnęła z głębokim jękiem.

– Jordi, Jordi, już myślałam, że cię więcej nie zobaczę! Myślałam, że przyjdzie mi tu umrzeć!

I o to chyba chodziło, pomyślał wstrząśnięty.

Z oczu Unni popłynęły łzy i nagle wybuchnęła gwałtownym, niepohamowanym szlochem.

Jordi nie panował nad głosem. Powtarzał wciąż tylko „dobry Boże” i głaskał ją po twarzy.

Juana przybiegła z nożem, Jordi chwycił go drżącymi palcami i zaczął przecinać sznury.

– Masz kostki poocierane do krwi – zauważyła Juana.

– Tak – wyszeptała Unni. – On poprzednią taśmę zerwał mi tak gwałtownie, że… że… skóra też poszła. I w ogóle jestem taka mokra. Ława była mokra od deszczu i chyba spodnie też mam mokre. Przepraszam!

Jordi porozcinał sznury i zabrał się za taśmę wokół jej nadgarstków. Potem posadził ją na ławie i objął mocno.

– Jordi – szepnęła. – Ja już przy tobie nie marznę. Słysząc to, wielokrotnie z trudem przełykał ślinę, ale słowa nie był w stanie z

siebie wydobyć.

Juana tymczasem ciągnęła za koniec taśmy i uwalniała z pęt nogi Unni. Wkrótce cała Unni była wolna.

Czuła się jednak sztywna i obolała, a łzy wciąż ciekły jej z oczu; zanim zdążyła je otrzeć, już pojawiały się nowe.

W końcu Jordi odzyskał zdolność mowy.

– Gdybym tylko złapał tego, który ci to zrobił…

– To ja bym nie chciała być na jego miejscu – dokończyła Juana, która widziała płonącą wściekłość i rozpacz w jego dziwnych oczach.

Unni bardzo pragnęła się umyć i zmienić ubranie. Na szczęście wciąż „mieszkali" w samochodzie. Wyprowadzili się z hotelu San Pedro w Cangas de Onis, a w Oviedo nie mieli jeszcze mieszkania. Kiedy więc Juana znalazła źródło, Jordi pomógł Unni wyjąć czyste rzeczy z bagażnika.

Juana westchnęła cicho. Zaczęła się już przyzwyczajać do niezwykłego wyglądu Jordiego, ale teraz mogła się przekonać, że tutaj to ona nie ma nic do roboty.

E, co tam, na dłuższą metę to by się mogło okazać zbyt kłopotliwe, pocieszała się, jak mogła.

Jak tylko Unni się wykąpała w źródlanej wodzie i przebrała w suche ubranie, ruszyli w drogę powrotną. Zaczynało się zmierzchać, musieli jechać do ludzi najszybciej jak to możliwe.

Kiedy zbliżali się do Oviedo, przy drodze pojawiła się „Restaurante".

– Czy może jest tu ktoś głodny? – spytał Jordi.

Obie panie były, i to bardzo, zatrzymali się więc i zamówili porządny obiad. Jedzenie i wino a także wspomnienie udanej akcji ratunkowej rozgrzewały ich coraz bardziej, w końcu zaczęli rozmawiać. Bo w samochodzie po tylu szokujących przeżyciach wszyscy milczeli.

Jordi z czułością i troską przyglądał się twarzy Unni.

– Będziesz miała okropnego sińca pod okiem.

– Taki już los naszej grupy, że zawsze ktoś musi być ciężko poszkodowany w ten czy inny sposób.

– Niestety. Pracujemy w niezdrowej branży.

– Tak jest. Ten drań zdzielił mnie między oczy, kiedy nie chciałam się zachwycać jego męskim wyposażeniem.

Jordi zesztywniał.

– Co takiego? Obnażył się przed tobą?

– Niestety tak, ale bardzo go zabolało, że mnie to nie podnieca, a wprost przeciwnie. Na szczęście akurat wtedy przyjechał jego kompan, czy raczej szef, i biedak musiał tę swoją żałosną parówkę schować. *Saved by the beli.*

– Mówisz tak obojętnie, jakby to dla ciebie była codzienność.

Unni pochyliła się ku niemu i szepnęła groźnie:

– Wolałbyś, żebym znowu zaczęła ryczeć?

Jordi nareszcie zrozumiał i pozwolił jej dalej paplać. Taki widać miała sposób na odreagowanie.

– Szef okazał się wyjątkowo zimnym draniem. To on zarządził, żeby mnie związać i zostawić.

– Jak on wyglądał?

– Taki jakiś strasznie kościsty. Typ, który za wszelką cenę musi postawić na swoim. Długi jak maszt od flagi i tak samo chudy. Może cierpi na anoreksję, nie wiem. Oczy z lodu i stali, usta zaciśnięte niczym zamek błyskawiczny, szpakowaty, zdaje mi się, a poza tym nic szczególnego. Nie zauważyłam. Chyba nie jakiś bardzo stary.

Jordi zastanawiał się.

– Czy to mógł być ten, którego widzieliśmy na schodach w domu Juany? Jak wchodził do pokoju?

– Mam nadzieję, że nie – Juana zadrżała. Uzgodnili więc, że tej nocy Juana zamieszka w tym samym hotelu co oni. Potem niebezpieczeństwo z pewnością minie, zwłaszcza kiedy Unni i Jordi opuszczą Oviedo.

– Na wszelki wypadek – przytakiwała Juana. – Bo raczej nie sądzę, by oni łączyli mnie z waszą wizytą w naszym domu. Zwłaszcza, że jeśli zadzwonili potem do mnie, to mnie przecież nie zastali.

Zastanawiali się znowu wszyscy troje. Unni odprężona po jedzeniu i winie, w cieple i poczuciu bezpieczeństwa, zaczynała zasypiać.

Drgnęła przestraszona przy kolejnym pytaniu Jordiego:

– Czy ten Norweg co cię porwał, to może być Thore Andersen? Ten, który w Skanii dowiadywał się o Mortena.

– Eeee – zaczęła Unni niezbyt inteligentnie. – Nic przecież o nim nie wiemy.

– W hotelu w Simrishamn pewnie mogliby go opisać.

– Po takim czasie? Oj, raczej wątpię.

– Zastanawiam się, ilu ich jest.

– Co najmniej troje – powiedziała Unni nieobecna myślami. – Morten i Sissi widzieli w lesie troje.

– No właśnie. Była z nimi kobieta. Ale czy był też jakiś bardzo wysoki mężczyzna?

– Morten nic takiego nie mówił. Rozmowa się urwała.

Dojechali do małej wioski leżącej z dala od głównej drogi, szanse, by ktoś ich tu spotkał, były niewielkie. Bardzo miły, nieduży lokal z białymi obrusami i żółtymi serwetkami, kwiaty na stolikach. Hiszpańskie restauracje zawsze wyglądają zachęcająco. Natomiast bary, do których się tylko wstępuje, są znacznie mniej przytulne.

Kostka Unni została zabandażowana. Zranienia były wprawdzie

powierzchowne, ale oczywiście piekły dotkliwie. To akurat jej nie martwiło, bardziej dokuczała jej myśl, że niezbyt daleko posunęli się w poszukiwaniach Laury Alvarez, nie wiedzą nic, nawet, gdzie mieszkała. „Nie wyszła za mąż, zmarła w Oviedo A. D. 1557". To wszystko.

– Ale czego oni od ciebie chcieli, Unni? – spytała Juana nieoczekiwanie.

– Chcieli? – powtórzyła Unni zaspana. – Jeszcze się pytasz czego! To jasne, że informacji. Ja jednak wpadłam na pomysł, że lepiej będzie wyciągnąć informacje od nich, zamiast…

Umilkła na ułamek sekundy.

– O rany, zapomniałam!

– O czym?

Nadal szukała po kieszeniach.

– Weszłam w posiadanie skalpu, trofeum, mam zdobycz wojenną. Nie, do diabła! – skarżyła się. – Zostawiłam w tamtych spodniach, tych mokrych!

– No, mam nadzieję, że to nie był jakiś tam tupecik czy treska – rzekł Jordi z udaną surowością.

Unni nie mogła powstrzymać ataku śmiechu.

– Zaczekajcie tu, zaraz przyniosę. Niezależnie od tego, jak teraz wygląda.

Choć to dosyć dziwne, zmięty kawałek papieru nie doznał w jej kieszeni poważniejszych uszkodzeń i był stosunkowo suchy. Prawdziwe szczęście.

Przejęta, z niemal religijną czcią Unni rozłożyła kartkę i czytała z rosnącym zdumieniem i radością:

„Pięć gryfów to klucz. My zabraliśmy ze sobą nasz łańcuch ze złota Spotkaliśmy sąsiadów, którzy mieli gwiazdę i podążyliśmy na małe pustkowie, gdzie czekały dwa ptaki. Przybyli dwaj ostatni. Brzemiona każdego z nas były wielkie".

– Oj – jęknął Jordi. – No, nieźle!

– Czy myślisz, że to jest…?

– Wiadomość od don Galinda? Możliwe. Ale pojęcia nie mam, jak się dostał w łapy tych ludzi.

– To gdzie w takim razie podziewa się gryf Asturii?

– O tym też nie mam pojęcia.

Unni uznała, że ta wiadomość brzmi jakoś dziwnie.

– Ten facet chciał wiedzieć, co oznacza określenie „małe pustkowie". Powiedziałam mu bezczelnie, że to pewnie jakiś rezerwat przyrody w Jotunheim, ale on się wściekł.

– Unni nie możesz ich prowokować w ten sposób!

– Nie zamierzałam już w ogóle tego robić. Co twoim zdaniem oznacza „małe pustkowie"?

Jordi zastanawiał się.

– Moim zdaniem cały ten tekst został bardzo źle przetłumaczony. Po hiszpańsku to by brzmiało… Pustkowie znaczy „yerma”, w zdrobnieniu byłoby „yermita”… Nie wiem, to brzmi dosyć głupio… małe pustkowie? Gdzieś tu musi być błąd.

Juana dotychczas siedziała w milczeniu. Teraz zaczęła obracać pognieciony kawałek papieru na wszystkie strony, a potem powiedziała:

– A skąd wam przyszło do głowy, że to może być przesłanie z Asturii?

Śmiertelnie zmęczona Unni natychmiast się ocknęła, a Jordi wyjaśnił:

– Tego nie wiemy. Nie rozumiemy tekstu, nie potrafimy go zinterpretować, ale skąd by pochodził, jak nie z Asturii?

– Ja mam całkiem inny obraz – oznajmiła Juana.

– Powiedz nam, bardzo jesteśmy ciekawi!

„My zabraliśmy ze sobą nasz łańcuch ze złota. Spotkaliśmy sąsiadów, którzy mieli gwiazdę i podążyliśmy… gdzie czekały dwa ptaki”. To kazało mi myśleć o czymś zupełnie innym, niż wy mówicie. Złoty łańcuch na czerwonym polu to herb Nawarry. Vasconia ma w swoim herbie coś w rodzaju gwiazdy, zaś dwa ptaki to herbowy symbol Asturii.

Jordi gwizdnął cicho i popadł w zadumę.

– Więc ty uważasz, że to przesłanie z Nawarry?

– Tak, tak myślę. A to się nie zgadza?

– Lepiej niż gdyby założyć, że pochodzi z Asturii. To zresztą też wyjaśnia, jak im to wpadło w łapy.

– Jak mianowicie? – spytała Unni całkiem już obudzona.

– Po pierwsze: Czy mamy już przesłanie z Nawarry?

– Mnóstwo – odparła Unni.

– Tak, ale nic szczególnego, nic takiego jak inne przesłania towarzyszące gryfom. Baśnie, owszem, ale żeby wiadomość przekazana wprost?

– No i gryf Nawarry znaleźliśmy w małej szkatule ze skarbem Santiago – powiedziała Unni, która zaczynała pojmować, o co chodzi Juanie. – A wśród papierów, które padły łupem złodziei, był pewien bardzo stary dokument, którego nie zdążyliśmy odczytać.

– Otóż to – potwierdził Jordi. – Oni musieli go przetłumaczyć i skopiować, jedną kopię zdobyła Unni. Dziękuję, Juana, dobra robota! Ale jak zinterpretować resztę?

Unni mimo zmęczenia, zdobyła się na inteligentny pomysł.

– „Drogą rycerzy nie można iść”. „Brzemiona każdego z nas były wielkie”. Powinniśmy podążać drogą drugich. Ci drudzy… Czy to mogli być ci, którzy zgromadzili ów wielki, tajemniczy skarb?

– Ja też tak myślę. Rzecz jasna owe wielkie brzemiona mogły się odnosić do tragedii, dwojga zgładzonych królewskich dzieci, ale szczerze mówiąc, nie sądzę.

– Tylko że w takim razie nie mamy ani gryfu Asturii, ani przesłania – stwierdziła Juana.

Unni położyła ręce na stole i oparła na nich głowę.

– Teraz to wszystko zaczyna być za bardzo skomplikowane dla moich obecnych intelektualnych możliwości. Czy wolno zasnąć na stole?

– Och masz rację! – zawołał Jordi. – Trzeba czym prędzej znaleźć jakiś hotel.

Do tej pory ze względu na Juanę rozmawiali po hiszpańsku, teraz Unni odezwała się po norwesku:

– Dziękuję ci! Strasznie chce mi się spać, ale też bardzo bym chciała być przy tobie. Blisko, bliziutko, nareszcie czuć twoją obecność, Jordi. Nigdy ode mnie nie odchodź!

– Wiesz, że tego nie zrobię. Mam dokładnie takie same pragnienia jak ty.

Pociągnął ją za sobą, zanim zdążyła zasnąć.

W samochodzie Unni myślała: W jaki sposób wy mnie znaleźliście, ale nie miała siły, żeby o to zapytać. Traciła powoli kontakt z rzeczywistością, a Juana i Jordi na przedzie samochodu dyskutowali, w którą stronę jechać, mówili też coś o spotkaniu z rycerzami. W tym samym miejscu, co ostatnio. Jakie to miejsce? Co było ostatnio?

Cudownie jest pogrążyć się we śnie! Bosko!

Dlatego właśnie nie słyszała, o czym mówią jej przyjaciele. Nie słyszała, jak Jordi opowiadał o kontaktach z rycerzami, ani okrzyku Juany:

AMOR ILIMITADO SOLAMENTE?

Milczenie.

– Ale ja te słowa gdzieś widziałam lub czytałam. Nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie.

– Mimo wszystko spróbuj – prosił Jordi. – To bardzo ważne.

Juana jednak nie pamiętała. Musieli zrezygnować. Jordi zaczął mówić o czym innym. Tyle było do opowiedzenia, chociaż on nie wyjawiał wszystkiego ze szczegółami. Tylko to, co uważał za konieczne dla Juany.

Im głębiej Juana wchodziła w tę historię, tym bardziej zaplątana jej się wydawała. Gdyby nie widziała rycerzy na własne oczy, byłaby przekonana, że ma do czynienia z dwojgiem szaleńców. Chociaż bezlitosny atak na Unni mówił również swoje.

Rycerze byli wystarczająco straszni. Juana jednak bała się śmiertelnie, że pojawią się jeszcze makabryczni słudzy inkwizycji.

Tego by już nie zniosła.

Na każdym zakręcie drogi spodziewała się ich zobaczyć w gęstniejącym mroku nad Oviedo jak jakieś unoszące się w powietrzu czarne chmury z otchłani.

Ale Jordi mówił, że mnisi od kilku dni trzymają się od nich z daleka.

To nie pomogło na obawy Juany. Bo mogą w każdej chwili zaatakować ze zdwojoną siłą.

Odetchnęła z ulgą, kiedy światła reklam w mieście Oviedo, rozproszyły nocny mrok.

23

Unni ocknęła się przed świtem. Leżała trochę niewygodnie, ścierpła jej jedna ręka.

Ciepłe ramię Jordiego. Spał.

Byli bardzo blisko siebie i ani śladu mrozu.

Czy oni… nie!

Miała w pamięci niejasne wspomnienie hotelowej recepcji, gdzie musiała opierać się o ladę, żeby nie upaść na podłogę. Klucze. Dobranoc, Juana.

Łóżko. Opadła na nie bezwładnie. Ręce, zdejmujące jej buty. A potem już nic więcej.

Jego ramiona zamykały ją szczelnie.

O, cóż za niebiańska rozkosz!

Chciała ponownie zobaczyć jego klatkę piersiową. Czy można zapalić światło?

Unni czuła się jak księżniczka z bajki o białym niedźwiedziu, królu Valemonie, kiedy ostrożnie zapalała nocną lampkę, by zobaczyć, z kim spędziła noc.

Przede wszystkim ona uważała tę baśń za mocno erotyczną, dokładnie tak jak pochodzące z innych krajów baśnie typu „Piękna i bestia", wszystkie osnute na tym samym motywie: młoda dziewczyna zostaje uprowadzona przez potwora, który dzięki jej miłości przemienia się na powrót w pięknego księcia. A co robili w ciągu wspólnie spędzanych nocy, owa bestia i piękna dziewica? Przecież po pierwszej takiej nocy dziewicą już chyba nie była. I tego rodzaju bajki opowiada się dzieciom!

Pamiętała sama, jakie piękne i liryczne wydawały jej się te opowieści, kiedy była małą dziewczynką, a i jeszcze długo potem, gdy już stała się nastolatką. Ha! Teraz wiedziała lepiej, jak się sprawy mają.

Jordi był dokładnie tak samo pociągający, jak zapamiętała z ich pierwszego zbliżenia. Ostrożnie pogłaskała go po piersi, bawiła się czarnymi włosami, ściągnęła kołdrę nieco niżej. Płaski brzuch, wąskie pasmo włosów w dół od pępka.

Poczuła mrowienie w ciele. Czy mogłaby się odważyć?

Ich pierwsze miłosne spotkanie odbyło się pod presją czasu. Dwoje początkujących, niepewnych, a trzeba było się spieszyć. Czuła się skrępowana i onieśmielona, na żadne wyrafinowane eksperymenty nie było wtedy miejsca.

– Mogłabyś nie przerywać? – dotarł do niej cichy głos Jordiego, zobaczyła na jego twarzy uśmieszek.

Gwałtownie cofnęła rękę, ale on przyciągnął ją znowu.

– Nie przerywaj, to naprawdę rozkoszne!

Znowu położyła mu rękę na brzuchu. Pieściła go leciutko, wolno posuwała się w dół. W końcu wsunęła rękę pod kołdrę.

Ale zmieniła kierunek, gładziła teraz udo.

– Tchórz – szepnął Jordi.

Unni zaczynała oddychać szybciej. Czuła ciarki na skórze. Bliska przerażenia przesuwała dłoń do centrum, gdzie włosy były bardziej gęste, aż dotarła do celu. Głęboko wciągnęła powietrze. Członek Jordiego był twardy jak kamień, lekko pulsujący. Przeniknęła ją fala pożądania, napinając całe ciało położyła policzek na piersi ukochanego, przywarła do jego ud, obejmowała je nogami.

Palcami delikatnie pieściła jedwabistą skórę. Czuła, jak wspaniale członek układa się w jej dłoni, poruszała nim tam i z powrotem, wstrzymując oddech, wolniutko. Unni słyszała, jak trudno jest Jordiemu spokojnie oddychać. Jego ręka odnalazła pulsujące ciepło między jej udami.

– Jordi – szepnęła. – Często miewałam taki niezwykły sen w związku z tobą i teraz myślę, że mogłabym go urzeczywistnić.

– No to powiedz! Powiedz, co ci się śniło! Zwlekała chwilę, potem jednak zebrała się na odwagę.

– Muszę przyznać, że marzyłam o tym i we śnie, i na jawie.

– Tym lepiej – uśmiechał się, przytulając ją do siebie. Byli tak blisko siebie. Płynącej z tego radości nic nie mogło zastąpić. Przenikała do głębi oba gorące ciała. Unni pożałowała swoich słów.

– To głupie. Nie mogę ci tego powiedzieć!

– Ależ Unni, to przecież jestem ja! A my, ty i ja, zawsze mogliśmy sobie wszystko powiedzieć!

Unni roześmiała się niepewnie.

– Śmiech jest bardzo ważny w miłości. Znakomicie łączy ludzi, nie uważasz?

– Tak. Dzięki temu kochankowie mogą się bardziej do siebie zbliżyć. Ale tylko do określonego punktu.

– No właśnie, bo potem wraca powaga. Ale to jest dobre uczucie.

– Nie zmieniaj tematu, mów o śnie! Chcę cię poznać również od tej strony. Jedynej, jakiej dotychczas nie zbadaliśmy.

Unni wyszeptała mu do ucha, że bardzo by chciała, aby wziął ją od tyłu. Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że akurat to bardzo ją podnieci. Chociaż i tak płonęła z pożądania, ale tamto pragnienie powracało do niej od bardzo dawna jako największa tęsknota.

Jordi natychmiast skinął głową.

– Odwróć się – powiedział. Posłuchała, a on ukląkł przy niej.

Było to dokładnie tak oszałamiająco rozkoszne, jak sobie wyobrażała. Jordi dotarł do punktu, z którego wypływały wibrujące fale rozkoszy i obejmowały całe jej ciało. Kiedy przeczuła, że zbliża się

do czegoś ekstatycznie cudownego, wyszeptała gorączkowo, żeby wrócili do zwykłej pozycji i że trzeba to zrobić jak najprędzej, bo ona osiąga granicę, od której już nie ma odwrotu.

Po wspaniałym, gwałtownym zakończeniu leżeli wyczerpani, mocno objęci. Jordi roześmiał się.

– Chyba działamy zbyt szybko. Nowicjusze. Zobaczysz, będzie lepiej, kiedy nabierzemy więcej wprawy.

– Z pewnością – uśmiechnęła się. – Za pięćdziesiąt lat będziemy potrzebowali trzech godzin, żeby w ogóle zacząć.

Znowu oboje ogarnął smutek. Żadnemu z nich nie było pisane takie długie życie.

– Zmienimy to – powiedział Jordi uspokajająco. Czytał w jej myślach, zobaczył, jak się skuliła i pogrążyła w ponurym nastroju. – Musimy to zmienić. Nie wolno nam roztrwonić szczęścia tylko z powodu starego przekleństwa!

– Absolutnie nie! Jordi, ty zdążyłeś się wycofać w ostatniej sekundzie?

– Zdążyłem. Nie możemy ryzykować poczęcia dziecka, które musiałoby dorastać bez ojca i matki, w dodatku z przekleństwem wiszącym mu nad głową.

Serce Unni krwawiło na myśl o takiej tragedii.

– Uratowalibyśmy w ten sposób dziecko Vesli – rzekła ze smutkiem. – Tylko za jaką cenę?

Jordi nie powiedział nic więcej, przytulił ją tylko mocniej do siebie. Taka odpowiedzialność na niego spada, musi rozwiązać tę straszną zagadkę. Obciążenie jest zbyt wielkie, a oni z trudem posuwają się naprzód.

Jest już późny sierpień, a nie znaleźli nawet wszystkich gryfów.

24

Przy śniadaniu Juana zauważyła, że Unni i Jordi nieustannie się nawzajem dotykają.

– Powinnaś wiedzieć, dlaczego – uśmiechnęła się Unni. – Nawet to ma związek z rycerzami.

Juana poprosiła, by jej opowiedzieli. O współczesnych problemach wynikających z nierozwiązanej zagadki z piętnastego wieku.

Jordi obiecał wyjaśnić wszystko w drodze na spotkanie z rycerzami. Przedpołudnie jednak musieli poświęcić na przeczesywanie archiwów Oviedo, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Laurze Alvarez, w najgorszym razie odwiedzić jej grób, jeśli jeszcze istnieje. Muszą wyjaśnić, co stało się z gryfem i przesłaniem don Galinda. A Juana podobno wie o jakieś pismach, prawda?

Owszem. Powinni tam pojechać.

Unni pragnęła towarzyszyć im na spotkanie z rycerzami, żywym ludziom wolała się jednak nie pokazywać z tymi podbitymi oczyma. Nie chciała kompromitować Jordiego, żartowała, że policja gotowa go aresztować za maltretowanie żony. A należała, niestety, do osób, którym od najmniejszego uderzenia robią się rozległe sińce i teraz okolicę jednego oka miała sinoczarną, co wyglądało naprawdę paskudnie.

– Mogę iść trzy kroki za tobą i udawać, że wcale cię nie znam – zaofiarował się Jordi rozbawiony.

– Trzy kroki? Zresztą wcale nie jesteś żadnym mężem – prychnęła Unni.

Skończyło się jednak na tym, że Unni też poszła. Ani na sekundę nie chciała rozstawać się z Jordim, a i on wola! nie zostawiać jej znowu samej. Kupiła tylko w perfumerii maskujący korektor i przypudrowała najgorsze miejsca.

– Trzeba przyznać, że wyglądasz, jak świeżo malowana – drażnił się z nią Jordi.

– Jestem piękna – oznajmiła Unni stanowczo. – Ale nie opowiedzieliście mi, jak to się stało, że trafiliście na mój ślad i dotarliście do tego rozwalonego domu na pustkowiach.

– Rycerze. Byłem bezradny i musiałem się odwołać do ich pomocy. Mój przodek cię odnalazł. Ale rycerze wyglądali naprawdę okropnie, Juana zemdlała.

– Dziękuję wam z całego serca, zwłaszcza don Ramirowi – powiedziała Unni. – To znaczy nie, nie za to, że Juana zemdlała.

Ze śmiechem wsiadali do samochodu.

Juana była znakomitą przewodniczką. W odnajdywaniu

historycznych źródeł miała długie i bolesne doświadczenia.

Przez cały czas zachowywali maksymalną czujność. Tropiły ich dwie różne grupy prześladowców, a oni woleli nie mieć nikogo, kto im depcze po piętach, więc Juana wiozła ich do celu krętymi, bocznymi uliczkami.

Znaleźli nazwisko Laury Alvarez w trzech różnych dokumentach. Zdobyli też więcej informacji na temat jej brata, który zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat. Trochę na temat ich matki, a jeszcze więcej na temat ojca, nazwiskiem Cabailero Marques Galindo de Villanueva. Niestety niewiele o powstaniu, właściwie nic, oprócz krótkiej wzmianki: „Legenda mówi, że Cabailero Galindo de Villanueva przygotowywał plany zaatakowania tronu, ale pomylił się okropnie. Historia przypomina trochę walkę Don Kichota z wiatrakami. Nie ma żadnych dowodów. Nic też nie wskazuje na istnienie otoczonego legendą wspaniałego skarbu z tego samego okresu sławnej historii Asturii. Są to, niestety, tylko niepotwierdzone baśnie".

I żeby nie wiem jak uparcie szukali, nigdzie najmniejszej wzmianki na temat jakiegoś gryfa.

W końcu musieli zrezygnować. Powinni się spotkać z rycerzami, a samolot do Norwegii mają pojutrze rano i cały jutrzejszy dzień zajmie im podróż na lotnisko, na którym też spędzą noc. Nastrój był ponury.

– Musimy znaleźć ostatnie miejsce spoczynku Laury Alvarez – westchnął Jordi.

– Najpierw rycerze – nalegała Juana. Unni podzielała jej zdanie. Po całym archiwalnym kurzu nie była w stanie oglądać grobów.

– Ale czy my wiemy, gdzie ona spoczywa? – spytała. Juana wzruszyła ramionami.

– Musimy iść do kolejnego departamentu, żeby się tego dowiedzieć.

– Najpierw rycerze – postanowił Jordi. – On też miał na jakiś czas dosyć starych papierów.

Pojechali do miejsca, w którym ostatnio spotkali się z rycerzami. Okolica niekrępująca, z daleka od ludzkich oczu. Nigdzie zakątków nadających się na niedzielną wycieczkę, nie mówiąc już o powszednim dniu.

Juanę zaskoczyło to, jak Unni zdaje się być oswojona z niesamowitymi istotami z zaświatów. Słuchała, jak młoda dziewczyna poprzez Jordiego dziękuje im za swoje życie i wszelką inną pomoc.

Potem Unni odeszła kawałek, usiadła pod drzewem i oparła się o jego pień.

Korektor zdaje się już spełnił swoją rolę. Unni wielokrotnie dotykała obolałych miejsc i ścierała przy okazji maskującą warstwę pudru. Teraz jej twarz była dziwnie łaciata, co bardzo wzruszało Juanę. Unni niczym się specjalnie nie wyróżniała, jeśli chodzi o

wygląd. Było w niej jednak coś takiego, co budziło w ludziach ich najlepsze cechy. To jej czyste, niewinne i otwarte spojrzenie. Inteligencja, którą okazywała zwłaszcza w trudnych chwilach. Te ciemne oczy, zapalające się zawsze na widok Jordiego. W czasie jazdy tutaj Juana poznała historię o mrozie i była poruszona. Rozumiała teraz lepiej ich desperacką potrzebę bycia razem, blisko siebie.

Tak jest, gdyby ona była Jordim, też by wybrała Unni przed każdą, żeby nie wiem jak urzekającą pięknością.

Juana poczuła smutne ukłucie w sercu. Gdyby spotkała Jordiego zanim…

Nie, nie miałaby żadnych szans.

Bardzo jednak chciała mieć go za przyjaciela. Pod tym względem istnieje znaczna różnica między mężczyznami i kobietami. Wiele kobiet, wiedziała o tym od swojej matki, będącej wdową, pragnie mieć przyjaciela. Kogoś, z kim mogłyby gdzieś wyjść, podyskutować, który by im pomógł w domu. Mężczyźni natomiast przede wszystkim myślą o seksie. I wiedziała, że ta właśnie różnica rozbija wiele pięknych związków.

Po tej krótkiej refleksji ponownie skupiła uwagę na odpychających, a mimo to fascynujących rycerzach.

Najbliższa godzina okazała się bardzo pouczająca dla Juany, która przyniosła ze sobą magnetofon, choć Jordi się z niej podśmiewał. W końcu mogła nagrywać jedynie jego tłumaczenie tego, co opowiadali rycerze. O, ileż się dowiedziała o piętnastowiecznej Asturii! Mogła wypytywać o wszystko. O sposób ubierania, jedzenie, o zwyczaje, moralność, higienę, wydarzenia, historię…

I rycerze odpowiadali. Byli dumni, pochlebiało im jej zainteresowanie i nawet jeśli zachowywali się cokolwiek wyniośle, to Juana im wybaczała.

Na prośbę Jordiego zsiedli z koni i otoczyli kręgiem dwoje żyjących. Przypominali pięć czarnych, niewyraźnych pieńków w bajkowym lesie. Siedzieli oparci o pnie drzew, ale tylko leciutko, bo gdyby któryś chciał się oprzeć naprawdę, znalazłby się po drugiej stronie drzewa.

Mówili i mówili. To znaczy Juana słyszała tylko, co mówi Jordi, przekazujący ich myśli.

Boże drogi, ależ to będzie praca, myślała przejęta. Teraz zobaczycie, wy stare, skostniałe dziady z uniwersytetów! Gęby pootwieracie ze zdumienia.

Unni siedziała poza ich kręgiem, słuchała jednym uchem, bo uważnie przyglądała się swoim dłoniom. Miała wrażenie, że powinny być zaczerwienione, ale nie były, choć wyraźnie czuła w nich pulsowanie. Unni posiadała wyjątkowe zdolności, które jednak pojawiały się i znikały wedle własnej woli, jeśli tak można

powiedzieć. Rzadko zdarzało się, by mogła nimi sterować. Zdolności te mogły się objawiać na różne sposoby. Jednym z nich była wyjątkowa siła. Można to nazywać ciepłe ręce, bioenergia czy też leczące dłonie, nazwa nie ma znaczenia.

No i właśnie teraz pojawiła się ta energia. Ręce zrobiły się ciężkie jak z ołowiu, czuła w nich palenie i pulsowanie.

Muszę to w jakiś sposób wykorzystać, pomyślała. Ale jak? Nie mogę uzdrawiać sama siebie, to już wiem. Natomiast…

Wzrok jej padł na konie, stojące tuż obok. Pamiętała, jak wyglądały, kiedy spotkała je pierwszy raz, wtedy w Selje. Były straszne, to prawda, ale dumne, z uniesionymi głowami, o czarno połyskującej sierści i błyszczących oczach.

A teraz? Skrajny upadek, jakby dopiero co zostały wydobyte z ziemi, w której leżały długo: apatyczne, oczy matowe, zmęczone do granic wytrzymałości, bezradne.

Jeden stał całkiem blisko niej, Unni na próbę podniosła dłonie i skierowała ku niemu.

Czuła przepływający przez palce prąd, ciepło, intensywne pieczenie. Wszystko to promieniowało na konia. Siła…

Wciąż ją posiadam, myślała podniecona. Mam to. Mogę przekazywać nawet temu koniowi i przywrócić godność tak niegdyś pięknemu zwierzęciu! Daję ci moją siłę, przyjmij ją!

Podniosła się z ziemi całkowicie teraz skoncentrowana na swoim zadaniu. Ani na moment w jej umyśle nie pojawiła się myśl w rodzaju: nie, no co ja sobie wyobrażam? Nie dopuściłaby jej do siebie. Musiała wierzyć w swoje możliwości.

Cichy głos Jordiego rozpłynął się w dalekiej mgle.

Wszystkie pozostałe makabryczne końskie trupy zastrzygły uszami. Unni próbowała nie patrzeć w te ich okropne białe ślepia, koncentrowała się bez reszty na jednym zwierzęciu, w jego oczy zresztą też nie patrzyła, kierowała spojrzenie na zwisające płaty skóry, przez które przeświecały kości.

Koń stal bez ruchu. Unni wiedziała, że się jej przygląda.

Próbowała nie dopuszczać do siebie niepotrzebnych myśli, w rodzaju: nie bój się, Unni.

Nie chciała też myśleć, że mogłaby wzbudzić wściekłość konia, że mógł stanąć dęba, na tylnych nogach i kopnąć ją…

Tego rodzaju obawy nie mogły mieć do niej przystępu.

Nie myśleć, nie myśleć, uwolnić mózg od wszystkiego poza zadaniem! Wkładała w to całą duszę. Zamknęła oczy. Przesyłała zwierzęciu ciepło, siłę, troskę, miłość, zrozumienie…

– Co ty robisz, Unni?

Na dźwięk tych słów podskoczyła i otworzyła oczy.

Koń przed nią był lśniąco czarny, taki sam, jak za pierwszym

razem. Koń – upiór, to prawda, ale z podniesioną głową, z błyskawicami w oczach i rozdętymi chrapami.

Odwróciła się przestraszona do Jordiego.

– Uzdrawiam konia – wyjąkała.

– Masz zamiar go przywrócić do życia? – twarz Jordiego była mroczna, wyrażała wzburzenie.

– Nie, nie, nie jestem taka głupia. Chcę tylko, żeby odzyskał siłę. One wszystkie są takie wyczerpane, niedługo zaczną się przewracać.

Juana przyglądała się scenie z otwartymi ustami. Rycerze wstali i z surowymi minami patrzyli na Unni.

Ponieważ żaden nic nie mówił, ona zapytała:

– Do kogo należy ten koń?

Don Garcia postąpił krok naprzód.

– Nie miałam nic złego na myśli – próbowała się usprawiedliwić.

– Oni nazwali cię potężną czarownicą – powiedział Jordi bezbarwnym głosem.

Musiał chyba zapomnieć, że i ona, i Antonio też posiadają zdolność rozumienia myśli rycerzy, że otrzymali ją po wypiciu szarozielonego napoju Urraki, tamtego dnia w górach Norwegii. Unni odbierała tylko część myśli rycerzy, bo nie zawsze była na to nastawiona, a rycerze nie przekazywali wszystkiego każdemu. Teraz jednak dotarło do niej, że jest *una bruja poderosa.*

Zaprotestowała.

– Nie, nie! To Urraca jest potężna. Ja potrafię tylko… Pozostałe konie tłoczyły się wokół niej.

– Don Garcia pyta, czy z nim mogłabyś zrobić to samo. To pytanie sama też usłyszała.

– Konie najpierw! Rycerze sposępnieli. Jordi zbladł.

– Don Federico pyta, czy wyżej stawiasz konie niż rycerzy?

Unni wyprostowała się i spojrzała don Federicowi prosto w oczy.

– Konie was dźwigają. Są dwa razy bardziej zmęczone niż wy. Przerwano mi, wasza wysokość. I teraz nie wiem, czy będę jeszcze w stanie zrobić cokolwiek.

Rycerze zaczęli się między sobą naradzać. Potem zwrócili się do Jordiego.

– Proszą cię, byś kontynuowała – przetłumaczył Jordi ich myśli.

– Nie mogą się z tym zwrócić bezpośrednio do mnie?

– Unni! – upomniał ją Jordi.

– O kay, o kay! Next horse, please!

– Unni, staraj się nie żartować! Naprawdę balansujesz teraz na ostrzu noża.

Nie powiedziała głośno tego, co myślała, że mianowicie to ona ma przewagę. Rycerze pragną większej siły i to ona może im ją dać.

Przypuszczalnie.

Nagle poczuła się bardzo mała.

A co by było, gdyby nie miała już swojej mocy? Jak stanie wobec jednego silnego konia i czterech słaniających się na nogach, a na dodatek wobec pięciu wyczerpanych rycerzy?

Z pewnością nie przysporzy jej to sympatii.

Don Federico wyprowadził swojego konia naprzód. Widocznie i to powinno się dokonać według rangi.

Podczas gdy don Garcia podziwiał i głaskał swojego starego wierzchowca, który wyglądał teraz tak pięknie, Unni próbowała ponownie zebrać energię w rękach. W jej głowie dojrzewała uporczywa myśl, a prawdę mówiąc, bardzo śmiała idea.

Dłonie wciąż pulsowały jej tak, że powinny być płomiennie czerwone. Czerwone co prawda nie były, ale nowa energia pojawiła się w nich bez wątpienia.

Jordi i Juana wstrzymywali oddech.

– Wasza wysokość – zwróciła się Unni do don Federica de Galicia. – Gdyby wasza wysokość zechciał dosiąść konia, to spróbowałabym uzdrowić was obu za jednym razem. Oszczędziłabym w ten sposób siły i czas.

O Boże czy podołam takiemu zadaniu? Musiałam chyba zwariować!

Jordi miał minę, jakby myślał dokładnie to samo.

Posunięty w latach rycerz siedział już w siodle. Unni przełknęła ślinę i zamknęła oczy. Teraz albo nigdy!

Minuty mijały. Dłonie Unni płonęły. Raz po raz musiała spoglądać na rumaka i jeźdźca, obchodzić ich w koło, wysyłać strumienie siły z różnych stron, podnosić ręce do don Federica…

Nagle usłyszała szum od strony Jordiego i Juany, dotarły do niej myśli rycerzy i opuściła ręce.

Więcej nie jestem w stanie zrobić dla waszej wysokości – zwróciła się do don Federica.

Pierwszy raz stary, zgorzkniały rycerz posłał jej ciepły uśmiech. Znowu znajdował się w dobrej formie (to znaczy w stosunkowo dobrej, na ile upiór może być w dobrej formie) a jego koń odzyskał połysk.

Jordi pomógł Unni oczyścić ręce i ramiona po wielkim wysiłku. Musiała też chwilę odpocząć.

Potem podjęła seans z drugim rycerzem, tym razem był to don Sebastian, który już zawczasu dosiadł swojej żałosnej chabety.

Don Garcia wyglądał na zmartwionego.

– Proszę się nie niepokoić – zapewniła go Unni trochę teraz pewniejsza siebie. – Ja o waszej wysokości nie zapomnę.

Zajęła się nim na samym końcu, dość niespokojna, był bowiem najbardziej drażliwym z rycerzy, ona zaś naprawdę zmęczona i

przestraszona, czy sobie poradzi. Oddała już chyba wszystko tamtym. Don Galindo i don Ramiro oraz ich konie otrzymali jej pełne zaangażowanie, i udało się.

Serce biło jej mocno, kolana się pod nią uginały. Sama by potrzebowała pomocy jakiegoś uzdrowiciela. A może poprosić o przerwę do następnego dnia?

Rozumiała jednak sytuację don Garcii. Teraz różnica między jego stanem, a wyglądem pozostałych rzucała się w oczy, i Unni byłaby bez serca, gdyby mu zaraz nie pomogła.

Poza tym to niebezpieczne, za nic nie chciała się narażać na jego gniew.

– Czy mogłabym dostać coś do picia? poprosiła Jordiego, a on przyniósł jej z samochodu sok i kilka sucharków. Kawałek czekolady od Juany dokonał cudu.

Don Garcia czekał zniecierpliwiony.

„Uzdrowieni" już rycerze podjęli przerwaną „rozmowę" z Juaną, a Jordi, jak zwykle tłumaczył.

Unni i don Garcia zostali sami.

Unni głęboko wciągnęła powietrze i odmówiła krótką modlitwę pod nieznanym, raczej dość pospolitym adresem, z nadzieją, że jakaś wyższa siła zechce jej wysłuchać, po czym zabrała się do pracy.

Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, musiała się oprzeć o drzewo.

Tym razem potrzebowała sporo czasu, w końcu jednak don Garcia był znowu w znakomitej formie. W dalszym ciągu umarły, tak jak pozostali, ale już nie taki strasznie wycieńczony i odpychający jak przedtem.

Rycerze kończyli spotkanie z głęboką rewerencją dla Unni prezentującej wielki siniec pod okiem. Biedaczka, dopiero teraz pomyślała, że kamuflujący środek musiał się zmazać dawno temu. Była taka wzruszona ich pozdrowieniami i słowami podzięki, że prawie nie widziała, jak znikają.

Wtedy całkiem opadła z sił i oparła się o Jordiego.

– Jestem potwornie zmęczona, wszelka energia mnie opuściła.

– I dziwisz się temu? Pracowałaś przecież ponad cztery godziny. Wykonałaś ogromną robotę. Teraz pójdziemy coś zjeść.

– Wspaniale! – zawołała Juana. – To była ogromna robota dla nas wszystkich, zresztą dla rycerzy pewnie też.

– I wszyscy są zadowoleni – roześmiał się Jordi. – Tylko że rycerze nie dostaną jedzenia.

– Jak ja miałabym być niezadowolona? – wołała Juana. – Powiem wam więcej, kiedy rozmawialiśmy i magnetofon nagrywał opowieść rycerzy, przypomniałam sobie, gdzie to widziałam słowa AMOR ILIMITADO SOLAMENTE. Myślę, że tam możemy znaleźć coś dla was! Bo powiem wam, że zapomnieliśmy o czymś ważnym.

25

Chcieli się natychmiast dowiedzieć, o czym zapomnieli, juana jednak była małomówna.

– Jestem kompletnie wykończona, zresztą wy pewnie też, a już zwłaszcza Unni. Najpierw więc coś zjedzmy, a potem zabierzemy się za kolejne sprawy.

Uznali, że brzmi to rozsądnie.

Kiedy jednak zaspokoili pierwszy głód w malej gospodzie, gdzie głosy odbijały się od betonowych ścian, ale jedzenie było przednie, Juana zaczęła:

– My przez cały czas szukaliśmy rodu don Galinda, prawda?

Tak, w tym właśnie celu przyjechali do Hiszpanii.

– Zapomnieliśmy jednak, że z Asturii pochodził nie tylko on!

Teraz już Juana zaliczała się do nich, mówiła „my". Z wielkim zapałem uczestniczyła w detektywistycznych dociekaniach.

Unni i Jordi zastanawiali się. Nagle Jordi zawołał:

– Dona Elvira! Ta młodziutka ścięta księżniczka.

– Tak jest, oczywiście – potwierdziła Unni z dziwnym blaskiem w twarzy.

– Nie tylko ona – podpowiadała Juana. – Młody Rodriguez, za którego miała wyjść, nazywany był księciem z Kantabrii. To się jednak nie zgadza z rzeczywistością, bo w Kantabrii nigdy nie było domu królewskiego. Niewątpliwie jednak Rodriguez był księciem. Mógł był przybyć z Nawarry, ale to daleko stąd. Ja myślę, że również on pochodził ze starego, bardzo rozgałęzionego królewskiego rodu z Asturii. Bo powinniście wiedzieć, że to właśnie w związku z nim przeczytałam słowa AMOR ILIMITADO SOLAMENTE.

– Co ty mówisz? – zawołał Jordi przejęty. – Gdzie można przeczytać o tej królewskiej linii?

– U mnie w domu. Jeśli biblioteka jeszcze mnie nie zmusiła do oddania, ciągle przekraczam terminy. A zresztą nie, to nie była książka z biblioteki…

Jordi podjął decyzję.

– Mamy mało czasu. Natychmiast jedziemy do ciebie, niech się dzieje, co chce.

– Emmy i jej facetów bać się nie musimy. Oni się tylko kręcą w kółko – mówiła Unni zamyślona. – Ale ta druga grupa… Dranie znają twój dom, Juano.

– Wejdziemy tylnymi drzwiami – zapewniła Hiszpanka.

Nikt się nie włamał do mieszkania Juany, nikt niczego nie ruszał.

– Myślę, że oni machnęli już ręką na ten dom – powiedział Jordi, wyglądając spoza firanek na ulicę. – Żadnego merca ani seata nigdzie

nie widać.

Juana zaczęła szukać.

Jak, na Boga, ona może coś znaleźć w tym nieładzie, zastanawiała się Unni, która przecież też pedantką nie była. Stosy czasopism, książek i starych dokumentów zawalały pokój.

– Tutaj nikomu nie wolno sprzątać – oznajmiła Juana rzeczowo. – Bo przecież nic bym nie znalazła.

Znali to z własnego doświadczenia, system w bałaganie. Nie minęło dziesięć minut i Juana miała w ręce, to czego szukała – oprawiony zbiór tekstów.

– Zgromadziłam tu stare i nowsze materiały, kopie, rzecz jasna. Część dokumentów jest niewiarygodnie stara, aż trudno uwierzyć, że to prawda. I właśnie pośród nich widziałam… zaraz zobaczymy.

Pochylali się nad dokumentami rozłożonymi na stole. Oj, ile było tych królewskich domów pożenionych między sobą, ponieważ w tamtych czasach odpowiednie małżeństwo było sprawą ważną, a wybór raczej niewielki. Poza tym mnóstwo rozgałęzień. Odnaleźli założyciela królewskiego domu Asturii, bohatera narodowego Pelayo, który rozgromił Maurów w bitwie pod Covadonga na początku ósmego wieku. Mogli się zapoznać z niezbyt długą listą królów, którzy panowali tutaj do czasu aż Asturia w dziesiątym wieku połączyła się z Leon, a potem jeszcze z Kastylią. Bardzo to skomplikowane!

Ale córka Pelayo wyszła za mąż za członka królewskiej rodziny Wizygotów przedtem pobitych przez Maurów. Jej mężem był Alfonso Pierwszy, syn Pedra z Kantabrii, więc może i ta prowincja była wcześniej królestwem?

Potem następuje długi szereg władców o imionach Ramko, Garcia i Alfonso.

Juana przekładała kartki.

– Wiem, że widziałam słowa właśnie tutaj – mamrotała.

– Tutaj jest jakiś Rodriguez! – zawołała Unni.

– Rok 800? Za wcześnie, my musimy mieć innego, z piętnastego wieku.

– A tu znowu Urraca, królowa Galicji i Asturii – stwierdził Jordi.

– Mnóstwo kobiet nosiło to imię. A ta tutaj żyła w jedenastym wieku. I jej tytuł nie oznacza, że Galicja była królestwem, w tym okresie była podporządkowana Asturii.

– 1350. Jesteśmy coraz bliżej – powiedziała Unni.

– Nie, tu chodzi tylko o boczną linię. Ale patrzcie tam! Tam mamy kogoś o nazwisku don Federico de Galicia! Och, jak blisko spokrewniony ze starym królewskim rodem Asturii! Niemal się potykał o tron, jeśli jeszcze wtedy jakiś istniał. Był stary. Mówiliście, że umarł w roku 1481?

Juana odwróciła dwie kartki.

– Tak. Tam jest dona Elvira de Asturias! Bardzo daleko od królewskiego tronu Leon i Kastylii. Urodzona w roku 1466. Brak daty śmierci.

– 1481 – powiedzieli Jordi i Unni równocześnie. – Miała piętnaście lat.

– Biedne dziecko – westchnęła Juana, zapisując rok śmierci. Dalej kartkowała zbiór.

– Dlaczego tu nie ma daty śmierci żadnego z naszych? – zastanawiała się Unni.

– Chyba niewielu wiedziało, jaki okrutny los ich spotkał – domyślał się Jordi.

– Chyba tak – potwierdziła Juana. – Teraz, jak widzę jesteśmy przy zupełnie innej linii rodu. Ale to w dalszym ciągu stary królewski ród Asturii. Tam!

Wszyscy troje pochylili się nad dokumentem. Był to don Rodriguez de Kantabria. Urodzony w roku 1464.

No i bez daty śmierci, rzecz jasna. Na marginesie jednak dopisano trzy słowa bardzo staroświeckim charakterem pisma. Nie ulegało wątpliwości, że to jeden z najstarszych dokumentów:

AMOR ILIMITADO SOLAMENTE.

A niżej inicjały S. A.

– Czy możemy się domyślać brata Laury Alvarez? – spytała Juana. – Tego, który umarł mając dwadzieścia pięć lat. I miał na imię Sancho. Sancho Alvarez.

– Wnuk don Galinda – powiedziała Unni cicho. – Jedyny, który mógł znać słowa.

– Poniżej jest jeszcze coś, na marginesie – powiedział Jordi, podnosząc dokument bliżej oczu. – Jakie straszne zawijasy! I prawie całkiem spłowiałe. Musiała to pisać kobieta.

– Mężczyźni robią więcej zawijasów niż kobiety – zauważyła Unni. – Zwróć na to uwagę, kiedy dostaniesz następny list, Jordi.

– Nie dostanę żadnego listu – powiedział, ale myślami był gdzie indziej. – Juana, masz szkło powiększające? Dziękuję!

Z wielkim trudem odcyfrował tajemnicze napisy: „Każdy gr. ma swój dar. G. dobrobyt. N. zdrowie. C. powodzenie. V. miłość. A. siłę magiczną”.

– Gryfy! – wykrzyknęła Unni. Jordi zastanawiał się.

– To by się zgadzało. Jeśli N. oznacza Nawarrę, to jej gryf posiada moc uzdrawiania. I ja zostałem uzdrowiony właśnie przez niego. Vesla też czuje się bezpieczna, jeśli ma go na szyi. Jak to dobrze, że Morten nie dał go Monice!

– Całe szczęście, że się najpierw zapytał. I Pedro jest zamożny.

Unni myślała o swoim amulecie, gryfie z Vasconii. Miłość. Tak jest, jeśli ktoś otrzymał miłość, to właśnie ona. Jordi, Jordi, ten

najlepszy na świecie!

Dalej przeszukiwali dokumenty, ale na próżno. Niczego więcej o zagadce rycerzy tam nie było. Ani o gryfie Asturii.

Tylko ta wzruszająca próba młodego Sancho, by przekazać tradycję następnym pokoleniom. Żeby słowa ani gryfy nie zostały zapomniane.

Ale zostały. Aż do dzisiejszego dnia.

Tyle nadziei wiązali z tymi dokumentami Juany, a one okazały się ślepą uliczką.

Teraz pozostało już tylko jedno i właśnie tego się natychmiast uczepili. Kolejna wizyta na starych cmentarzach. Tym razem chodziło o miejsce pochówku Laury Alvarez. Ostatnia szansa odnalezienia gryfa.

Raz jeszcze Juana okazała się ich dobrym pomocnikiem. Znała kogoś, kto orientował się we wszystkich sprawach starych cmentarzy w Oviedo i natychmiast do niego zadzwoniła.

Wyjaśniła mu dokładnie, czego szukają, on zaś obiecał, że niebawem oddzwoni. Nie powinno to zająć zbyt wiele czasu. Piętnasty i szesnasty wiek są dość skąpo reprezentowane w rejestrach cmentarnych. No i Alvarez? To nie był ród uprawniony do chowania swoich zmarłych w kościelnej krypcie. Ale oczywiście przeszuka dokumenty bardzo dokładnie.

Oszczędzali tym sposobem mnóstwo czasu, a robiło się późno i należało kończyć.

Przyjaciel Juany odezwał się szybciej, niż oczekiwali. Niestety, dzwonił z niczym, nie ma żadnego Alvareza z szesnastego wieku. I żadnego grobu, nie. Z rodu Villanueva też chyba nikogo nie pogrzebano w Oviedo. Wśród nowszych pochówków, owszem, są tacy, ale to rody nieszlacheckie, zarówno Alvarez, jak i Villanueva. Te stare natomiast, wysoko postawione rody wymarły i wszystkie tablice nagrobne uległy zniszczeniu.

W ten sposób ostatnia iskra nadziei zgasła.

Juana obiecała, że nadal będzie szukać w swoich papierach i w razie czego da znać. Pożegnali się z nią serdecznie i podziękowali za cudowną pomoc. Pomogła im bardziej, niż mogli byli przypuszczać.

Juana zaś powiedziała, że to ona powinna dziękować. Zdobyła materiały na co najmniej pięć prac doktorskich.

Ze smutkiem opuszczali jej dom.

Jednocześnie

Wysoki chudy mężczyzna wraz z towarzystwem opuścił Oviedo. Dowiedzieli się na lotnisku, że Jordi ma odlecieć z Santander. W takim razie będzie na pewno miał ze sobą gryfa, więc będzie mu go można odebrać. Nie odwołał wyjazdu, ani nie zmienił jego terminu.

– Jak widać zrezygnował z szukania dziewczyny – zachichotał Thore Andersen. To on teraz prowadził mercedesa. Seata oddali w wypożyczalni w Oviedo.

– Gdzie miałby szukać? – zdziwił się chudy. – Uważa pewnie, że go rzuciła, pojechała sobie. Do domu albo gdzieś tam.

– Zastanawiam się, jak tam ona teraz – znowu zachichotał Thore.

– Powinniście byli dokładniej ją przesłuchać, kiedy były takie możliwości – wtrącił asystent, który dotychczas siedział w milczeniu.

– Ona nic nie wiedziała – odburknął Thore Andersen bardzo teraz pewny siebie. – Była taka przerażona mną i w ogóle, że wypaplałaby wszystko, gdyby coś wiedziała.

– Trzeba było ją uciszyć na dobre – powiedział chudy. – Nie mieliśmy wyjścia, widziała nas obu. Natomiast ten jakiś piekielny typ nas nie zna, on może sobie chodzić.

Asystent zakończył surowo:

– W porządku, ale teraz już żadnych więcej błędów. Jak najszybciej musimy zdobyć gryf Asturii! Bo zostało napisane, że posiada on niewiarygodne siły. Z jego pomocą zdobędziemy, mam nadzieję, władzę nad tymi naiwniakami poszukującymi doliny.

– Jasne. A jeśli nawet gryfu nie dostaniemy, to będziemy przynajmniej mogli iść za nimi. Niech oni odwalą czarną robotę, a my zgarniemy całą zdobycz.

W samochodzie zaległa cisza. Po lewej stronie drogi mieniły się w słońcu wody Zatoki Biskajskiej. Pasażerowie byli pewni, że mają też wspaniałe widoki na przyszłość.

26

Następnego ranka Unni i Jordi mieli opuścić Oviedo, oczywiście jeśli na czas dotrą do lotniska. Nie stać ich już było na dłuższy pobyt w Hiszpanii, kasa podróżna była do tego stopnia pusta, że nawet na jej zasilenie nie mogli czekać.

Nastrój w samochodzie panował ponury. Nie znaleźli gryfa, nie zdobyli przesłania don Galinda.

– Będziemy musieli tu jak najszybciej wrócić – rzekł Jordi zgnębiony. – Jak tylko uda nam się zebrać więcej pieniędzy.

Upokarzające! Wracać do domu w takiej sytuacji! Ale tak się właśnie sprawy miały.

W rozpaczy Unni zatelefonowała do Jorna, komputerowca.

Wyjaśniła, że zabrnęli w ślepy zaułek i zapytała, czy nie mógłby znaleźć czegoś o Alvarezach z szesnastego wieku.

Było to raczej mało prawdopodobne, Juana bowiem już szukała w bibliotecznym komputerze. Samej Unni nigdy nie było stać na kupno komputera. Jorn jednak był człowiekiem upartym i systematycznym, poza tym lepiej się znał na nowoczesnej technice. Obiecał, że zadzwoni, jak coś znajdzie.

I zadzwonił. Nie ujechali daleko, gdy odezwał się telefon komórkowy.

Nie, żadnego Alvareza w szesnastym wieku Jorn nie znalazł, ale może Diego Alvarez, który żył w latach 1439 – 1499 wyda im się interesujący?

Jordi i Unni spoglądali po sobie niepewnie. Dziewczyna wzruszyła ramionami i skinęła głową.

– Dawaj go – polecił Jordi.

– No wiec wygląda na to, że facet był pisarzem. Figuruje we francuskiej antologii poetów z tamtej epoki. To wszystko.

Dostali jeszcze tytuł książki, podziękowali Jornowi i zadzwonili do Juany.

– Och tak! – zawołała. – Mam tę książkę w domu, ale nie zdążyłam jej jeszcze przejrzeć. Pożyczyłam ją w niewielkim antykwariacie. Za chwilę oddzwonię.

– To jasne, że Juany on nie zainteresował – westchnęła Unni. – Mnie też nie interesuje. Książka francuska, wiek me ten. Ale wdziała jego nazwisko na grzbiecie, prawda?

– Tak jest, widziała, i nie skojarzyła jego nazwiska z Laurą Alvarez. Nie, nie wierzę w ten ślad, ale musimy go przynajmniej z całą pewnością wykluczyć.

Zadzwoniła Juana. Podniecona.

– Nie jestem mistrzynią, jeśli chodzi o francuski a wkład Diega

Alvareza do historii literatury nie jest jakiś wyjątkowy, ale wiecie co?

Nie, nie wiedzieli nic.

– Zgadnijcie, co znajduje się na stronie tytułowej Dla mojego wnuka Sancho od dziadka Diego Alvareza!"

– Dziadka? – powtórzył Jordi poruszony. – No tak, przekleństwo dziedziczyli w linii macierzystej.

– Ale ja mam tu jeszcze coś więcej – poinformowała Juana. – Do ostatniej strony został przyklejony list. Chcecie posłuchać? No to czytam. Tam jest mnóstwo podkreśleń, będę to specjalnie akcentować.

No przestań już gadać, myśleli Unni i Jordi zniecierpliwieni.

– A więc – zaczęła Juana:

PTAKI Z PRZESZŁOŚCI

„Gryfy są kluczem. Zbierają się tam, gdzie czekają orły. Sroka chroni gile przed czarnymi wronami. Wędrówka mojego sąsiada zaczyna się od tego miejsca, gdzie orły będą małe. Ja sam przybyłem z zapomnianej wioski nad rzeczką, znajdującej się blisko kraju mojego drugiego sąsiada. Z tej wioski przybywa jego serce".

– No widziałeś coś podobnego! – zawołała Unni, kiedy podziękowali już Juanie. – Ptaki, ptaki, ptaki. A co z gryfem Asturii?

– Pojęcia nie mam. Ale popatrz, tu jest różnica w określeniu wron! To są, jak widzisz, wrony czarne, czyli czarnowrony, a nam się zdawało, że chodzi o siwe. Wrony czarne są mieszkankami Europy południowozachodniej.

– I, oczywiście, sroka to Urraca, po prostu wierne tłumaczenie – powiedziała Unni. – Gile to młoda królewska para. Natomiast znowu wracamy do miejsca, gdzie „orły będą małe". Dlaczego to zostało podkreślone? Gdzie orły będą małe to nie jest nazwa żadnego ptaka, to całe zdanie, określające miejsce.

Jordi zamyślony wpatrywał się w drogę przed sobą.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że mam pomysł co do znaczenia tego zdania? Jestem coraz pewniejszy, że wtedy miałem rację. Unni, zdaje mi się, że mamy nareszcie konkretny punkt geograficzny, jeśli nie dwa. A gdyby rzeczywiście tak było, znajdziemy ich więcej.

– No to mów, o co chodzi, skończ z tymi zagadkami! Spoglądał na nią spod oka.

– Co jest większe od orłów?

– Gudrun by powiedziała, że masyw górski.

– Nie krajobraz. Ptaki! Unni patrzyła zakłopotana.

– Strusie?

Jęk Jordiego przetłumaczyła sobie jako: Nie bądź głupia, i starała się skupić.

– Kondory?

Już miała powiedzieć: kondomy, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Teraz mówimy o Hiszpanii, nie o Ameryce Południowej.

– No to w takim razie sępy.

– Otóż to! Sępy gromadzą się w określonych miejscach. Na przykład w dolinie Carranza. W Ramales de la Victoria. Pamiętaj, że w tych wszystkich informacjach, czy jeśli wolisz, przesłaniach, a może nawet testamentach wciąż mówi się o granicach.

– Tak, pamiętam.

– Carranza leży na granicy pomiędzy Krajem Basków a Kantabrią.

Unni starała się skoncentrować, ale po głowie krążyła jej inna myśl i odpowiedziała jakby nieobecna:

– „Drogą rycerzy podążać nie można". Były inne drogi. Od granic. Tak Jordi, to musi być przesłanie Asturii i don Galinda."

– Tak! W takim razie jego ludzie przybywali z Asturii, z jakiegoś miejsca przy granicy z Galicją lub Kantabrią.

Kierowali się teraz ku morzu, chcieli dotrzeć do drogi wzdłuż wybrzeża, najkrótszej drogi na lotnisko w Santander.

– Jordi… Mam maleńką prośbę. A właściwie dużą. No, powiedzmy w połowie. I pewien pomysł.

– Wiesz, że spełniam wszystkie twoje prośby. Pomysły również.

– Czy nie moglibyśmy podjąć jeszcze jednej desperackiej próby? Zboczyć trochę z drogi i wstąpić do Cangas de Onis, żeby się przekonać, czy Laura Alvarez nie została tam pochowana. Bo widzisz, to jest przecież rodzinna miejscowość jej dziadka, Galinda.

– Dobry pomysł – stwierdził Jordi i skręcił w pierwszą boczną drogę.

Była to jakaś szansa. Może nie największa, ale powinni spróbować wszystkiego.

Na horyzoncie ukazała się sylwetka klasztoru San Pedro.

– Tam mieszkaliśmy – rzekła Unni z promiennym uśmiechem.

– I kochaliśmy się – dodał Jordi. – Cudowne wspomnienie. Dzięki, piękny klasztorze!

Rejestry cmentarne nie dały odpowiedzi na żadne pytanie. Ani w Cangas, ani w Villanueva.

Stracili parę godzin. Teraz nie zostało już wiele miejsc do przeszukania.

Przygnębieni wsiedli do samochodu. Silnik zapalił.

– Jordi! – zawołała Unni pod wpływem jakiegoś impulsu, wskazując na widoczny z samochodu szyld. – Wstąpmy jeszcze do Covadonga! Tyleśmy o tym miejscu słyszeli! Chcę je zobaczyć, skoro mamy jeszcze odrobinę czasu. To niedaleko, ledwie dziesięć kilometrów.

Jordi bez protestu skręcił.

– Mnie też bardzo to miejsce ciekawi.

Jechali w stronę lądu, ku szerokiej tutaj dolinie.

Teren się wznosił. Góry stawały się coraz bardziej strome, lasy gęstsze, dolina zaczynała się zwężać, stawała się za to głębsza, choć droga wciąż pięła się w górę.

– Prawdziwe pustkowia – westchnęła Unni. Nieoczekiwanie ich oczom ukazały się wielkie budynki. To musi być stary klasztor Covadonga.

Droga schodziła teraz lekko w dół i wkrótce znaleźli się w małej wiosce, przycupniętej pośrodku pustkowia. Imponujący kościół z jaskrawoczerwonym dachem uczepił się stromego zbocza góry. W osadzie był duży, otwarty plac, szkoła, koszary, poczta i sklepy, wszystko na bardzo niewielkiej przestrzeni. Trudno powiedzieć, czy jacyś ludzie mieszkają tu na stałe, bo wszędzie aż się roiło od turystów.

– Spójrz tam – powiedziała Unni wskazując posąg wysokiego wodza, dźwigającego na plecach wielki krzyż. – To musi być ten Pelayo, który pokonał tutaj dwadzieścia tysięcy Maurów. Tak, to on.

Podeszli bliżej.

– Oj, jaki urodziwy!

– Wcale tak nie musiał w rzeczywistości wyglądać – uśmiechnął się Jordi. – Posąg wzniesiono chyba w czasach nowożytnych.

– Ale ja często się zakochiwałam w posągach. W Dawidzie Michała Anioła. W Posejdonie z Góteborga, chociaż jest tak źle wyposażony, że przypuszczalnie bardzo marznie stojąc z tymi rybami w fontannie. Madziarskich królów z rynku w Budapeszcie znam tylko z fotografii, ale zrobili na mnie wielkie wrażenie. Podobnie jak ten tutaj!

Jordi śmiał się.

– Wierzę, że nie muszę być zazdrosny? Zwróciła się ku niemu z uśmiechem:

– Nie, nie musisz – rzekła z czułością. – Takich jak ten można podziwiać i wielbić zwłaszcza, że nie trzeba mieć z nimi do czynienia. Idziemy dalej! Dokąd to prowadzi ta droga schodząca w dół?

– Chyba do groty, moim zdaniem. Tam, gdzie Święty Krzyż i Najświętsza Dziewica uratowali Pelayo i jego Asturyjczyków.

Poszli w dół i rzeczywiście wkrótce znaleźli się w głębokiej grocie wydrążonej w górskiej ścianie.

– Uff, grota została zrobiona sztucznie – jęknęła Unni. – Skała pod jej dnem nie wygląda zbyt pewnie. Chyba niebezpiecznie jest tam wchodzić.

– Jeśli wytrzymała napór tysięcy pielgrzymów i turystów przez te wszystkie wieki, to uniesie też ciebie i mnie. Chodź!

Minęli otwór w górskiej ścianie, gdzie umieszczono trzy krzyże skierowane ku kościołowi po drugiej stronie. Robiło to wielkie wrażenie. Wspaniały motyw dla fotografujących turystów.

Znaleźli się w na wpół otwartej grocie.

W ołtarzu znajdował się wizerunek Najświętszej Dziewicy. We wnętrzu rzędy ławek dla tych, którzy chcieli się do niej modlić.

O tej porze turystów było jeszcze niewielu, Unni i Jordi wstrzymując oddech podeszli do ołtarza.

Wokół brzegu sukni Madonny znajdowało się mnóstwo większych i mniejszych wotów. Proste kwiatki z plastiku, a obok nich prawdziwe. Drobne osobiste wota domowej roboty. Rzeczy piękne i rzeczy, których znaczenie trudno było zrozumieć, a ich pochodzenie znał tylko ofiarodawca.

Prośby o pomoc. Dary dziękczynne…

Jordi chwycił Unni za ramię.

– Unni, spójrz!

Zwróciła się tam, gdzie pokazywał.

Na pół ukryty w pięknej misie leżał mały gryf.

– Jordi – wyszeptała.

– „Idźcie za impulsami” – radzili nam rycerze. – „Miejcie oczy szeroko otwarte!” To był dobry impuls, żeby jechać do Covadonga, Unni.

– Wierzę, że oni celowo umieścili ten szyld na naszej drodze.

– Tak jest. Bo ileż to razy nazwa padała w naszej obecności, a my jej nie słyszeliśmy?

Unni rozejrzała się ukradkiem. Grupa turystów opuszczała grotę, ale kolejna, znacznie liczniejsza, schodziła drogą w dół.

– Okradanie kościoła – bąknęła.

– Czy możemy?

– Musimy. Jesteś katolikiem, możesz udawać, że coś tam kładziesz. Ja zostanę na czatach. Ale pospiesz się!

Turyści właśnie wyszli, został tylko jeden maruder, by fotografować krzyże i rzeźbę przedstawiającą chyba jakiegoś dzikiego ptaka. Ptaki, ptaki, w całej historii rycerzy aż się roi od najrozmaitszych ptaków!

Kolejni turyści nadchodzący drogą już się zbliżali do wejścia.

– Teraz – szepnęła Unni rozgorączkowana.

Jordi ukląkł przed ołtarzem. Wyglądał na pogrążonego w głębokiej modlitwie.

On chyba nie jest bardzo religijny, pomyślała. Ale tak naprawdę wiedziała o tym niewiele.

Unni widziała przede wszystkim jego plecy. Potem ramię, które się poruszyło, jakby kładł coś przy ołtarzu, a następnie błyskawicznie wsunął rękę do kieszeni. Tylko ona mogła dostrzec ten ruch. W końcu wstał. Akurat w momencie, gdy tłum turystów z hiszpańskim przewodnikiem wlewał się do groty.

Jordi stał przez chwilę, potem przeżegnał się w bardzo

przekonywający sposób, ujął Unni za rękę i wyprowadził na dwór.

– Czuję się okropnie – wzdrygnął się. – Za nic nie chciałbym tego zrobić jeszcze raz.

– Rozumiem cię, sama mam nieczyste sumienie. Ciekawa jestem, kto to tam położył.

– Tego nie dowiemy się nigdy. Jedyne co wiemy, to to, że rycerze nas tutaj skierowali. Chodź, uciekamy!

W drodze powrotnej oboje myśleli o tym samym: Gryf Asturii odpowiada za siły magiczne. Cokolwiek mogłoby to oznaczać.

Jednocześnie

Groteskowi kaci inkwizycji siedzieli skuleni na poręczy mostu, kiedy Unni i Jordi tamtędy przejeżdżali.

„Oni to mają! Jacyż oni potężni, jak mogło do czegoś takiego dojść?"

„Zbójectwo, oszustwo, zdrada!"

„A nasi ludzie kompletnie chybili. Nic nie znajdą i nie dowiedzą się, gdzie są przeklęci wrogowie".

„Przegońcie ich, wypędźcie, tę piękną Emmę o pustym móżdżku i tych jej jeszcze głupszych pomocników!"

„Druga grupa będzie nasza".

„Czyś ty rozum postradał, bracie, oni są zbyt silni, zbyt podstępni, oni nie będą chcieli mieć z nami do czynienia".

„W takim razie pożeglujemy własnym szlakiem".

„Musimy odszukać naszych głupich lokajów i powiedzieć im, że się nie nadają. Że też coś takiego mogło się nam przytrafić!"

We wzroku jednego z mnichów pojawił się przebiegły błysk. „Po co nam ludzie? Sami przejmijmy sprawy i pokażmy tym pyszałkom, co potrafimy!"

„Nie chcemy wracać do zimnej Norwegii!" – zawył jeden.

„Nie chcemy, nie chcemy" – wtórowała mu reszta.

„Uspokójcie się! – powiedział pierwszy. – Oni wrócą do tego kraju. Wrócą wszyscy. I wtedy ich dopadniemy. Naszym sposobem".

„Naszym sposobem, naszym sposobem" – wrzeszczeli podnieceni.

Jakaś kobieta, która w pobliżu wieszała pranie, uniosła głowę.

– Co to, znowu wrony biją się na moście?

27

Unni i Jordi dotarli do Santander wczesnym wieczorem. To duże i hałaśliwe nadmorskie miasto z imponującym portem i mnóstwem zakładów przemysłowych, ale też wieloma bardzo pięknymi dzielnicami w centrum.

Ustalili z firmą samochodową, że jej ludzie odbiorą sobie auto z parkingu lotniska następnego ranka. Wszystko zostało zapłacone, wszystko było gotowe.

– Teraz pójdziemy do hotelu – zdecydował Jordi. Nagle drgnął i położył rękę na sercu.

– Co się dzieje? – spytała Unni wystraszona.

– Jakieś ciepło. Gryf zrobił się gorący! Przeczuwam niebezpieczeństwo.

– Ja też – szepnęła Unni przerażona.

Jechali uliczką na tyłach hotelu, mieli właśnie skręcić. Rozejrzeli się uważnie wokół.

– Ten mercedes – powiedziała Unni. – Czy to nie… Owszem, te same numery. Dlaczego on tutaj stoi?

Jordi zjechał na bok.

– Myślisz, że to druga grupa? Twoi porywacze? Jordi zacisnął ręce na kierownicy.

– Zakradli się do naszego hotelu, uznali, że tutaj mogą ukryć samochód – powiedział wstrząśnięty. – Skąd oni wszystko wiedzą?

– Czy to nie biuro turystyczne?

– Możliwe. W takim razie wiedzą też, kiedy wyjeżdżamy. Unni, lecimy dziś wieczorem, zmieniamy bilety, polecimy inną trasą.

– Nie mamy pieniędzy, gdyby trzeba było coś dopłacić.

– Nie musimy płacić za dzisiejszą noc w hotelu, zadzwonimy i anulujemy rejestrację.

– No a twój bagaż w hotelu? Jordi zasłonił oczy dłonią.

– Musimy wejść do środka. Mam nadzieję, że dranie nas nie zauważą.

– A gdyby nawet, to co nam zrobią? Napadną na nas z bronią w hotelowym westybulu? Nie sądzę. Chodź, spróbujemy.

Thore i chudy siedzieli w barze na półpiętrze.

– Gdzie twój asystent? – spytał Thore, rozkoszując się cygarem.

– Odpoczywa w pokoju, a my tu sobie poczekamy na chłopczyka Vargasów.

– Lada moment powinien się zjawić.

– Tak. Tylko pamiętaj, bierzesz go na górze, w korytarzu. Tam jest ciemno, gości niewielu, a ciebie on nie zna. Potrafisz go unieszkodliwić. Weź klucze do jego pokoju i tam go przeszukaj,

przetrząśnij rzeczy, papiery, dokumenty, na pewno gryf wpadnie ci w ręce.

– Zdaj się na mnie, zrobię co trzeba.

W chwilę potem Thore gasząc niedopałek, powiedział:

– Na dworze zatrzymał się samochód.

– Chodź, zejdziemy niżej. On nas nigdy nie widział. Nie, nie całkiem na dół. Tutaj.

Czekali.

Szok przeniknął obu, jakby ich kto dźgnął rozpalonym żelazem.

– Ale – chudy odskoczył w bok. – Dwoje…? Thore zbladł.

– Co u diab… To przecież ona! Wycofali się pospiesznie.

– To niemożliwe – jęknął chudy z wykrzywioną twarzą.

– Niemożliwe – potwierdził Thore głupio. – To nieludzkie!

– Nadludzkie – poprawił go chudy z trudem łapiąc powietrze. – Niepojęte! Przecież tak dobrze ją związałem. Jak ty to wszystko spartaczyłeś – zaczął, ale się powstrzymał.

– Żadnego samochodu tam w pobliżu przecież nie widzieliśmy. I jak ktoś mógłby trafić akurat tam? Nigdy! Co teraz zrobimy?

– Oni wychodzą!

– Pewnie wrócą później.

Samochód odjechał. Dwaj mężczyźni stali jak wrośnięci w ziemię. Ona nie mogła się posłużyć telefonem komórkowym. Jak mogłaby to zrobić z rękami na plecach, związanymi tak mocno? W jaki sposób, w jaki sposób…?

Chudy wyprostował się, jego głos brzmiał stanowczo.

– Teraz zostać tu nie możemy, ona by nas rozpoznała. Musimy opracować nowy plan.

– Jutro? Na lotnisku? Szef myślał. Długo.

– Tak. Lotnisko. Mnóstwo ludzi, mnóstwo zamieszania. Mam pomysł.

Ale chudy nigdy swojego pomysłu w życie nie wprowadził. Bo kiedy następnego ranka przybyli na lotnisko, nie znaleźli tam ani Jordiego, ani Unni.

Na liście pasażerów też ich nazwisk nie było.

Tymczasem oni dotarli już do domu. A tam Vesla prowadziła trudną rozmowę ze swoją matką.

– Nie stwarzaj problemów, mamo! Chcę sprzedać moją część akcji zostawionych przez tatę. Są moje. Tak, teraz potrzebuję pieniędzy, kupno domu i urodzenie dziecka to są spore koszty. Czekają mnie też wydatki związane z podróżą.

Odpowiedź matki zajęła trochę czasu, najwyraźniej mocowała się ze słuchawką, w końcu oznajmiła agresywnym głosem:

– Nie możesz po prostu trwonić pieniędzy. One są dobrze ulokowane.

– Ulokowane? Wiem o tym, ale ja potrzebuje, gotówki! Teraz!

– Nie mogę tak po prostu zażądać zwrotu, co by powiedział pa… co by wszyscy powiedzieli?

Dłoń Vesli zaciskała się na słuchawce.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że dałaś moje pieniądze temu naciągaczowi i uwodzicielowi, pastorowi Schwartzowi?

– On nie jest żadnym naciągaczem. To tylko pożyczka, dostane, z powrotem dziesięć razy więcej.

– No tak, w niebie.

Albo w łóżku, pomyślała, ale za bardzo było jej żal matki, żeby powiedzieć to głośno.

Bo pastor Schwartz romansował z zamożnymi paniami, potrząsał z zapałem swoją blond grzywą, która nadawała mu taki wspaniały profil. Nawet cokolwiek zbyt zaokrąglony podbródek nie odbierał mu urody. Zacierał pulchne rączki nad wszystkimi wpłatami gotówkowymi, jakie otrzymywał i litował się nad nędznymi grzesznikami, którzy wkrótce staną na boskim sądzie. A tam zostanie oddzielone ziarno od plewy.

Nie przeczuwał tylko, że jego ziemski sąd zbliża się szybkimi krokami. Bowiem zadarł z Antoniem. Pastor doprowadził do płaczu Veslę, a to najgorsze, co można było zrobić jej narzeczonemu.

Unni i Jordi zostali niezwykle serdecznie powitani w domu. Tym bardziej, że wszystkie gryfy znalazły się nareszcie w jednym miejscu.

Teraz należało tylko złożyć w jedno wszystkie przesłania oraz wszelkie inne informacje, jakimi grupa dysponowała i stworzyć jakiś całościowy obraz.

No i czekała ich wielka ekspedycja: poszukiwanie ukrytej i zapomnianej doliny.

Czas naglił. Czas, który został przydzielony Jordiemu i Mortenowi, niebezpiecznie się kurczył.

Margit Sandemo

***